

marek  
Kochan



ballada  
o dobrym  
dresiarzu



1994

**Marek Kochan**

**Ballada o dobrym dresiarzu**

## Meduza

Wesołowski wyszedł spod prysznic i spojrzał na zegarek. Było parę minut po piątej. A więc miał jeszcze trochę czasu. Przeciągnął dłonią po policzku. Drapało. Golił się rano, ale postanowił zrobić to jeszcze raz, żeby jego twarz była na wieczór gładka jak reklama w kolorowym piśmie. Wiedział, że kobiety to lubią, a cała mitologia zarostu jako symbolu męskości była dla nich czymś tak archaicznym, jak zjadanie serca pokonanego wroga, żeby zyskać jego męstwo. One wołały gładkich i Wesołowski chciał być gładki, aby odnieść sukces.

Kiedy skończył golenie, sięgnął do szafki, gdzie miał przygotowaną inną, stępioną już golarkę. Napsikał na dłonie piankę do golenia i nasmarował się od razu pod obiema pachami, po czym zaczął powolnymi ruchami kosić kilkudniowe włoski. Jeszcze tego dobrze nie umiał. Zaczął to robić ledwie parę miesięcy wcześniej. Gdyby ktoś mu rok temu powiedział, że będzie się wygalał pod pachami, Wesołowski wyśmiałby go albo strzelił w pysk.

Czy ja wyglądam na pedała albo transwestytę? – powiedziałby.

Ale czasy się zmieniały i trzeba było za nimi nadążyć, bo inaczej wypadało się z gry.

„Wypaść z gry”. To słyszał bardzo często. Ostatnio parę godzin temu, na roboczym spotkaniu w wydawnictwie.

– Musimy się sprężyć, chłopcy, bo inaczej wypadniemy z gry – powiedział szef od reklamy. – Wiecie, że motoryzacyjne dodatki do dzienników depczą nam po piętach. Dziś rano dostałem poufną informację, że nasza ulubiona gazeta szykuje

nową ofertę cenową. Z grubsza polega to na zniżkach za łączenie kampanii zlecanych przez tę samą agencję w jednym czasie. Wiecie, co to oznacza. Polecą nam nie tylko po samochodach, do czego powoli i z bólem przywykamy, ale także po wszystkim, czym dotąd łataliśmy te dziury.

– Od kiedy to wchodzi? – zapytał Wesołowski czy któryś z chłopaków.

– Od jesieni, najprawdopodobniej koniec września – powiedział szef. – Mamy miesiąc z małym kawałkiem, żeby coś zrobić. A biorąc pod uwagę zatwierdzenie mediaplanów, to w ogóle nie mamy czasu. Za parę dni, no dobrze, tydzień, macie mi tu przynieść na stół kilka milionów na jesień. Wychodzi po trzysta-pięćset tysięcy na głowę.

– Szefie, są wakacje. Ludzie powyjeżdżali – kwęknął któryś.

– To dobrze, że są wakacje. Kibitki są rozluźnione, już wypoczęte. Możecie je gdzieś zabrać. Na łódkę, na weekend nad morzem. Gdzie bądź. Już wasza w tym głowa, jak to zrobicie. Od tego was mam, moje orły. Jeśli nie postaracie się teraz, na jesieni będzie za późno. Wypadniemy z gry.

Sytuacja nie była łatwa. Swoje kontakty motał Wesołowski z pewnym wyprzedzeniem. Nie lubił robić nic na wariata. A jego klienci w większości powyjeżdżali. A raczej powyjeżdżały. Oczywiście, mógł się napiąć, kupić sto jeden róż, paść na kolana, uderzyć w wysokie tony, że musi, że go wyrzucą, że padnie wydawnictwo, że to jeden jedyny raz... Mógł, ale to paliło kontakty. To była ostateczność. Później musiałby zaczynać wszystko od nowa. A w tej pracy ważna była planowość, systematyczność i brak pośpiechu. Jeśli tak, to już lepiej było wymyślić coś nowego, coś ekstra.

Wesołowski zszedł do pokoju, gdzie stało jego biurko. Rzadko tam pracował, bo jego rozmowy były zbyt intymne, żeby dzielić je z kolegami z pokoju. Nie żeby się ich wstydził – oni grali w te same gry. Chodziło raczej o koncentrację. Po co mieli mu utrudniać, peszyć go, rozśmieszać. Dzwonił z domu lub z komórki.

W swoim pokoju trzymał jednak szpargały, którymi nie chciał zagracać małego wynajętego mieszkania. Foldery z seminariów, konferencji, festiwali, stare wizytówki, pisma, notatki o ludziach, całe podręczne archiwum. Zaczął w tym grzebać: kartkować, wywracać szuflady, przeglądać.

– Jest! – wykrzyknął triumfalnie po jakiejś półgodzinie. Rudziak i Leszczyński aż podskoczyli.

– Co, znalazłeś starą prezerwatywę z nasieniem Michaela Jacksona? – zakpił Rudziak.

– Może raczej jego szympana. To było naprawdę trudne do zdobycia, jest się z czego cieszyć – dołożył swoje Leszczyński.

– Kogo chcesz tym zapłodnić? Szefową reklamy w Benkizerze? Ona i tak wygląda jak małpa – zarechotali obaj.

– Żeby was zapłodnić, pasowałyby chyba nasiona rzeżuchy – odciął się Wesołowski.

– Dlaczego? – Rudziak był trochę mniej lotny i dał się zaskoczyć.

– Bo i tak nic bardziej skomplikowanego nie jesteście w stanie urodzić – zakończył Wesołowski, zamykając biurko. – To na razie, frajerzy, lepiej myślcie, skąd wytrzaśnicie wasze budżety – rzucił za siebie i pobiegł w stronę windy, pogwizdując wesoło.

Tym, co udało mu się znaleźć, był stary bilet wstępu na imprezę, organizowaną przez któreś radio w wielkiej dyskotecie na peryferiach Krakowa. Zapisał na nim telefon i namiary na poznaną wówczas dziewczynę, która była nową mediaplanerką w dużej zachodniej agencji reklamowej. Wtedy nie zdążył wykorzystać tego kontaktu. Był przedostatni dzień, miał dużo swoich starych lasek, którym wisiął kawy, kolacje, noce. Poza tym tamta agencja nie miała żadnego klienta, któremu dałoby się wcisnąć reklamę w ich piśmie, nawet naciągając to tak jak zazwyczaj. A teraz skojarzyło mu się, że właśnie oni wygrali ostatnio *pitch* na dużą kampanię

banku, który wchodził z nową kartą i ofertą ROR-ów. To były pieniądze, które od biedy mogli wydać u nich. Przynajmniej w części. Trochę reklama, jakaś wspólna akcja promocyjna, w nagrodę samochód, który Wesołowski by wycygał przez swoje kontakty.

– Wylazińska, Wylazińska, to jest to, czego szukałem, żeby tylko była w Warszawie, musi się udać, musi się udać – mamrotał do siebie.

Na swoje klientki mówił zawsze po nazwisku. Wylazińska, Rumniak, Stelmach. Tak mówił do siebie, w myślach. Bo do nich zwracał się zawsze po imieniu i do tego, kiedy tylko już mógł, pieszczotliwie. Kasiu, Basiu, Aniu, a potem Kasieńko, Basieńko, Anusiu. Oczywiście, kiedy przyszła pora – nie za wcześnie.

A pora na ogół przychodziła dość szybko. Wesołowski miał duże doświadczenie, które zwykle ludzi zaskakiwało przy jego wieku. Miał dwadzieścia trzy lata, z tego prawie trzy działał w branży reklamowej. Ale akurat to doświadczenie zdobył jeszcze wcześniej. Miał je już wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechał do Warszawy. Głuszyć panienki nauczył się u siebie, we Władysławowie. Odkąd skończył szesnaście lat każde wakacje spędzał na plaży, jako ratownik.

Tak, chłopie, nie jest z tobą jeszcze tak źle, nadal wyglądasz całkiem-całkiem – pomyślał Wesołowski, patrząc w lustro na swoje odbicie.

– Ale żeby nie kusić losu, choć kondycja dobra... – powiedział na głos, sięgając do skrytki za lustrem, skąd wyciągnął małe blaszane pudełeczko z chińską maścią.

Wysunął żołądz i delikatnie posmarował czubek członka. Nie można było dać tego zbyt wiele. W małej ilości maść przynosiła lekkie uwrażliwienie, które ułatwiało erekcję, wywołując ją przy najlżejszym dotyku. Gdyby maści było więcej, po paru godzinach członek zacząłby go palić jak polany wrzątkiem i, co gorsza, paliłby tak przez następne parę godzin, niezależnie od zastosowanej terapii.

Ale Wesołowski wiedział, jak to robić. Był zawodowcem. I dlatego musiał być

stuprocentowo pewny swojej skuteczności. Co by było, gdyby mu nie stanął? Wieść o tym rozniosłaby się szybko. To środowisko było jednak dość małe i lubiło takie pikantne historyjki. Byłby skończony.

Nigdy jeszcze nie zdarzyła mu się wpadka, choć bez cudownej maści pewnie kilka razy byłoby ciężko. Nawet nie wtedy, kiedy dziewczyny, które miał uwieść, były brzydkie. Grube, niezgrabne, o nieładnych rękach. Wtedy nie było problemu. Wesołowski rozumiał ich trudną sytuację. Zdawały sobie sprawę, że są nieatrakcyjne. Każdy ich kontakt z mężczyznami podszyty był niepewnością. A raczej prawie pewnością, że naprawdę nie chodziło o nie, tylko o to, co od nich zależało. Zawsze przyglądały się bacznie i próbowały oddzielić to, co zawodowe, od tego, co stanowiło element gry. Trzeba było się szczególnie starać, żeby wszystko wypadło wiarygodnie. Ale Wesołowski dobrze sobie z tym radził. Ogarniała go jakaś bezrozumna czułość, opiekuńczość wobec tych niechcianych, niedopieszczonych. Swoje seksualne wysiłki traktował jako akt miłosierdzia. To dodawało mu sił.

Znacznie gorzej było z tymi, które były ładne, ale głupie, a przy tym przekonane o własnej inteligencji. Aroganckie, drażniące. Ten typ zdarzał się dość często. Wesołowski musiał wtedy bardzo się mobilizować, wkładać dużo silnej woli. Żeby nadskakiwać, obłapiać, udawać zainteresowanie, gdy najchętniej strzeliliby taką zolżę w głupi pysk.

Taka była Będzik. Basia Będzik. Szefowa reklamy u dużego dilerka koreańskich aut. Miała do wydania duże pieniądze, o których decydowała sama, bez pośrednictwa agencji. Wesołowski musiał, po prostu musiał ją urobić. Była ładna i bardzo zgrabna. Miała piersi, miała usta, miała nogi. Miała wszystko, co trzeba. Ale była też bezgranicznie głupia. Na siłę starała się z każdym zaprzyjaźnić, a potem zaraz częstowała swoimi mądrościami, wyczytanymi w kobiecych miesięcznikach. Przy tym mówiła zawsze z obezwładniającą pewnością,

kategorycznie, jakby jakikolwiek inny pogląd był niemożliwy, absurdalny.

No i miała swoje wielkie szpony, pomalowane zawsze jaskrawoczerwonym lakierem. Tymi pazurami poorała mu całe plecy, piszcząc przy tym jak kotka podczas wycinania jajników. Musiał co chwilę przerywać, wychodzić z niej i podczas dopieszczania językiem Basiowej cipki poprawiać ręką sztywność swojego narzędzia pracy, które wiedło mu jak stara marchewka.

Wtedy maść ocaliła go przed klęską, a Basi Będzik uratowała życie, bo, był pewien, gdyby mu się nie udało, udusiłby ją poduszką.

Na szczęście Wylazińska, z którą się dziś umówił, wyglądała sympatycznie. Była jednym z tych pogodnych kaszalotów, niegroźnych pasztetów w okularach, które przyjechały do Warszawy z małego miasta i dopiero po roku wymieniały garderobę na modniejszą, a okulary na szkła kontaktowe. Pewnie kończyła historię sztuki albo polonistykę i gdyby nie załapała się w reklamie, byłaby nauczycielką w liceum. Musiała czytać Paulo Coelho albo przynajmniej Whartona.

Kiedy zadzwonił do niej tuż przed dwunastą (nigdy nie dzwonił później, bo wtedy ludzie zaczynają być głodni, źli i myślą tylko o lanczu), poznała go od razu. Nie musiał nawet przypominać okoliczności, w jakich się poznali.

– Wiem, pamiętam, Kraków – wymieniła nazwę dyskoteki.

Wesołowski wytłumaczył się jakoś głupio, że dzwoni dopiero teraz, ale nie było to potrzebne.

– To co? – zawiesiła głos.

– No, może pójdziemy coś zjeść, powspominamy Kraków...

Teraz była najtrudniejsza chwila. Do niego należało zaproponowanie lokalu. Knajpy, w których się bywało, stanowiły sekretny kod, służyły do rozpoznawania ludzi, którzy są na topie. Kto bywał w złych knajpach, a raczej nie bywał w tych, w których wypadało bywać, był przegrany. Kompromitował się, wypadał z obiegu.

Raz był tego bliski. Trzy lata temu, kiedy po raz pierwszy pojechał do



Krakowa, ktoś go zagadnął podczas rozmowy:

– Gdzie byłeś wieczorem, nie widziałem cię w Blue Boksie?

Wesołowski już miał na końcu języka pytanie, co to jest ten Bluboks, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Miał intuicję i ona go uratowała. Być może jego kariera właśnie wtedy by się zakończyła albo nigdy by się nie rozpoczęła.

– Nie poszedłem, bo poprzedniej nocy przegiąłem z piciem i musiałem się chwilę przespać. Żeby być w formie na dzisiejszy wieczór – powiedział sprytnie, choć poprzednią spędził w innym klubie, nie tym, w którym powinien być, nie z tymi ludźmi co trzeba.

Najgorsze, że modne miejsca szybko się zmieniały. Trudno było nadążyć. Co jeszcze wczoraj było szczytem snobizmu, nazajutrz wywoływało tylko pogardliwe wydęcie warg. Tak jak Blue Box, który i tak dość długo, bo kilka sezonów, był w modzie, by się w końcu zużyć i stać się tym, czym wcześniej: dyskoteką dla dresiarzy.

Ludzie ze środowiska reklamy nazywali to, przez analogię do cyklu życia produktu, cyklem życia knajpy. Ilustrowała go krzywa, przypominająca kształtem krzywą Gaussa. Faza wzrostu, faza dojrzałości, faza schodzenia. Ta trzecia oznaczała upadek. To było jak karuzela, z której należało zaraz wysiadać, jeszcze zanim zatoczyła pełne koło.

A przy tym nie było jednej, powszechnie uznawanej hierarchii. Różne środowiska miały swoje toplisty, z których każda wewnątrz własnego środowiska była absolutnie obowiązująca. Kłopot polegał na tym, żeby wiedzieć, która toplista obowiązywała w danym momencie.

Tego Wesołowski nie wiedział. Wylazińska pracowała w jednej z największych agencji, ale po stroju, na ile zapamiętał, wyglądała na osobę, która jest w mieście od niedawna. No i była tylko mediaplanerką, co w hierarchii agencji nie oznaczało zbyt wysokiej pozycji. A więc niekoniecznie znała top-toplistę. Istniało więc

ryzyko, że jeśli Wesołowski zaproponuje knajpę z tego topu-topu, nie będzie jej znała. To też byłoby niezręczne. Wprawdzie mógłby wtedy grać rolę cicerone, ale jednocześnie dla drugiej strony byłoby to trochę niekomfortowe. A taki drobny dyskomfort mógł być przyczyną zerwania kontaktu, tej cienkiej nitki, na której końcu, jak ogromny balon, unosił się kilkumilionowy budżet kampanii. Nos Wesołowskiego pokrył się kropkami potu.

– To co, może Meduza? – zaproponował.

Odpowiedziało mu dwusekundowe milczenie.

– Wiesz, tam przy Mokotowskiej, w podwórku – dodał szybko.

– Tak, tak. Ale dlaczego właśnie Meduza? Rozumiem, że ty będziesz Perseuszem, ale ja wobec tego kim? Andromedą? Ateną? Może Danae?

Wesołowski nie rozumiał, o co jej chodzi, ale z brzmienia głosu wyczuł, co może odpowiedzieć.

– No, Danae to raczej nie.

– Więc kim? A może Meduzą?

– Nie, no co ty – odpowiedział zmieszany. – Okaze się wieczorem.

– No to do zobaczenia. O siódmej. Pa! – zakończyła Wylazińska i odłożyła słuchawkę tak szybko, że nie zdążył odpowiedzieć na pożegnanie.

I miał problem. Przygotowywał się tak starannie, żeby zabić w sobie niepewność. Czemu zakończyła tak szybko? Chciała go wyrolować, wystawić do wiatru? I ta dziwna godzina: siódma. Zawsze umawiał się albo o szóstej, zaraz po pracy (ale wtedy z co najmniej jednodniowym wyprzedzeniem), albo o ósmej, z zawinięciem do domu przed spotkaniem. A teraz siódma. I ta chwila milczenia po tym, jak zaproponował Meduzę.

Oczywiście, to wszystko mogło być bez znaczenia. Mogła umówić się wcześniej, bo mieszkała blisko, albo mogła wyjść wcześniej z pracy. Mogła się zawahać, bo nie znała knajpy albo dawno w niej nie była i musiała sobie

przypomnieć.

No i o co jej chodziło z tą Meduzą? Coś mu się kojarzyło z Grekami, ale nie potrafił sobie przypomnieć żadnych szczegółów. A nie miał kogo zapytać.

A może...

Przed tą myślą Wesołowski uciekał jak mógł.

Nakremował się, wypachnił, nażelował włosy i wziął się za sprzątanie. Nie wiedział nic o Wylazińskiej i musiał się liczyć z tym, że wieczór skończy się u niego. Dlatego musiał dopracować wszystkie szczegóły. Mieszkanie było jego narzędziem pracy, jak penis. Czy raczej odwrotnie – narzędziem, ale o dokładnie przeciwnej funkcji. Było kryjówką, w której chowali się spragnieni miłości kochankowie. Do jej przytulnego wnętrza zapraszał swoje mediaplanerki i specjalistki do spraw reklamy. A one potem, wbrew wyliczeniom o kosztach dotarcia do tysiąca sztuk targetgrupy, wciskały nieznanym się na rzeczy mocodawcom reklamę w jego piśmie, powtarzając uzasadnienia, które im szeptał na ucho w knajpie przy deserze, a przed tym, co miało być dalej. Mieszkanie było niezbędnym ogniwem tego łańcucha i dlatego wynajął tę cholernie drogą, dopieszczoną przez właściciela kawalerkę z widokiem na kolumnę Zygmunta, falliczny pomnik, który wywoływał właściwe skojarzenia i robił właściwe wrażenie („ale masz tu super”).

W szlafroku, powoli, żeby się nie spocić, odkurzał metodycznie wszystkie kąty i kątki, ułożył włochatą narzutę na sofie, poukładał kolorowe pisma na półce, schował część pod łóżko, a inne wyłożył na wierzch, żeby były dobrze widoczne.

Dużo czytał. Jego praca była bardziej intelektualna, niż mogłoby się wydawać. W dziennikach wynajdywał nowinki gospodarcze, szukał analiz rynku i podglądał, kto, jak i co reklamuje. Dotyczyło to nie tylko dodatków motoryzacyjnych, ale wszystkich wydań. Prasę branżową czytał, żeby wiedzieć, kto przymierza się do wydawania pieniędzy na reklamę, a także dla zdobycia świeżych informacji

o ludziach: kto co robi, gdzie się przenosi lub awansuje. Czytał też trochę o kulturze, żeby przy głośzeniu łatwiej robić wrażenie gościa na poziomie, no i głębiej podrażnić tematy, które były na topie – głównie filmy. Wreszcie śledził wszystkie ważniejsze miesięczniki kobiece, te z wyższej półki. Nasiąkał językiem, żeby łatwiej się dogadywać z ich czytelniczkami, mieć wspólne tematy, wiedzieć, czego oczekują. Kiedy parę miesięcy wcześniej wyczytał w jednym z takich pism, że powinien golić się pod pachami, zaraz zrobił z tej informacji użytek, co, zauważył, zostało już parę razy docenione.

Dobrze byłoby sprawdzić z tą Meduzą, myślał, ale takich ksiązek nie miał w domu, a było już za mało czasu, żeby szukać po bibliotekach.

Porządkowanie nie przynosiło mu ulgi. Wciąż stawiał sobie w myślach pytanie: o co chodzi z tą Meduzą i co mogło być nie tak w samej knajpie?

A jeśli stało się to, co podejrzewał, czego się zawsze obawiał, jeśli ten dialog był początkiem jego końca? Jeśli stanął na równi pochyłej i właśnie zaczynał się staczać, wypadać z obiegu?

Przecież zawsze dotąd się udawało. Meduza była pewniakiem, jedyną bezpieczną knajpą, która zawsze była na fali. Zawsze trochę była, ale i trochę nie była modna, i to dawało jej szczególne przywileje. Nigdy nie zdobyła statusu knajpy top-top, ale dzięki temu była zawsze rozwiązaniem do przyjęcia. W gruncie rzeczy mało kto ją znał. Ci, co znali, byli zadowoleni z przynależności do elitarnego grona bywalców. Ci, którzy jej nie znali, zaproszeni pierwszy raz, czuli się wyróżnieni.

Dlatego proponował ją zawsze, kiedy nie był pewien, jaki wariant wybrać. Meduza była jego dzokerem. Zawsze pasowała. Czyżby coś się zmieniło?

Zdenerwował się, wykonał zbyt gwałtowny ruch, zachwiał się, oparł o regał, regał zachwiał się i ze środkowej półki upadło na podłogę i stłukło się zdjęcie Anki, jego dziewczyny z Władysławowa.

– Kurwa mać! – krzyknął w bezsilnej złości. – Pierdolony pech! Kurrrrrwa!

To już na pewno była zła wróżba.

Anka była jego największym oparciem. Przecież dla niej robił to wszystko, zarabiał pieniądze, żeby kupić tu mieszkanie, ściągnąć ją do siebie, pobrać się. To dla niej nadludzkim wysiłkiem ciągnął zaoczne studia, żeby kiedyś, w przyszłości, znaleźć inną pracę i zacząć normalne życie. Tylko ją naprawdę kochał i dzięki temu uczuciu w oblepiającym go szlamie pozostawał w swoim mniemaniu czysty.

Zdjęcie Anki stało zawsze na półce i ostatnim aktem przygotowań było schowanie go na dno walizki, żeby nie znalazła żadna, nawet najbardziej wścibska klientka. To było jego sacrum. Teraz sacrum spadło na podłogę i potłukło się, i wiedział, że nie da się tego naprawić, bo nie było tam ramki, zdjęcie zostało odbite wprost na szkło.

Wypił coś zimnego, posprzątał odłamki, trzęsącymi się jeszcze trochę rękami wybrał z szafy odpowiednio modne ubranie, upewnił się, że w lodówce jest alkohol, i wyszedł.

Alfa Romeo uspokoiła go. Dobrze, że właśnie teraz dostał ją na tydzień do testowania. Alfa 156. To było coś. Z dobrym autem czuł się pewniej, a teraz bardzo tego potrzebował. Z miłością podotykał przycisków. Zaszumił silnik i auto miękko wytoczyło się z parkingu na ulicę.

Jechał Krakowskim, próbując przypomnieć sobie jakieś kawały czy dowcipne historyjki na pierwsze minuty rozmowy, zanim spotkanie się rozkręci. Przy Koperniku spojrzał w prawo na okna dziennikarstwa. Jeśli zda we wrześniu jeden egzamin, z którym nie wyrobił się w sesji, będzie na czwartym roku. Kiedy przyszedł do pracy w wydawnictwie, szef obiecał, że jak wytrzyma w dziale reklamy pięć lat, znajdzie mu robotę w redakcji. Właśnie wtedy miał skończyć studia.

Dwa lata. Muszę wytrzymać jeszcze dwa lata. I wszystko się ułoży.

Myśli przelatywały mu przez głowę jak samochody, które wyprzedzał, niepotrzebnie gazując. Zwolnił dopiero przy wylocie Książęcej na plac Trzech Krzyży. Wjechał w Mokotowską, zaparkował najbliżej, jak się dało, przeszedł przez podwórko i już był w Meduzie.

Była za piętnaście siódma. Zamówił colę i bezmyślnie gapił się w wiszące na środku sali pod sufitem plastikowe monstrum.

Dlaczego to jest, do kurwy nędzy, zielone? Że niby jakiś pojeb-artysta miał taki odlot, żeby zrobić ją zieloną.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że to właśnie miała być ta Meduza. Meduza? Meduzy, które znał, były bez koloru. Od biedy dało się powiedzieć, że te flaki w środku były trochę brązowe, czasem różowe czy fioletowe.

Takie meduzy znał z Bałtyku. Nie lubił ich, choć wzbudzały raczej jego litość i współczucie niż obrzydzenie. Co to za los być meduzą? Unosić się przez krótki czas w przybrzeżnej wodzie, najdłużej, jak się da, balansując pomiędzy życiem a śmiercią, gdy zbyt wysoka fala wyrzuci ją na brzeg, żeby tam zgniła w piasku, rozdeptana czy wypalona słońcem.

Przypomniał sobie, że właśnie teraz jest czas meduz. Druga połowa sierpnia. Ile to miało trwać? Dwa, trzy tygodnie? Dla jednych trochę dłużej, dla innych może już było po ptakach.

Patrzył i patrzył na plastikowe monstrum, i nagle zaczął się go bać. Odwrócił głowę, ale potem znów tam spojrzął, jakby jakaś przemożna siła ściągała jego wzrok do góry. Meduza też miała oczy. Wielkie fioletowe gały, które wywalały się na niego spomiędzy włochatego zielonego cielska. Wesołowski zeszywniał.

Siedział zwrócony do wejścia, ale nie patrzył już na drzwi. Wylazińskiej nie było, musiałby ją zauważyć, gdyby wchodziła. Kątem oka udało mu się spojrzeć jeszcze na zegarek. Dwadzieścia po. Ile mogła się spóźnić w ramach tego układu: kwadrans, może pół godziny. Czy coś się stało? Bo nie korki, o tej porze nie ma już

korków.

Kiedy przyszła dziewczyna z tacą, nie odwracając głowy zamówił jeszcze jedną colę. Kelnerka przyniosła ją, a wtedy Wesołowski wypił zawartość szklanki jednym haustem, bo czuł, że zasycha mu w gardle.

## Ławka

– ...Jacek na bramce, a ty, nowy, przy ławkach, przed budynkiem. Są jakieś pytania? Nie? No to odprawa skończona.

Szef zmiany popatrzył jeszcze na pyzată, dziecinną twarz nowego, który był jednak wyższy od niego co najmniej o pół głowy.

– Jakbyś czegoś nie wiedział, to pytaj Jacka. On jest na tym obiekcie trzy miesiące.

– Ehe – potwierdził nowy i pokiwał głową.

– Ale to czego ja mam pilnować? – powiedział, kiedy szef zmiany zniknął w głębi budynku. – Przecież te ławki są stalowe i wpuszczone w beton. Nikt nie ukradnie.

– Żeby nie siadali pilnuj – tłumaczył mu przyszczaty Jacek jak głupiemu. – Żeby się nikt nie kręcił. Ławki są, ale ma być na nich pusto. Do końca, jak wyłożone baumą, cię interesuje, dalej to już chodnik od ulicy. Tam se mogą obcy chodzić.

– Nikt ma nie siadać na ławkach?

– W zasadzie to nikt. Bo to psuje widok. Ci z budynku, co by mogli, to albo zaraz wchodzą do środka, albo, jak wychodzą, to się spieszą. A z ulicy to nikogo nie puszczaj.

– Nikogo?

– Generalnie nikogo, no, chyba żeby był jakiś biznesmen w garniturze. Reguła jest prosta: ci, co by mogli siadać, nie mają czasu. Ci, co by chcieli, nie mogą. Więc wychodzi na to, że jak ktoś siada, to masz gonić.

– Ehe.

Nowy zniknął na chwilę za wyłożonym marmurami kontuarem recepcji.

– Ty czego tam? Ja tu mam stać przy bramce – zaniepokoił się Jacek.



– Nie, nic, tylko matka mi śniadanie dała – powiedział nowy, pokazując plastikową torebkę. – Z sobą głupio, muszę gdzieś schować.

– Daj tu, mam takie miejsce na zapleczu, to ci przechowam – powiedział Jacek.

Nowy wyjął jedną podwójną kanapkę i podał torebkę Jackowi. Kanapkę schował do bocznej kieszeni czarnych bojówek.

– Czasem głód człowieka nagle chwyci – usprawiedliwił się.

– No, uważaj. Żeby cię nie widzieli, jak jesz. Zaraz ktoś powie szefowi, i będzie. Ten to za taki numer bez mrugnięcia wyleje człowieka z całą kąpielą.

– To co, pójdę – nowy popatrzył z żalem przez przyciemniane szyby. W środku była klimatyzacja, a na zewnątrz już świeciło mocne słońce, choć dopiero zbliżała się siódma. Poszedł parę kroków, ale zaraz stanął i zawrócił. – Ty – powiedział do Jacka – a może ja bym tu postał, popatrzył? Tam przy ławce to się niczego nie nauczę. A ty tu się znasz, to byś mi opowiedział o robocie.

– Szef ci kazał, to idź. Każdy od ławki zaczyna. Ja też tam stałem, dopiero po miesiącu awansowałem na parking, a jeszcze później na bramkę.

– Dobra, to idę – nowy z żalem odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia. Kiedy miał przestąpić próg, przeżegnał się szybkim ruchem. Jacek spojrzał na niego z politowaniem. Uśmiechnął się do Basi z recepcji, pokazał wzrokiem na nowego i sparodiował jego gest.

Nowy tymczasem wyszedł już na placyk. Rozejrzył się dookoła, w stronę parkingu, na ulicę, za siebie, na budynek.

\* \* \*

Z początku było ciekawie. Po siódmej zaczęli się schodzić biznesmeni i eleganckie kobiety. Szli z lewej, od parkingu, albo wysiadali z aut czy taksówek na chodnik przed biurowcem. Nikt nie zwracał uwagi na wysokiego ochroniarza

z bladą, pyzată twarzą. Za to on przyglądał im się uważnie. Byli tacy zaaferowani, z teczkami. Wyglądali jak na reklamach. U siebie w Mińsku takich ludzi nie widywał, więc gapił się jak na trzech króli z ruchomej szopki. Czasem ktoś przeszedł obok i zostawiał za sobą chmurę egzotycznych perfum.

Po dziewiątej zrobiło się nudniej. Już mało kto przechodził. Ochroniarz zaczął się interesować ulicą. Wysoki biurowiec stał wklejony w środek zwyczajnego osiedla. Niedaleko, za drewnianym ogrodzeniem obwieszonym reklamami sklepów, był bazar. Chodnikiem przemykali ludzie po zakupy i z zakupami.

Nagle spał się cały. Jakaś kobieta z torbami pełnymi warzyw przysiadła na jednej z ławek przed biurowcem. Że też jej od razu nie zauważył.

– Tu nie wolno siadać – powiedział, starając się, by jego głos zabrzmiał służbową mocą.

– A czemu to nie wolno? – zdziwiła się kobieta. Mogła mieć z sześćdziesiąt lat. Spod azurowego kapelusika wystawały potargane kosmyki siwych włosów. Po policzku spłynęła jej kropla potu.

– Nie wolno, i już – powiedział ochroniarz.

– A co to, zbiedniejecie od tego? Posiedzę, odpocznę i pójdę dalej.

– Ale nie wolno. To nie do siedzenia.

– Chłopcze, a czemu ty tak? Przecież ja mogłabym być twoją matką – popatrzyła na niego. – A może i babcią. Babcie swoją też byś tak gonił? Tu akurat po drodze nie ma żadnej ławki. Odsapnę i pójdę.

– Proszę pani, ja panią bardzo proszę – zmienił ton. – Jestem pierwszy dzień w pracy. Mam okres próbny. Szef zobaczy i będę miał kłopoty.

– Idę już, idę – powiedziała kobieta zniecierpliwionym głosem. Wstała. – Co za wychowanie. Ty chyba nie z Warszawy jesteś.

– Z Mińska Mazowieckiego – powiedział, jakby zadowolony.

– Ano właśnie – wzięła w ręce siatki z zakupami. – Nazjeżdża się do stolicy

chamstwa i potem człowiek nie może na ławeczce posiedzieć. A zjedzcie sobie tę ławkę. Wypchajcie się, niech wam w gardle stanie... – mówiła, odchodząc, aż jej głos utonął w gwarze ulicy.

Było mu przykro, ale poczuł ulgę, że wreszcie poszła. Odetchnął głęboko. Popatrzył za siebie. Przez przyciemnione szyby ledwo co było widać, ale zdawało mu się, że Jacek przy bramce kiwnął do niego ręką, że w porządku. Więc też kiwnął.

Słońce świeciło już bardzo mocno. Całe szczęście, że miał służbową czapkę z daszkiem. Potarł ręką kark. Był mokry od potu. Wyciągnął z kieszeni spodni wyprasowaną pięknie chustkę do nosa, zdjął czapkę i przetarł głowę dookoła. Chustka zrobiła się mokra. Z innej kieszeni wyciągnął drugą, tak samo wyprasowaną chustkę i jeszcze raz przetarł czoło.

Stado ptaków wyfrunęło z korony drzewa, które rosnęło po przeciwnej stronie ulicy. Zapatrzył się na nie. Ptaki poleciały do góry i znikły za jednym z bloków. Na balkonie ktoś wieszał kolorowe pranie. Gdzieś przy skrzyżowaniu, z prawej strony, samochód zahamował z piskiem opon.

Kiedy znów spojrzął przed siebie, na ławce siedział, a właściwie leżał jakiś mężczyzna w podartym ubraniu. Ochroniarz szybko podszedł i pochylił się nad intruzem.

– Tu nie wolno. Proszę wstać i opuścić teren. Kłoszard nie reagował. Patrzył na ochroniarza mętnym wzrokiem.

– Eee – powiedział nowy jeszcze głośniejszym głosem, łapiąc tamtego za ramię. – Tu nie wolno. Idź se pan do parku.

– Weź tę rękę – głos kłoszarda był bełkotliwy, ale w miarę przytomny. – Macać się możesz ze swoją siostrą. Ode mnie won. Mój brat jest tu szefem – pokazał na biurowiec. – Jeszcze raz mnie dotkniesz, i cię zwalnia – kłoszard pogroził nowemu palcem.

Ten wycofał się zdezorientowany.

– Nie wierzysz, to sprawdź – kloszard pokazał mu palcem budynek. – Na siódmym piętrze pracuje.

Nowy rozejrzał się dookoła. Akurat nikt nie przechodził, nie było kogo zapytać. A czas płynął. W głowie ochroniarza przebiegały sprzeczne myśli.

– Tak, tak, najpierw to sobie przemyśl – powiedział kloszard, patrząc na jego minę.

Nowy zerwał się i pobiegł truchtem do recepcji. Jacka nie było, ale siedząca tam dziewczyna wszystko mu powiedziała. Przez szklane drzwi zobaczył, że kloszard wczepił się palcami w siatkę, z której zrobione było oparcie ławki.

Nie minęła minuta i już był z powrotem.

– Spadaj stąd, ale już – powiedział zdyszany, szarpiąc tamtego za ramię.

Ale kloszard był bezwładny i dość ciężki. A do tego trzymał się mocno oparcia. Wydawał się nie do ruszenia.

– Co tu się dzieje? – zapytał jakiś biznesmen w granatowym garniturze, wychodzący z biurowca. – Co to za szarpanina?

– Wszystko w porządku, panie prezesie, zaraz go stąd wyrzucimy. – To był Jacek. Wyłonił się nagle zza pleców biznesmena. – We dwóch pójdzie szybko. Minuta, i gotowe – dodał.

Biznesmen oddalił się i zniknął wśród samochodów na parkingu.

Jacek nachylił się nad kloszardem.

– Smyrgaj stąd, ale już. Bo jak nie, to dostaniesz taki wpierdol, że turecki miesiąc będziesz pamiętał.

Kloszard popatrzył na niego kpiąco.

– Chyba ruski.

– Co? – zdziwił się Jacek.

– Mówi się, że ruski miesiąc.

– Ruski nie ruski, wypierdalaj z ławki, bo zaraz będzie!

– Oj, matury to my nie mamy – przekomarzał się kloszard. – Zawodóweczkę się najwyżej kończyło albo i nie.

Jacek wyjął z uchwytu przy pasku pałkę tonfa, chwycił za koniec, wziął krótki rozmach i rękojeścią mocno strzelił kloszarda w udo.

Kloszard zawył. Złapał się za nogę i próbował wstać.

– Morda w kubek, bo zaraz pójdziemy za róg i tam dopiero będzie dyskoteka. – Jacek złapał kloszarda za ramię i szarpnął do góry. – Dyskutować se możesz w telewizji – wbił mu palce w ramię. Kloszard uniósł się i wtedy Jacek popchnął go w stronę chodnika. – I żebym cię tu więcej nie widział, bo na drugi raz to inaczej porozmawiamy, śmierdzielu.

Kloszard pokuśtykał do ulicy. Odwrócił się, pokazał palcem *fuck*.

– A tureckie to może być kazanie, z którego nic nie rozumiecie, wy, pylony jedne.

Jacek zrobił zamach, jakby chciał rzucić w tamtego pałką.

– By było – powiedział Jacek do nowego, kiedy kloszard zniknął za drzewami. – To szef całego tego – zatoczył ręką krąg nad głową, gdzie na środku fasady wieżowca wisiało ogromne logo zagranicznej firmy.

– No co ty – nowy nie mógł uwierzyć. – A mi mówił, że jest bratem szefa. Ale pytałem na recepcji i się okazało, że nie.

Jacek pokiwał głową.

– Oj, głupiś ty. Nie wiem, czy się nadasz do ochrony. Przecież, że nie ten śmierdziel. Biznesmen. W garniturze, co przechodził.

– Aaaa. Pewnie! Ja się dziwiłem, bo gdzie tam taki...

– Nic już nie mów. Lepiej posłuchaj, jak ci mądrzejszy mówi, to się może czegoś nauczysz. Najgorsze w tej robocie jest, że nie możesz porządnie przyłożyć, bo to wszystko na widoku – pouczał go Jacek.

– Na kursie mówili, żeby raczej nie bić – wtrącił nieśmiało nowy.

– Teoria teorią, a praktyka praktyką. Weź gadaj z takim Turkiem. Tu musisz być skuteczny. Nie przyłożysz, to nie zrozumie.

– Właśnie, o co mu chodziło z tym kazaniem, że nie zrozumiemy. Powiedział, że wypylony, czy jak...

– Co ty mi tu głowę zawracasz z kazaniem?! – zniecierpliwił się Jacek. – Głupi jesteś, czy co? Ja ci pomagam, a ty mi tu pytania zadajesz!

– Przepraszam.

– Oni to też! Ławki zrobili nie wiadomo po co. Żeby się pchała swolocz, gdzie jej nie proszą. Cholerni menele. Taka okolica, niby centrum miasta. I weź to było ucz kultury.

– W ogóle to dzięki. Bez ciebie bym sobie nie poradził. Cieszę się, że na ciebie trafiłem.

– To nie jest taka łatwa robota, jak się ludziom wydaje. Chcesz się utrzymać, to musisz być twardy i sprężysty jak chuj konia.

– Chcesz kanapkę? Mam z pasztetem i pomidorami – nowy sięgnął do bocznej kieszeni. – W ogóle to Piotrek jestem – wyciągnął rękę z kanapką.

– Oj, Piotrek, Piotrek. Już ci mówiłem, że tu nie można jeść – powiedział Jacek, biorąc kanapkę. Odchylił sreberko i zajrzał do środka. – Zjem z tyłu za recepcją i potem przyjdę cię na chwilę zmienić.

– Jak chcesz, to weź sobie, w mojej torbie jest butelka z kompotem – rzucił za nim Piotrek, ale tamten nie słyszał, bo już zamykały się za nim drzwi, sterowane fotokomórką.

Nowy poczuł się jakoś lepiej. Podciągnął spodnie i wsunął kciuki za pas, szeroko rozstawiając nogi. Przybrał pozę, której uczyli go na kursie. Zasunął daszek głębiej na czoło. Pomyślał, że teraz wygląda groźnie i nikt nie będzie miał odwagi mu się sprzeciwić.

Ale akurat nikt nie szedł. Stał tak z pięć minut, co jakiś czas oglądając się na Jacka. Potem poza mu się znudziła. Splótł ręce, oparł się o ścianę budynku, zaczepiając nogę o nogę.

Potem stopa mu ścierpła. Pozginał nogę w kostce. Pobujał butem. Zrobił obchód swojego terenu. Wyszedł na publiczny chodnik. Spojrzał w głąb ulicy. W jedną stronę. W drugą. Przeszedł kawałek w stronę parkingu, gdzie w cieniu budki siedział na krześle inny ochroniarz. Gdy był w połowie drogi, zawrócił, bo ten z budki coś mu pokazywał na migi.

Nowy odwrócił się i zobaczył, że na jedną z ławek ktoś się ładuje.

Podbiegł truchtem.

Facet przyszedł najwyraźniej z ulicy, bo stanął twarzą do budynku. Rzucił na ławkę torbę, usiadł i popatrzył na zegarek.

Był to mężczyzna na oko czterdziestokilkuletni. Opalony, w srebrnych okularach, w sportowym stroju, szortach, koszulce polo. Na nogach miał adidasy z białymi skarpetami podciągniętymi do pół łydki. Torba była duża, z uszami i napisem „Head”. Mężczyzna rozsiadł się wygodnie, wyjął z torby czasopismo i zaczął czytać.

Piotrek dobiegł kilkanaście sekund po tym. Chwilę wyrównywał oddech, po czym naciągnął czapkę głębiej na oczy i zbliżył się do tamtego.

– Przepraszam, tu nie można siedzieć – powiedział grubym głosem. Ale zatrzymał się jakiś metr od ławki. Coś go blokowało i nie odważył się podejść bliżej.

Facet nie zwracał na niego uwagi.

– Przepraszam – nowy odchrząknął. – Przepraszam, tu nie można siedzieć.

Tamten dalej czytał swoje pismo.

– Halo, halo! Tu nie można na ławce – powiedział ochroniarz, przybliżając się. Jego cień zakrył stronę czasopisma.

Mężczyzna podniósł głowę.

– Odejdź, bo światła nie mam.

– Tu nie można siedzieć. Na tej ławce – powtórzył zniecierpliwionym, ale trochę zbyt cichym głosem Piotrek. Chciał być pewny siebie, ale zachowanie mężczyzny z niewiadomych powodów go peszyło.

– Odwróć się. Widzisz ten czarny samochód? Tam, na chodniku.

Nowy odwrócił się, zdziwiony.

– No ten duży, terenowy. To mój. Jak nie masz co robić, to skocz tam, popilnuj, żeby mi jakaś gówniażerka rysy nie zrobiła albo lusterka nie urwała.

Ochroniarz cofnął się. Nie poszedł w stronę samochodu, ale też nie wiedział, co ma teraz zrobić. Jacek na złość nie nadchodził. A gość w najlepsze czytał swoje pismo. Nie interesował się nim. Widać wystarczyło, że ochroniarz nie przeszkadzał mu już w lekturze.

Nowy rozglądał się na boki. Ratunek nie przychodził. Nad nim i dookoła niego lśniła półokrągła fasada biurowca. Wiele okien wychodziło wprost na teren, który znajdował się pod jego opieką. Ktoś pewnie wszystko widział. A tam, na ławce, siedział intruz w sportowym ubraniu i czytał pismo.

„Musisz być twardy i sprężysty” – przypomniał sobie słowa Jacka. Zebrał się i postanowił spróbować jeszcze raz.

– Przepraszam, bo tu nie można siedzieć. Na tej ławce. Ja tu pilnuję – powiedział, ale tamten znów jakby go nie zauważał, pogrążony w lekturze. – No idź stąd, rozumiesz! – krzyknął w końcu.

– I po co te krzyki? – mężczyzna w końcu spojrzał na niego. – Jest ławka, to siedzę. Jasne, nie? Po co się robi ławki? Żeby siedzieć. Więc odejdź, chłopcze, w spokoju i nie przeszkadzaj mi, bo chyba widzisz, że czytam. A jak się nudzisz, to już mówiłem, możesz popilnować mojego samochodu.

– Tu nikt nie może siedzieć. Jasne?



– Ja mogę. Szef tej firmy to mój kolega. Widzisz tę torbę? Umówiłem się tu z nim, bo idziemy zaraz grać w tenisa. Wystarczy?

– Dobra dobra, takie teksty to nie do mnie – powiedział ochroniarz pewniej niż przedtem.

Ale mężczyzna jakby uznał, że rozmowa skończona. Znow zatopił się w lekturze.

– Jak nie idziesz po dobroci, to zaraz strzelę pałą – nowy próbował naśladować głos Jacka, ale wyszło trochę za piskliwie. Rozejrzał się na boki i zrobił gest, jakby sięgał do pałki wiszącej mu na szlufce z tyłu, przy pasku.

Teraz mężczyzna popatrzył na niego zdziwiony. Podniósł prawą dłoń i wykonał zapraszający gest palcem. Ochroniarz stał jak słup.

– No chodź tu, chodź, przecież nie będę krzyczał na całą ulicę.

Ochroniarz jak zahipnotyzowany zbliżył się do mężczyzny. Tamten wykonał kolejny zapraszający gest. Nowy zbliżył się jeszcze bardziej. Wtedy mężczyzna nagłym ruchem chwycił go za gardło i przysunął jego głowę do swojej. Ochroniarz poczuł zapach perfum albo jakiegoś wykwintnego tytoniu. Chwycił dłońmi rękę tamtego, ale lekko, nie tak, żeby oderwać ją od swojej szyi. Bał się, że tamten ściśnie palce mocniej i go udusi.

– Słuchaj, synku – powiedział cicho mężczyzna – lepiej nie przesadzaj, bo się to dla ciebie źle skończy. Jesteś z Warszawy?

– Nie, z Mińska – powiedział ochroniarz słabym głosem.

– Tym gorzej. Bo jak mnie zdenerwujesz, to ci załatwię, że wrócisz w try miga do swojego Mińska i będziesz tam pilnował osiedlowego parkingu za jedną trzecią tych pieniędzy co tu. Więc teraz w tył zwrot i maszeruj podeprzeć ten budynek, żeby mi się na głowę nie zawalił, jak czytam.

Mężczyzna puścił szyję nowego i odepchnął go od siebie. Ochroniarz zaczął masować sobie gardło. Wybałuszał oczy na mężczyznę.

– I jeszcze jedno, synu. Jak masz pracę z ludźmi, to myj co rano zęby, bo ci tak pachnie z buzi, że trudno wytrzymać.

Ochroniarz odruchowo zamknął usta i cofnął się o pół kroku. Coś się w nim zbierało, gotowało, przelewało.

– No, lepiej. Ale i tak myj zęby, bo ci je zje próchnica, a po cerze widzę, że nie odżywasz się najlepiej. Niech ci mamusia daje więcej warzyw i owoców.

Wtedy nowy nie wytrzymał. Ręce same ścisnęły mu się w pięści. Zamachnął się i zdzielił mężczyzną pięścią w twarz. Ręka mu się omsknęła, bo tamten odchylił głowę, więc rozczapierzył dłonie i zaczął go dusić. Ale mężczyzna wyrwał się i wykręcił mu rękę. Nacisnął przegub i zaczął wyłamywać kciuk. Ochroniarz poczuł straszny ból. Zawył. Łokciem drugiej ręki uderzył tamtego w brzuch. Mężczyzna podstawił mu nogę i popchnął. Nowy zwałił się na ziemię, prosto na dłoń z wyłamanym kciukiem, mężczyzna usiadł na nim, przygniatając bolącą dłoń do betonu, wtedy nowy zawył jeszcze głośniejszym wierzgnięciem zepchnął go z siebie.

Tarzali się chwilę, aż mężczyzna zaczął zyskiwać przewagę. Ochroniarz był większy, ale musiał stale chować rękę z uszkodzonym kciukiem. Zapomniał wszystkiego, czego nauczył się na kursie. Czuł tylko pulsujący ból. Starał się chwycić mężczyznę za szyję zdrową ręką, ale tamten się wyrwał.

Trwało to kilkadziesiąt sekund.

Potem, gdy udało mu się na chwilę przydusić mężczyznę do ziemi, zobaczył, jak od parkingu nadbiegają inni ochroniarze, a od budynku Jacek z szefem zmiany. Uśmiechnął się do nich, bolącą ręką wykonał gest, że w porządku, że zaraz sytuacja będzie pod kontrolą, że sobie poradzi sam, żeby się tak nie przejmowali, aż poczuł z tyłu silne uderzenie w głowę i stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, zobaczył obok swojej głowy buty. Jedne, drugie. Między czarnymi butami na traktorach czarne, błyszczące pantofle biznesmena. Dalej jasne

sportowe buty faceta z ławki.

– Chłopak jest nowy, pierwszy dzień, dopiero po kursie. Udaru chyba dostał od tego słońca – tłumaczył się szef zmiany.

– Gównu mnie obchodzi jego udar – powiedział biznesmen. – Ty, Jurek, jesteś pewien, że nie będziesz chciał odszkodowania?

– Nie, dajmy spokój. Na szczęście to była chwila. Nie wiem, czy mu tam po drodze czegoś nie złamałem. Tyle że mi gówniarz zgniótł oprawkę od Armaniego, a to jest nowa kolekcja i w Warszawie takiej nie kupię.

– O okulary się nie martw, jadę w przyszłym tygodniu do Paryża, to ci przywiozę.

– Oczywiście nasza firma pokryje koszty – włączył się szef zmiany.

– Z wami to ja się porachuję osobno – przerwał mu biznesmen. – Jak wrócę za dwie godziny, ma na mnie czekać wasz szef z umową w zębach.

– Dobra, chodź, załatwisz to po powrocie, bo nam i tak już pewnie zajęli najlepszy kort.

– Jeszcze raz bardzo pana przepraszam. A z tym tu to już my załatwimy.

Piotrek zamknął oczy, bojąc się, że zaraz spocznie na nim spojrzenie szefa zmiany. Leżał nieruchomo. Starał się prawie nie oddychać. Chciał nie być, chciał, żeby to wszystko tylko mu się wydawało. Chłód kostki bauma trochę łagodził ból kciuka, promieniujący na całe ciało.

– Jedziemy moim czy twoim? – usłyszał przez oddalające się kroki.

– Może moim, przebierzesz się w czasie jazdy.

– Ale te okulary.

– Nie martw się, w samochodzie mam drugie, a poza tym, jak go tu zostawię...

– dalej nie usłyszał, bo słowa utonęły w szumie ulicy. Nowy zacisnął jeszcze mocniej powieki, bojąc się, że teraz uwaga stojących obok mężczyzn skupi się na nim.

– A jak mi, wiesz, powiedział, że jest kolegą prezesa, zaraz pomyślałem, to ja już znam, nie będę naiwny... – mówił nowy przez łąpczywie jedzoną kanapkę. Kawalek pasztetu wypadł mu z ust i przykleił się do brody.

Jacek siedział po drugiej stronie stołu, przodem do wejścia. Ręce trzymał pod stołem. Przenosił wzrok z nowego na zegar, który wisiał nad drzwiami. Dochodziła druga.

Pakamera za recepcją była ciasna. Obok stołu było tyle miejsca, żeby przejść, i jeszcze w bok może dwa metry kwadratowe, gdzie stały wiadra ze szmatami, szczotki, mopy i aluminiowa drabina. Zegar tykał miarowo.

Nowy popił kompotem, zasiorbał.

– ...bo skąd miałem wiedzieć, ja rozumiem, nie wolno siadać, to nie wolno. Ale trudno, jakoś to będzie, wszystkiego się człowiek może nauczyć, prawda?

Jacek odwrócił wzrok.

Usłyszeli kroki.

Ktoś otworzył drzwi, wszedł do środka i stanął za plecami nowego. Nowy patrzył na Jacka, który chciał wstać, ale nie udawało mu się, bo stół przeszkadzał. Drzwi się zamknęły. Nowy odwrócił się, żeby zobaczyć, kto przyszedł, ale wtedy poczuł, że czyjaś ręka podnosi go za kołnierz do góry. Druga chwyciła go za bolącą dłoń, obwiązaną bandażem. Poczul straszny ból, ale zacisnął zęby, żeby nie wydać żadnego odgłosu, jakby coś od tego zależało. Ktoś wytrącił mu krzesło spod siedzenia i rzucił go na ziemię, pomiędzy szmaty i kubły. Upadł na bok i pierwszy kopniak trafił go w górę brzucha, w splot słoneczny. Zatkanęło go na chwilę. Skulił się, chcąc złapać oddech. Drugi kopniak był wycelowany niżej. Nowy poleciał na wiadra. Drabina zachwiała się, ale Jacek, który stał tuż obok, przytrzymał ją ręką. Trzeci kopniak trafił nowego w głowę. Zasłonił się zdrową ręką, ale i tak z nosa poleciała mu krew.

Szef zmiany popatrzył na Jacka.

– Ty tego oczywiście nie widziałeś. – Jacek spuścił wzrok. – Rozumiemy się chyba? Czy mam coś wyjaśniać? Ty mu miałeś powiedzieć, co i jak. Więc jak by co, to o tej porze akurat jesteś na obchodzie, tak? – Jacek powiedział coś, ale prawie bez głosu, samymi wargami. – Co tam mamrociesz? Rozumiemy się czy nie?

Jacek w końcu uniósł wzrok. Nie patrzył jednak w oczy tamtego. Zatrzymał spojrzenie gdzieś poniżej brody szefa, na jego torsie. Spod czarnego materiału bluzy wystawała biała podkoszulka, a nad nią wychylały się rudawe, poskręcane włosy.

– Szefie, ja chcę pracować – powiedział.

– No. Bo gnojek nam tu tak namieszał, że jeszcze nie wiadomo, jak to się dla nas wszystkich skończy. Wypuść go tylnym wyjściem. Kwadrans, i ma go nie być.

Szef zmiany wyszedł.

Nowy wygramolił się spod stołu. Z napuchniętego nosa wciąż leciała mu krew. Jacek podał mu chustkę.

– Nie gniewaj się, Piotrek, ale widzisz, co narobiłeś. Przez ciebie cała firma może ucierpieć. Tu pracuje dziesięciu chłopaków na obiekcie.

\* \* \*

Dochodziła trzecia. Piotrek dowlókł się na stację kolejki i położył na ławce tuż przy zejściu ze schodów na peron. Na głowie miał chustkę do nosa z rogami związanymi na supełki. Z przodu zsunął ją sobie na oczy, żeby nie raziło go słońce. Na nosie miał okład z drugiej chustki, zamoczonej w wodzie z ulicznego hydrantu. Rękę z bolącym kciukiem trzymał na brzuchu, drugą, zdrową, podłożył sobie pod głowę. Prawie drzemał.

Najbliższy pociąg do Mińska miał o wpół do czwartej. Ludzie się jeszcze nie

schodzili. Na peronie było pusto, bo akurat odjechała kolejka w drugą stronę.

Rano myślał, że jak wieczorem skończy robotę, pochodzi po mieście, pójdzie na piwo, do kina, albo co. Teraz miał czas, ale mu się nie chciało. Wolał jak najszybciej wracać do domu, do matki. Chociaż nie wiedział, co jej powie.

Usłyszał, że ktoś schodzi po schodach z głośnym szuraniem, a potem człapie w jego stronę. Ale nie chciało mu się otwierać oczu.

– Posuń się, synku – powiedziała kobieta, stawiając związane sznurkiem łubianki na ławce, tuż obok jego głowy. – Nie jesteś tu sam, inni też chcą korzystać.

Piotrek zdjął z oczu chustkę.

Kobieta była w wieku jego babki. Miała na głowie żółtą chustkę, od razu było widać, że przyjechała ze wsi. Piotrek przypomniał sobie, że widział ją rano, jak wysiadał z kolejki. Babcia wiozła w łubiankach mirabelki. Miała chyba ze dwadzieścia tych łubianek. Ktoś ją potrącił, jak wynosiła je z pociągu na peron. Mirabelki wysypały się i poleciały pod nogi spieszących się podróżnych. Piotrek przez chwilę pomagał babci zbierać owoce, ale potem ją zostawił, bo nie chciał się spóźnić do pracy.

Babcia stanęła nad nim, zasłaniając słońce.

– No, posuń się, synku, posuń, też bym chciała usiąść.

Piotrek zdjął z nosa okład. Uniósł się lekko i wysunął zdrową rękę nad głowę. Natrafił na łubianki.

– Pani to zabierze. To moja ławka.

– Jaka tam twoja. Wszystkie ławki są nasze.

– To nie może pani usiąść na innej?

– Ta jest najbliżej. Nie będę nosić. Dość już się dziś nanosiłam.

– Nie rozumie pani, jak mówię po dobroci? To moja ławka. Zająłem ją i teraz jest moja! – Piotrek wstał i popatrzył z góry na babcię. Sięgała mu niewiele wyżej

niż do pasa.

Babcia, niespieszona, wykorzystała okazję i usiadła obok swoich lubianek.

– Bardzo ci dziękuję. Dobry z ciebie chłopak. Matka ma pewnie z ciebie pociechę.

Piotrek chciał coś powiedzieć. Chwilę zbierał myśli i akurat kiedy zaczął mówić, po sąsiednim, ukrytym za ażurową ścianą torze przemknął dalekobieżny pociąg, zahłasował, zaszumiał, zahurgotał, powiał chłodnym powietrzem i zabrał ze sobą jego słowa.

## Cukiernica po babci

Mieli oni problem. Mieli oni duży problem.

Było tylko kilka dni. Jeździli po mieście godzinami. Raz on, raz ona. W czasie pracy, zamiast przerwy na lunch. Wiezorami, popołudniami, kiedy udało im się wyjść wcześniej.

Pakowali w dziobki parkomatów monety jak okruszki, a one zapaskudzały tą swoją bździnką papierki, które trzeba było wtykać za szybę. I nic. Albo prawie nic.

– A ta, tamta tam? – pytał Olczak, a sprzedawca mówił:

– Tysiąc osiemset.

– A tamta tam obok? – pytał Olczak.

– Tamta tam to już dwa sto – mówił leniwie sprzedawca, bo wiedział, że handlu raczej nie będzie.

– A czemu tyle? – pytał Olczak.

– A bo to rosyjska, kryształowa, z początku wieku.

– Aha – kiwał Olczak głową ze zrozumieniem i wychodził.

Było to dla nich dużo. Mogli zapłacić kartą, i opóźnić sprawę o miesiąc, ale i tak trzeba by zapłacić. A na ich koncie wisiały same kredyty. Za mieszkanie, za samochód, za meble, za kuchnię. I jeszcze ostatnio kupili Nikiforka. Też na kredyt.

– Ale, kochanie, dlaczego w ogóle, przecież, no wiesz – mówił Olczak.

– No wiem, ale przecież ty też wiesz – mówiła jego żona.

Każde myślało po swojemu, ale że oboje znali wzajemnie te swoje racje, dyskusja nie miała większego sensu. Tak było źle, i tak było niedobrze.

Olczak poznał Matyszkiewicza na balu z okazji któregoślecia Najbardziej Znanej Gazety. Pracując na uniwersytecie, kręcił się przy różnych fundacjach. A Matyszkiewicz był komputerowcem. Poznał ich Renkiewicz, gość z Batorego,



gdzieś między sałatką a jesiotrem. Znał ich obu, bo Matyszkiewicz robił system dla Batorego jeszcze w starej siedzibie, a Olczak był kierownikiem projektu dotyczącego edukacji demokracji, demokracji transformacji albo transformacji edukacji, albo czegoś w tym rodzaju.

– Jurek Matyszkiewicz, projektuje systemy, a to Marcin Olczak, kieruje projektami – przedstawił ich sobie Renkiewicz, po czym zaraz spłynął, mówiąc: – Sorry, przyszedł Smolar, muszę się z nim przywitać.

Rozmowa nie miała się jak skleić.

– Podobno będzie tu śpiewał George Michael – zagał Olczak z głupia frant.

– Taaa? Nie wiedziałem – odpowiedział Matyszkiewicz, który w hałasie nie zrozumiał początku i wziął Olczaka za przygłupa.

– Bo to ma być niespodzianka – ciągnął Olczak, ale było już za późno.

– Przepraszam, skoczę po wino – powiedział Matyszkiewicz i zniknął w tłumie.

Potem Magda Olczak rugała męża.

– Matyszkiewicz to był ten Matyszkiewicz od tej Matyszkiewicz. Taka okazja. I ty się musisz jak zawsze wydurnić.

– A skąd miałem wiedzieć, że to ten Matyszkiewicz, a nie na przykład tamten Matyszkiewicz.

– Który tamten?

– No nie wiem który, ale inny – bronił się.

– Oj, Marcin, Marcin, jak ty nie zaczniesz czytać „Vivy”, to my się nigdy nie wybijemy – psioczyła.

– A co my jesteśmy ostatnie stado wielorybów, że musimy się wybić?

– Jak się nie wybijemy, to spadniemy. Wszędzie liczy się układ, a u mnie są tacy, co mają lepszy układ niż ja. Jakby co, to oni zostaną, a ja polecę.

– Jak polecisz, to będzie ci potrzebny ornitolog, a nie jacyś Matyszkiewiczze.

– Ty nie żartuj, bo to jest poważna sprawa. Jak będę szukała pracy, to ich dwa

telefony załatwią więcej niż tona CV wysłanych pocztą. Masz tu, przeczytaj sobie, żebyś wiedział, jaki kontakt nam przeszedł koło nosa.

Byli oboje ambitni, ale ona bardziej. Olczak pochodził spod Warszawy. Wprawdzie spod, ale jednak Warszawy. A Olczakowa z Lublina. Spotkali się na studiach. Niby przez te kilkanaście lat wrosli w miasto, ale to było ciągle za mało. Tu dobrze było znać ludzi od liceum. Prędzej czy później rozmowa schodziła na to, którego kto kończył ogólniaka. Tylko takie kontakty liczyły się naprawdę. Do pewnego stopnia można się było maskować, ale wymagało to niezłej ekwilibrystyki.

Oni się napinali.

Kupili mieszkanie w kamienicy na Mokotowie, w jednej z bocznych od Puławskiej. Remont zrobili tanio, stylizując mieszkanie na inteligenckie. Kupili trochę komódek-przecieraków z Koła, dowalili w korytarzu książek po sufit pod sufitem żyrandol, stary albo przynajmniej dobrze zrobiony na stary, z dołu nie było widać; na ścianach salonu powiesili zdjęcia, trochę prawdziwych przesepiowanych w komputerze, a trochę fałszywek, też kupionych na Kole. No i w końcu, niedługo przed tym, jak mieli do nich przyjść Matyszkiewiczze, rzucili się jeszcze na Nikiforka. Dobrze się złożyło, ale za to zupełnie wyczyścili się z pieniędzy.

Wtedy, po pierwszym spotkaniu z Matyszkiewiczem, Olczak przeczytał ten artykuł w „Vivie”. Wychodziło na to, że Matyszkiewicz to był ktoś, ale bardziej liczyła się Matyszkiewiczowa. Miała plecy jak stąd do Koszalina. Jej dziadek zbudował przed wojną fabrykę ołówków, a ojciec był do niedawna rektorem na Politechnice. Jako dziecko wyskubała Geremkowi dwa włosy z brody. Myjak uczył ją lepić z plasteliny. Teraz kierowała działem w Najbardziej Znanej Gazecie. Znała wszystkich, których trzeba było znać. Czysta warszawka jak ruski spirytus. A na jej ślubie był nawet amerykański ambasador, ten od Mikołaja Reja.

Jak już to wszystko Olczak wiedział, to za drugim razem postarał się lepiej.

Robił szkolenia do helpdesku przy jednym z farowskich projektów na temat dostosowania do unijnych standardów w rolnictwie. Pal licho rolnictwo, ale trzeba było przeszkolić personel w zakresie psychologii komunikacji, a PHARE płaciło ekspertom uczciwie. Tym od komputerów też: zapytania miały być wklepywane do bazy i po dodaniu odpowiedzi automatycznie wrzucane na stronę projektu, żeby wszystkich czterech polskich rolników podłączonych do Internetu mogło się dowiedzieć bez dzwonienia.

Trafili na siebie na jakiejś roboczej naradzie w Komitecie Integracji, gdzie miał siedzibę farowski fundusz.

– My się już znamy – powiedział na powitanie Olczak, żeby nie narażać się na ponowne przedstawianie, które dowiodłoby, że Matyszkiewicz go nie pamięta. – Poznaliśmy się na balu „Gazety”, mówiłeś, że jesteś fanem George’a Michaela, dobrze pamiętam – jechał dalej Olczak.

– Że co? – gubił się Matyszkiewicz, który dobrze się ożenił, ale był prostym komputerowcem.

Olczak wyjaśnił mu wszystko i potem, pracując przy projekcie dla rolnictwa, pal licho rolnictwo, trochę się zakolegowali. Jak się projekt kończył, Olczak zaprosił Matyszkiewicza z żoną do siebie.

Spadło im to z nieba. Magda Olczak zajmowała się marketingiem w jednym z wydawnictw produkujących prasę dla kobiet. Raz, że miała większe ambicje, a tam nie dało się już awansować, dwa, że w wydawnictwie były planowane redukcje i nieformalnie dowiedziała się, że ma tym razem duże szansę wylecieć. A mieli do spłacania te wszystkie kredyty. Na jej paromiesięcznej przerwie w pracy mogli się nieźle wyłożyć. Olczak czasem zarabiał sporo, ale czasem tylko tyle, co na uniwersytecie, czyli marnie. Akurat nic nowego mu się nie kroilo.

A z takiego spotkania mogło coś wyniknąć. Najbardziej Znana Gazeta ciągle przecież potrzebowała dynamicznych ludzi do swych nowych, śmiałych

przedsięwzięć. W dobrym momencie skończył się projekt helpdesku dla rolnictwa, pal licho rolnictwo.

Umówili się na piątek tydzień później i wszystko byłoby OK, gdyby nie przegląd francuskich filmów, na który Olczakowie chodzili ze snobizmu, a trochę też dlatego, żeby uciec od amerykańskiej sieczki.

Filmy były w poniedziałki. Parę minut przed siódmą ustawili się w kolejce. Ale to było za późno. Pchał się tłum. Nie udało im się kupić biletów, za to jeszcze jak czekali, podszedł do nich Renkiewicz, który zawsze był tam, gdzie wypadało być. Jeśli gdzieś nie było Renkiewicza, to znaczyło, że w mieście jest jakaś inna, ważniejsza impreza.

– To co, może posiedzimy w Baumgarcie – zaproponował Renkiewicz, kiedy wyjaśniło się z biletami.

I poszli.

Olczakowa chciała pochwalić się przed Renkiewiczem znajomością z Matyszkiewiczami, więc niby niechcący wtrąciła informację o tym, że ci mają ich odwiedzić.

– Matyszkiewiczze, taaa – przeciągnął Renkiewicz. – To jest warszawka. Creme de la creme. A propos, wiecie, po czym poznać prawdziwych warszawskich inteligentów?

– Po zakolach? – strzelił Olczak, który specjalizował się w głupich odzywkach.

– No dobra, ale co byś zrobił z babkami?

– Podobno kobiety z przedwojennej warszawki znają przepis na pączki z duszoną kapustą.

– Pączki z duszoną kapustą? To musi być obrzydliwe – powiedział Renkiewicz, który już nie wiedział, czy Olczak mówi serio, czy robi sobie jaja.

– Niektórym to niezbyt smakuje. Ale właśnie po tym poznajesz dom z tradycjami. To test. Każdy się skręca, ale zjada. Taki mają sznyt.

– Pierniiiiiczysz – Renkiewicz poznał się na kawale.

– No dobrze, już powiedz, nie zwracaj na niego uwagi – wtrąciła się Olczakowa, dla której była to sprawa bardzo poważna.

– To proste. Poznasz po cukiernicy.

– Po cukiernicy?

– Pewnie. Każdy prawdziwy warszawiak ma cukiernicę po babci. Dziadki walczyły w Powstaniu albo zginęły wcześniej podczas okupacji. Na straży domowego ogniska zostawały babcie. A jak się Powstanie skończyło, babcie musiały się spakować w jedną walizkę. I co było w tych walizkach? Oczywiście srebrne cukiernice, namiastka domu, a lepsze do przenoszenia niż na przykład porcelanowe filiżanki. Więc każda porządna warszawska babcia wynosiła z Powstania w walizce cukiernicę. A jak nie wynosiła, bo się cukiernica została w zbombardowanym domu albo ją Niemcy zabrali z tobołką, to zaraz po wojnie babcia za pierwsze zarobione pieniądze kupowała inną, podobną. Od handlarza, który wcześniej przezornie skupił zrabowane cukiernice od Niemca albo wyszabrował ze zbombardowanego domu. A potem mówiło się, że to oryginalna, wyniesiona z Powstania. Tak wypadalo. Summa summarum, populacja warszawskich babć i ich cukiernic została przetrzebiona w równym stopniu i po wojnie znów wszyscy warszawiacy mieli swoje cukiernice. Potem babcie miały córki, te kolejne córki, i teraz w każdym porządnym warszawskim domu jest srebrna cukiernica wyniesiona z Powstania.

– Coś mi się tu nie zgadza, Renkiewicz – wtrąciła Olczakowa, która na esgiewa nauczyła się myśleć w sposób konkretny i precyzyjny. – A jak się te cukiernice z Powstania po drodze rozmnożyły?

– Normalnie. Część się po drodze dokupiło od tych babć, które się zdeklasowały, albo w komisach, z importu, głównie z Rosji, z tego, co nakradła armia oswobodzicieli, albo z zapasów jeszcze porewolucyjnych.

– A ty skąd to wszystko wiesz? Babcia ci mówiła? Ty, Renek, nie kręć. Przed nami nie musisz udawać. Przecież my wiemy, że jesteś z Olsztyna.

– Takie rzeczy trzeba wiedzieć. Chcecie żyć w stolicy, to musicie złapać miejski sznyt, buraki, przepraszam, Magda, ty jesteś miejska dziewczyna, ale ten Olczak to się ciągle nie może wygrzebać ze swojego Serocka. Ja to usłyszałem dawno, ale potem, jak kupowałem na Kole swoją cukiernicę po babci, to samo mówił handlarz. I jeszcze powiedział, że najlepiej, jak cukiernica jest z kluczykiem.

– A po co kluczyk? Żeby w cukrze trzymać biżuterię?

– Nie, bo kiedyś się zamykało cukier przed dziećmi i służbą. Teraz kluczyka nie musi być, ale model z kluczykiem jest bardzo w cenie.

– A on ci sprzedawał z kluczykiem?

– Tak, bo co?

– Wcisnął ci kit, żeby podbić cenę.

– Róbcie, co chcecie, ale jak Matyszkiewiczze zobaczą, że nie macie w domu srebrnej cukiernicy, to wypadacie. Ja bym nie ryzykował. Aha, i jeszcze jedno, to nie może być jakiś koszmarek na kurzej łapce. Z kluczykiem czy bez, ale nie kupujcie byle chłamu. Tu trzeba postawić na jakość.

Z całej rozmowy z Renkiewiczem właśnie fragment o cukiernicach zapamiętali najlepiej, jakby powiedział im to **boldem** i jeszcze czcionką większą o dwa punkty.

Czasu nie było wiele. W tygodniu na Kole nie było handlarzy, więc zostawały im antykwariaty i Desy. Cukiernice, owszem, trafiały się, ale albo miały wstrętne nóżki, jak niedźwiadek po heinemedinie, albo kosztowały majątek. A oni ciągle liczyli na okazję, na tanie prostokątne cudo w kształcie szkatułki, jeszcze osmalone dymem powstańczych pożarów.

Przez trzy dni przeżywali cukiernicowy obłęd. Srebrne cukiernice po babci śniły im się po nocach. Nie wiedzieli już, czy kupowanie bibelotu za dwa tysiące, których nie mieli, było oczywistym idiotyzmem, czy w świetle tego, co powiedział

im Renkiewicz, zachowaniem na wskroś racjonalnym.

W czwartek, parę minut po siódmej, wyszli z ostatniego antykwariatu, jaki udało im się odwiedzić.

– Proszę zajrzeć za jakieś dwa tygodnie. Powinienem mieć coś ładnego dla państwa, poniżej tysiąca złotych – powiedział stary sprzedawca, pewnie właściciel.

Słyszeli to już z pięćdziesiąt siedem razy. I co z tego? Za dwa tygodnie to taka cukiernica mogła im się przydać najwyżej do moczenia sztucznych szczęk, których się na razie nie dorobili.

– Nie martw się, coś wymyślimy, pokrako z krzywym zgryzem, debilu – pocieszał Olczak żonę, hamując przed jakąś starą fiacina, która nagle zajęchała im drogę.

– Misiaczk, spójrz prawdzie w oczy. Jesteśmy przegrani. Jest czwartek wieczór. Oni przychodzą jutro o wpół do siódmej. Ja będę najwyżej za piętnaście szósta. Jeszcze zakupy. Nic nie zrobimy. Trzeba było wczoraj kupić tę za tysiąc siedemset.

– Miała uszkodzoną pokrywę. A zresztą chciałem, ale dziś jej już nie było. Paranoja. Dwa tysiące za cukiernicę. I drugie tyle dla psychoanalityka, żeby nam to wyjaśnił.

– Pomyśl o przyszłości. Przychodzą do nas Matyszkiewiczze. To jest szansa. Oni znają wszystkich. Jak zobaczą, że nie mamy cukiernicy po babci, cała wizyta będzie bez sensu. A mnie za miesiąc wyrzucą z roboty. I co wtedy? Przystaniemy płacić raty, zabiorą auto i mieszkanie. Jesteśmy przegrani, to już koniec.

– Nie będzie tak źle – mówił Olczak z coraz mniejszym przekonaniem. – Może dostanę ten grant z KBN-u.

Ale ona już go nie słuchała.

– Po co myśmy kupowali tego Nikiforka. Obyłoby się. Żebyśmy to wiedzieli wcześniej z tą cukiernicą. A tak jesteśmy zupełnie pod kreską – biadoliła.

Jechali dłuższą chwilę w milczeniu. Ale kiedy on coraz bardziej wiotczał, ona jakby napinała się.

– Dobra, misiaczku, zdecydowałam – powiedziała, kiedy przejeżdżali koło multiśmeksa na Puławskiej. – Kupujemy tę najdroższą. Za dwa sto. To jest biznes.

Trzeba inwestować, żeby mieć efekty. – Olczakowa zawsze w chwili słabości przypominała sobie esgiehowską tresurę i próbowała wziąć się w garść.

– Nie wariuj, małpeczko – bronił się Olczak. – To są prawie dwie moje pensje na uniwerku. A jak oni w ostatniej chwili odwołają? Zostaniemy z tą cukiernicą jak ciołki, jak Himilsbach z angielskim.

– To jaki jest twój plan?

– Najprostszy. Fortel. Dajemy cukiernicę glinianą, tę od kompletu bułgarskiego od twojej mamy, i mówimy, że to cukiernica zastępcza, bo ta nasza stara, srebrna, po babci, właśnie nam się stłukła.

– Srebrna, stłukła się? Od razu się zorientują, że to blef.

– Mogła się stłuc, bo była srebrna, ale miała szklany wkład, wiesz, tę miskę w środku. Widziałaś, pełno jest takich. Spokojnie, nie zorientują się. Powiesz to jakoś od niechcienia. Już ty potrafisz. A potem strzelę coś od czapy i odwrócę uwagę. Jakoś pójdzie.

Pół godziny po tym, jak wrócili, zadzwonił Matyszkiewicz. Przepraszał, że nie mogą przyjść, bo ktoś musi być w domu, jak będą wieczorem sprawdzali przewód do kominka, a nie ma kto zastąpić, zresztą musi być któreś z nich, bo coś trzeba podpisać. Więc nie przyjdą, ale że w ostatniej chwili i żeby nie przekładać, i tak dalej, koniec końców, zapraszają do siebie o tej samej porze.

Olczak trochę się krygował, ale przyjął tę propozycję jak wybawienie.

– Doskonale, doskonale, misiaczku – ucieszyła się Olczakowa. – Może nie zmarnujemy tej szansy. Na rewizytę umówimy się za jakiś czas, a zanim do tego dojdzie, kupimy coś taniego, może na Kole. I kto wie, może czasem znajdziemy się



tam, w środku, za wyczyszczonej szybą.

Matyszkiewicz mieszkał na Żoliborzu, niedaleko placu Wilsona, na tyłach parku za kościołem Kostki.

Była tarta ze szpinakiem, były sałatki, było włoskie wino. Olczak niepokoił się. Gdzie cukiernica? Potem wjechał strudel jabłkowy, mrożony, od Bliklego, podgrzewany w piekarniku, dla tych, co nie wiedzą, że niby domowej roboty. I wtedy, do kawy, cukier trzeba było już podać.

\* \* \*

Tydzień później spotkali Renkiewicza na bankiecie Człowiek Roku czegoś tam, gdzie wydawnictwo, w którym jeszcze pracowała Olczakowa, było jednym z patronów medialnych. Olczakowa poszła omawiać jakieś interesy. Olczak podpierał kolumnę przy trasie, którą kursowali kelnerzy z winem.

Było duszno jak w jurcie i do stołów nie szło się dopchać.

Renkiewicz wyłuskał Olczaka z tłumu i sam podszedł, przy okazji biorąc wino z tacy.

– No i co, sprostaliście wyzwaniu czasów?

Olczak zwięźle opowiedział.

– A ty co, nie wierzysz? – obruszył się tamten. – Skąd się taki nieufny zrobiłeś? Przecież mówiłem. Oni są prawdziwi. Sto procent warszawki w warszawce.

– Dałeś się nabrać, Renkiewicz. Jak nam się nie udało kupić, to ja wymyśliłem dokładnie taki sam kit. Wszystkim się nagle potłukły cukiernice. Srebrne! Rozumiesz: srebrne, potłukły się. Jakaś febra cukiernicowa.

– Mogły się potłuc, bo miały środek szklany. Co ty, nie widziałeś, pełno jest takich srebrno-szklanych cukiernic – tłumaczył Renkiewicz. – A zresztą – zmienił po chwili front – to już nieważne, macie czy nie macie, mają czy nie mają. Ważne

jest, czy się gra w tę samą grę. I tak się w końcu wyda, czy ktoś zna reguły, czy nie. No to cześć, pozdrów Magdę, ja lecę, bo przyżeglował tu w pobliże Onyszkiewicz, mam sprawę i muszę do niego zagadać – dokończył szybko i zniknął w tłumie.

– Farrrrbowane lisy – mruknął do siebie pod nosem, ni to o Olczakach, ni to o Matyszkiewiczach, ni to o kimś innym, kogo akurat zobaczył na horyzoncie.

## Gorące popołudnie

*Znowu do kraju przyszła fala upałów. Chłopaki z osiedla pojechali na Bornholm jeździć na rowerach. Podobnie było super, ścieżki porobione przez całą wyspę, widoki na morze, ludzi mało, bezpiecznie jak nigdzie. Rowery, mówili, można zostawiać bez łańcucha, wraca się po półgodzinie i stoją, jak stały. No, w takie historie to ja już akurat mało wierzę, ale niech im tam. Więc wszystko super, tylko pogoda mało letnia. Widać to było na filmie wideo, jak pokazywali – mgły, szarawo, deszcz, trzeba w kurtkach chodzić i swetrach. To co to za wakacje – lipiec, a w kurtkach?*

A u nas znowuż przesada w drugą. Upały takie, że mózg się człowiekowi lasuje, w cieniu spod pachy cieknie jak z rozwalonego hydrantu, piwo nie wchodzi, a jak wejdzie, to jeszcze gorzej, wyjdiesz na słońce, i po tobie. Not ale coś trzeba robić, nie można się cały dzień pod blokiem kręcić dookoła trzepaka, bo już po jakimś czasie to nawet popluwać nie ma czym.

Jak trochę zelżało, że nadal gorąc, ale można przynajmniej pochodzić pół godziny i nie paść na pysk, to wziąłem Siwego i pojechaliśmy do centrum. Mieli robić jakieś festyny czy koncerty, stara czytała coś o tym w gazecie. Z Siwym lubię chodzić, bo on jest taki optymalny, człowiek się z nim czuje w miarę dość bezpiecznie. Siwy ma dwóch braci, starszego i młodszego, a sam jest średni. Oni są jacyś pokręceni, bo każdy ma inny kolor włosów. Najstarszy, Czarny, ma kompletnie czarne, chociaż jego ksywka jest też od nazwiska, najmłodszy, Złoty, ma blondrudawe, a Siwy ma blond prawie białe, stąd dla odróżnienia jest Siwy. Duży Czarnecki, Czarny, nie jest zbyt rozmowny. Gość ma dwa metry i mało kto z nim pogada. Jak mu się coś nie podoba, to od razu przypierdala z piąchy i po takim ciosie każdy normalnie wymięka. Poza tym jest szkolony. Trenował po

trochu wszystkiego – boksu, kick boxingu, karate. Takie połączenie jest najlepsze na ulicę. Umie wyjechać i z czaszki, i z piachy, i jak trzeba, to zajebie z kopyta. No i ma praktykę, bo od paru lat robi jako szef ochrony w dużej dyskotecie. No, ale z nim się nie pogada. A znowuż młody Czarny, czyli Złoty, to jest nie za wielki, ale ma takie gadane, że albo przestrasza, albo rozśmiesza. Nigdy nie musi się bić, bo jak puści tekst, to przeciwnik pęka od razu, nie trzeba wyjmować rak z kieszeni. No, zresztą na osiedlu to nikt mu nie fika, bo się boją dużego Czarnego, ale i na obcym terenie radzi sobie dobrze. Kiedyś we trzech ze Złotym i jeszcze jednym koleś, Krzywym, szliśmy po jakimś zadupiu na drugiej stronie rzeki, jakimś Tarchominie-Srynie, coś tam było do załatwienia, i nagle wypada na nas pogrzeb. Stado dorosłych facetów w czerni, w gajerach, ale już naprani, widać, mordy czerwone. Stypa w toku – może szli się przewietrzyć, albo już się nawalili na cmentarzu. No i jak przechodziliśmy obok, jeden się zatoczył i Krzywy go niechcący zahaczył łokciem. A tamten się jeszcze bardziej czerwony zrobił na ryju, niż był, i do Krzywego. „Co, chcesz się bić, szczeniaku. Uważaj, do kogo startujesz”. I łup, Krzywego po nosie. Krzywy się zbryzgał na czerwono, chwycił za twarz, a tamci do nas. Już, już spuściliby nam niezłe bęcki, ale wtedy włączył się Złoty. Udał, że jest wkurwiony, albo wkurwił się samorzutnie, ale nie na bojowo, tylko na oburzonego. Ręce opuścił, ale ciało podał do przodu, a zwłaszcza głowę, i z miejsca, bez namysłu, ciachnął gościa takim tekstem: „Oś ty, kurwa, gnojku, już cię widzę w celi, taki malutki jesteś, moi kumple cię w dupę wyjebią, marsz, kurwa, na komisariat, tu jest za rogiem, marsz, kurwa, po dobroci, bo jak nie, to ci legalnie zajebujemy, że tylko będziesz skowyczał jak styropian!!!”

I stał się cud. Złoty niewysoki, nas trzech, a tamten, chociaż w otoczeniu koleś, skulił się, zgarbił i szpula w boczną uliczkę. Odbiegł ze sto metrów, zatrzymał się i krzyknął piskliwym głosem: „Nigdzie nie idę!”. A wtedy Złoty do niego jeszcze raz podobnym tekstem: „Marsz, kurwa, po dobroci na komisariat, bo

jak cię sam dopadnę, leszczu, to będziesz miał z nosa pędzel, a z dupy hamburger do grillowania”. I udaje, że chce go gonić. Gościu spietrał, puścił się klusem, że tylko kurz za nim poszedł. Reszcie koparki opadły do laczków. Zamurowało ich. A my tymczasem powolutku, spokojnie, odeszliśmy sobie za róg i dopiero jak nas nie widzieli, daliśmy szpulę. Mało, że nas Złoty wyratował, to jeszcze mieliśmy ubaw, jak tamten czesiek się spłoszył i przypeniał.

Nic dziwnego, że jak się Siwy wychował w takiej rodzinie, nabrał ogłady. Przy młodszym szlifował teksty, od starszego brał technikę ciosu. I od tego zrobił się nieagresywny. Wiedział zawsze, że sobie poradzi. Albo zagada, albo zajebie – jego będzie i tak na wierzchu.

Więc się z nim wcale nie bałem, przyjemnie było pokręcić się nawet w całkiem obcych miejscach.

\* \* \*

Dojechaliśmy do centrum, idziemy sobie spokojnie ulicą, żeby gdzieś w chłodzie obalić browar, aż tu nagle wypada na nas z bramy jakiś narwany koleżka. Nawet nie wiem, o co mu chodziło, przyskoczył do Siwego, bo był pierwszy z brzegu od jego strony. Jak wyskoczył, dopiero wyszło, że miał w ręku butelkę. Zanim się kapnęliśmy, co i jak, zdążył zajebać Siwego tą butelką w czaszkę. Butelka poszła w drobiazgi. I wtedy dopiero zobaczyłem klasę domu Czarneckich. Siwy tylko się odchylił, otrząsnął głowę i nawet nie charknął, a już tym samym impetem ruszył do gościa. Tamten się nie spodziewał, myślał, że Siwy padnie. I już dostał po zuchwie. Raz, drugi, trzeci. Siwy nie tylko mocno walił, ale miał i technikę. Jak obrobił szczenę i gość był przygotowany, czyli ogłuszony, dał mu lewy prosty w splot. Koleżka momentalnie ześlizgnął się na glebę, ale jeszcze po drodze, jak padał, zaliczył od spodu dwa kopy po klacie. Coś chrupnęło, jakby

zebro. No i gościu opadł. A to było tuż przy wejściu do dyskoteki. Ochroniarze nie przeszkadzali, nie mieszały się, bo to było poza ich terenem i nie chcieli niepotrzebnie obrywać. Ale jak napastnik był już spacyfikowany, sami powiedzieli, że jakby co, zaświadczą, kto zaczynał. Sprawa była czysta, chociaż nie wiadomo tak naprawdę, o co poszło. Albo gościu chciał się trochę ponapierdalać, albo go upał zamroczył, albo zwyczajnie pomylił Siwego z kimś innym. No, ale było po sprawie. Tyle że Siwy całkiem się zabryzgał farbą. Trochę swoją, bo mu ciekło z czaszki zahaczonej szkłem, a trochę z klienta, jak puszczał kolor ustami. Nie było rady: jeśli mieliśmy kulturalnie spędzić to popołudnie, trzeba było kupić nową koszulkę. Na szczęście to było tuż koło Domów Centrum. Kopnęliśmy się do środka, a że Siwy nie miał dość kasy, ja mu fundnąłem tiszerta. Niefartownie kolor był różowy, ale to była jedyna tania, każda inna kosztowała z pięć dych albo lepiej. Siwy nie miał skrupułów z kolorem. Umył się w kiblu, starą koszulkę wyrzucił do kosza, bo i tak, była dość szmatława. No i poszliśmy z powrotem w miasto szukać chłodu i piwa. I tu dopiero historia. Przechodzimy, a tamten skopany gościu jest gdzie był, tylko się przeczołgał pod ścianę i tam siedzi. Jeszcze zamroczony. My go chcemy trochę ominąć, bo chociaż dostał porządnie, to nigdy nie wiadomo, co takiemu strzeli. Obchodzimy więc półkolem, a tamten, jak nas zobaczył, wyciąga rękę, cieszy się tą zmacerowaną maską i mówi: „Ty, kurwa, naprawdę nieźle mi wpierdoliłeś. Nieźły z ciebie gość. Piąteczka”. I krztusi się, łapie drugą ręką za klatkę i popluwa na czerwono. Siwy na wszelki wypadek mu nie przybił, tylko machnął z daleka, ale wyglądało, że tamten naprawdę się nie kwaszył o to manto, tylko chciał pokazać szacunek i uznanie.

Hak mu w smak. Idziemy dalej. W końcu znaleźliśmy jakieś ciche miejsce. Ludzi mało, może trzy z dziesięciu stolików zajęte, pod parasolami chłodno, przyjemnie. Siedzimy, gawędzimy, piwo wchodzi, ręce się chłodzą na szklance. Żadnych hałasów, spokój, pełna kultura.

No i znowu to samo, tylko grzeczniej. Podchodzi jakiś klient wygolony z bransoletą. Nie przysiada się, nie patrzy nawet w oczy, tylko tak podchodzi, nachyla się nad Siwym i pyta, a w zasadzie nawet nie pyta, tylko mówi: „Wyskoczmy”. Siwy nie dyskutował, bo nie było o czym. To była jedna z tych sytuacji, kiedy wszystko wiadomo od razu. Tylko się rozejrzał, czy gościu jest sam, czy czeka z grupą. „Też wyskoczę z wami” – powiedziałem i wstałem z krzeselka. „Nie trzeba – mówi tamten – sprawa dla dwóch”. „Zostań – kiwnął mi Siwy. – Zaraz wrócę, żeby się piwo nie nagrzało”.

No i się nie nagrzało. Ledwie pociągnąłem parę łyków, a wrócił, masując knykcie. Nawet nie był tym razem obryzgany. Pełna kulturka.

Pomilczeliśmy trochę, posiorbaliśmy browar, aż zapytałem: „A o co temu poszło?” Siwy zastanawiał się chwilę. „Chyba wziął mnie za pedała. Jak wyszliśmy za róg, na podwórko, coś brechtal, że nie lubi takich, co chodzą na różowo”. „Przyjdzie jeszcze?” – zapytałem. „Nie przypuszczam – powiedział Siwy. – Słabiaczek. Dostał dwa razy i zaraz pęki. Chciałem go nawet dla pewności trochę sflekować, żeby się więcej nie naprzykrzał, ale nie zdążyłem. Ledwo mu przywaliłem w kulfon, a od razu się puścił takim galopem, że, człowieku... Teraz to już chyba dobiega do Góry Kalwarii – powiedział Siwy, a potem jeszcze dodał z wyrzutem w głosie: – Pełno, kurka, na mieście wiochersów, człowiek nie może w spokoju obalić browara”.

Żał mi się tego Siwego zrobiło. Poszliśmy odpocząć na mieście, a tu się trzeba co chwila odganiać, jak od jakichś, kurde, moskitów. I ciągle do Siwego. Czułem się winny. Czy on miał w sobie coś takiego, co ich przyciągało? Może zwyczajnie niefart?

Później się trochę wyjaśniło. Jak dostałem tych wyrzutów sumienia, to zaproponowałem, żeby kupić w spożywczaku zgrzewkę puszek i pójść z tym do parku. I poszliśmy. Łaziliśmy tak długo, aż napatoczył się skwerek całkiem

spokojny z wyglądu. Jak przyszliśmy, nie było prawie nikogo, tylko jedna ławka ze starymi babami. Przeżuwały jakieś śruty: a to gdzie której strzyka, a to o pralni, a to o upałach. Na szczęście gadały cicho, ledwie dolatywało piąte przez dziesiąte.

Bzyknęła jedna puszka, potem druga i trzecia. Babcie nawijały. Słońce przesuwano się między liśćmi, ale drzewo miało plerezę gęstą i trzymało chłód. Nam się w tym cieniu nie chciało nawet gadać, a co dopiero żeby szukać tych festynów czy koncertów. Ci, co musieli chodzić po słońcu, to mieli przerąbane. A my mieliśmy dobrze – i cień, i piweczko.

I tak by się przesiedziało do wieczora, ale znów coś wyszło niedobrego. Przyszło jakichś dwóch grubasów, spoconych jak cholera. Koszulki mieli całe w mokre plamy. Oddychali tak, że im gały wychodziły jak żółtko w sadzonym, mało się nie powylewały.

Najpierw, jak przyszli, to się zwalili na ławkę złapać oddech. Przez parę minut był spokój. A potem się zaczęli gapić na nas. Obaj czuliśmy, że może być nowa draka, więc na wszelki wypadek pokojowo udawaliśmy, że tego nie widzimy, chociaż normalnie to od razu by się wyskoczyło z jakimś tekstem, żeby był pretekst do bicia i... Ale tym razem – nie. Kto by miał ochotę się młócić w taki upał, zwłaszcza po tym, co już było wcześniej. Udawaliśmy, że nic się nie dzieje, a tamte knurki gapiły się cały czas, a potem zaczęli coś do siebie po cichu gadać, jakby się naradzali. Wreszcie było wiadomo, że się coś będzie na pewno dziać. Jeden, większy, podniósł grube dupsko z ławki, podchodzi i wyskakuje do Siwego z takim tekstem: „Ty, my tu patrzymy z kolegą na ciebie, że ty niezły bamber jesteś. Spróbujemy się?” Siwy popatrzył na niego jakoś kwaśno, jakby go obmacywał, i mówi: „Jaki tam ze mnie bamber. Mój brat to jest wiraszka. On to by się mógł z tobą mocować. Ja to chucherko, a jeszcze dziś wyjątkowo słaby jestem, nawet jak na siebie”. „Eee tam, zalewasz – mówi grubas. – Widzę, że z ciebie niezły bamber. Spróbujemy się. Chyba nie pękasz?” „Daj spokój, nie będę się z wami próbował. Od



rana boksuję i już wypadłem z formy. Poza tym skwar taki, człowiek ledwie żyje. Może innym razem?” „No, upał jest, nie mówię, że nie. Robić nie ma co, moglibyśmy się spróbować. Byłoby ciekawiej. Ale jak nie, to nie. Namawiać nie będę”.

„Naprawdę dzięki. Dzisiaj nie – mówi Siwy i daje tamtemu piwo: – Wypijcie za nasze zdrowie”. „O, dzięki. A znalazłoby się jeszcze jedno, dla kolegi?” – pyta grubas. „Czemu nie, macie po jednym. Trzeba się trochę schłodzić”. I zgodny Siwy daje mu drugą puszkę. Wreszcie grubas spłynął. „Wracajmy na osiedle – mówię. – Nic już nie będzie z tego odpoczynku. Lato w mieście dobre dla frajerów”.

Siwy dopił do końca, wstał i poszliśmy. Kiwnęliśmy na pożegnanie pokojowo spaślakom, a jak skwerek był daleko z tyłu, zapytałem jeszcze: „Dobra, nie chciałeś lać takiej świni, okej, ale piwa ci nie było żal?” „Żal – mówi Siwy – ale co zrobić. Człowiek żyje wśród ludzi. Trzeba czasem browar postawić, inaczej by się trzeba cały czas napierdalać. A to nie jest życie, tego to chyba nikt nie wytrzyma. Nawet Czarny czasem gada po dobroci”.

I tak myślał, myślał, aż na koniec, jak już się rozstawaliśmy pod blokiem, puścił tekst w zasadzie mocno filozoficzny: „Widzisz – mówi – żeby to człowiek był jak powietrze w upał, co jak grzeje mocno, to czasem aż widać, jak się kręci w kółko. Wiruje, faluje. Czyli czasem je widzisz, ale tak normalnie, to nie. Jakbyś był takim powietrzem, to mógłbyś przechodzić koło ludzi, a oni by do ciebie nie fikali. Mógłbyś pójść, gdzie chcesz. Ty byś nikomu nie zajebał, ale i nikt nie zajebałby tobie. Nawet nie musiałbyś z nikim gadać. Ludzie by się mijali, nie zahaczając o siebie. Nikt by ciebie nie widział, chyba żeby się mocno przypatrzył. Chodziłoby się po świecie, wiatr by zawiał, rzucił cię tu i ówdzie, trochę byś się chłodził. I ten upał by cię tak nie męczył, rozumiesz, to by przez ciebie przechodziło, ty byś się tylko kręcił i kręcił, jak to powietrze”.

## Dziad bohater

*dla K.B.*

### 1

- Babciu, a kiedy przyjdą mama i tata?
- Jutro po południu.
- Babciu, a ja się nudzę.
- Aha.
- Co mam robić, ja się nudzę!
- To się rozbierz i popilnuj ubrania.
- Ale będzie zimno.
- To zdejmij tylko kapcie.
- A mama mówiła, żebym nie chodził bez kapci.
- Nie musisz chodzić, pilnować możesz i na siedząco.
- Ale ja nie chcę pilnować kapci.
- To się zajmij czymś innym.
- Babciu, a mogę ci pomóc robić kluski?
- Nie, bobyś się skaleczył.
- Ale ja bym to robił wolno, nie tak szybko jak ty.
- I tak byś się skaleczył.
- Babciu, ale ja bym tak chciał pomóc.
- No to siadaj, jak skończę te, będę wałkowała ciasto na następne. Będziesz mi posypywał mąką stolnicę.
- Już teraz ją posypać?
- Nie, dopiero za chwilę, jak będę wałkowała ciasto.

– A co tam na dole tyle ludzi stoi?

– Nie wychylaj się tak, bo wypadniesz przez okno. Siadaj tu z boku.

– Ale ja chcę zobaczyć.

– Nie ma nic do oglądania. Ludzie stoją po „Express”. Zaraz będzie wpół do trzeciej. O, już przywieźli gazetę. Czekaj, dam ci złotówkę, zejdziesz na dół kupić mi „Express”. Masz dwa złote, weźmiesz mi jeszcze proszki od bólu głowy, te z krzyżykiem, w żółtym celofanie.

– Mam jechać windą?

– Sam nie. Jak będzie ktoś jechał, to tak, ale jak by nikogo nie było, to idź schodami. I uważaj, jak będziesz przechodził przez jezdnię...

– Babciu, a opowiesz mi jakąś historię o dziadku?

– A o czym tu opowiadać?

– No jak dziadek pływał na morzu.

– No pływał, pływał, a potem przestał pływać. Czort go wie, co tam robił.

– A te maski, co wiszą na ścianie, to z Afryki?

– Kto go tam wie skąd. Przywoził najróżniejsze rzeczy. Z Afryki, z Chin, z Borneo. On wszędzie pływał.

– A kim był na statku? Kapitanem?

– Jakim tam kapitanem. Kucharzem był.

– Kucharzem?

– No, kucharzem. Na statku musi być i kucharz.

– No i co robił?

– A co miał robić? Gotował. Na przykład kluski. Tylko więcej, dla całej załogi.

– A co potem robił?

– No co, potem oni to zjadali, a dziadek mył talerze.

– Ale nie, co potem robił, jak przestał pływać na statku.

– Co miał robić? To samo. Też był kucharzem, tylko w mieście. Pracował

w restauracji, a potem w stołówce w jednym zakładzie.

– No i co w tym zakładzie?

– To samo co i na statku. Gotował, a potem, jak było zjedzone, to zmywał talerze.

– Ty to mi nic nie chcesz opowiedzieć o dziadku. Mama nie chce. To kto ma mi opowiadać?

– Czekaj, ja ci zaraz coś opowiem, tylko skończę krajać te kluski i wrzucę je do garnka, żeby się przez chwilę pogotowały.

– Twój dziadek to był wielki bohater. Nie tam jakiś zwykły kucharz, ale bohater. Nikogo się nie bał. Nie był wielki, ale sprytny i bardzo odważny. Morza się nie bał, a potem, jak przestał pływać, to się żadnych ludzi nie bał. Kiedyś wydarzyła mu się taka historia. Trzeba ci wiedzieć, że dziadek był bardzo pracowity. Ciężko pracował i często brał dodatkowe prace, żeby zarobić więcej pieniędzy, bo było nas razem siedem osób, w tym twoja mama. Po robocie chodził jeszcze pomagać na weselach. Wracał późno, zmęczony, taszcząc w rękach ciężkie torby z kucharskimi przyborami i różnymi dobrymi rzeczami do jedzenia, owocami, wędlinami i takimi tam.

Pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy wracał z jakiegoś wesela czy przyjęcia, z pracy znaczy się. Na ulicy, na podwórku pusto, okna ciemne, cisza. Dziadek niesie te swoje torby foliowe, reklamówki. Kładzie je na ziemi, grzebie w kieszeniach, znajduje klucz do klatki, wyjmuje go, otwiera, przytrzymuje drzwi butem, łąduje się do środka, torby ciężkie i wielkie, ledwie się mieści w drzwiach, ciemno... i nagle ktoś wypada na niego i mówi: „Dawaj pieniądze!” I czymś macha, nie wiadomo, nożem, pałką czy pistoletem. Dziadek mały – bandzior wielki. Dziadek spokojny, zmęczony, tamten – wypada nagle z ciemności i wrzeszczy to swoje: „Dawaj pieniądze!”. Co robić? Dziadek stawia torby na ziemi, zaczyna czegoś tam szukać. „Szybciej, szybciej” – mówi tamten. Dziadek, pochylony,

szuka, grzebie w torbach. I nagle wyciąga wielki, ogromny nóż do mięsa, prawie tasak. Wielki, taki, no, szeroki, gruby kuchenny kordelas, co się i świnię oprawi, i kość przerąbie. I dziadek do tamtego z tym nożem, wyciągnął mu go przed nosem, blisko twarzy. I mówi: „To ty dawaj”. Bandzior zgłupiał całkiem, ręce podnosi, nie wie, co ma robić. „No, dawaj forszę, już” – mówi dziadek. Tamten się trzęsie, że zaraz tym wielgachnym kordelasek oberwie, głowa spadnie jak nic. Nie wie, o co chodzi. Na kogo trafił.

Myślał, spokojny, niepozorny człowieczek, a tu wyskakuje mu z takim zbrodniczym majchrem. Może kanibal jakiś, niesie w torbach poćwiartowane zwłoki? Trzął się cały, wreszcie wyciągnął z kieszeni jakieś drobne, nie wie, co z nimi robić. „Na ziemię!” – mówi dziadek. Tamten rzuca pieniądze, a dziadek do niego: „Spadaj”, tamten rzuca się do drzwi, szarpie klamkę, ucieka na podwórko, tylko klapią buty, jak biegnie, aż znika gdzieś w ciemnościach. Zastrachany jak nie wiadomo co, szczęśliwy, że uszedł z życiem. A dziadek pakuje swoje narzędzie pracy, bierze torby, idzie do windy, otwiera mieszkanie po cichu, bo wszyscy śpią. Kładzie się spać.

– A pieniądze?

– Po pieniądze poszedł rano. Wiele tego nie było, parę złotych, widocznie tamten jeszcze się tej nocy nie obłowił. Co było, dziadek wziął, poszedł, kupił papierosy, starczyło na dwie paczki zefirów.

– A co tamten?

– Ano nic. Nie wiadomo. Zestrachał się, to pewne. Może nawet rzucił bandycki fach, bojąc się, że drugi raz nie wyjdzie żywy. Więcej takich przypadków u nas nie było. Taki był twój dziadek – bohater. Prawdziwy bohater, choć człowiek cichy i niepozorny.

Kto tam? Z gazowni. Kto?

– Z gazowni, jest awaria, sprawdzamy, czy gaz nie leci!

– U mnie nie leci.

– Musimy sprawdzić, bo może być wybuch.

– Dawaj pieniądze, stara!

– Ja nie mam... emerytura... ledwie starcza.

– Masz, masz, i lepiej powiedz, gdzie. Mały, przywiąż ją do krzesła. Zaraz się znajdą.

– Panowie, ostrożnie, tam są pamiątki.

– Na pamiątkę to ci, stara, wypalimy na czole petem kropki. Gadaj, gdzie forsa. Mały, zwiąż jej mocniej ręce. No co, powiesz sama czy ci pierdolnąć w tę starą maskę?

– Ojej, uwaga na te filizanki! To po mężu...

– Po mężu... i po filizance. Brzdęk! Nie ma dziada, są skorupki. Zaraz tu będą same skorupki. Gdzie forsa, póki pytam po dobroci! Bo stracę cierpliwość. I tak znajdziemy, a przy okazji zrobimy bajzel. A jak nie znajdziemy sami, to ci zrobimy kuku. Gadaj, gdzie forsa!

– Ja nie mam dużo pieniędzy...

– Dawaj, co masz, nam niewiele trzeba. Jesteśmy pustelnicy, tyle co na strawę i napitek, he, he, he.

– Na półce z kwiatami, za doniczką. Tylko proszę uważać na roślinki.

– No, coś jest. Zaraz, odpakujemy... Mało tego, nie masz więcej?

– To wszystko, co mam.

– Jeszcze zobaczymy. Jakieś błyskotki, fanty? Coś się może znajdzie. Zobaczymy po szafkach.

– Kurde, Mały, zobacz. Ale historia! Cała szafa gazet Co ty, stara, czytasz? Od

tego się głupieje. „Halo”, „Na żywo”... „Detektyw”... „Kobra”. Ja pierdolę, ty to wszystko przeczytałaś? Chodź tu, Mały, luknij.

– No dobra, spadamy. Nic tu po nas. Bieda jak w pegeerze. Bierzemy, co jest. Tylko żeby ci, stara, nie przyszło do tego siwego łba dzwonić po psów. Tylko spróbuj. Albo nie, cholera wie, trzeba się zabezpieczyć. Mały, walnij ją w czambo, tylko nie za mocno, żeby nie wykitowała. Nie trzeba nam kłopotów. Ty mięczaku pieprzony, sam to zrobię. Idź już na klatkę, wyfiluj, czy nikt tam nie kapuje. Tylko zdejmij skarpetę, jak będziesz wychodził, bo jak cię w tym zobaczą... A ja puknę starą i pozbieram te bidne fanty. No już, spadziocha, za długo tu siedzimy.

## Dekameron

Zawsze na święta to jest tak, że się sporo zjada. Bo to wiadomo, zwyczaj – spotyka się rodzina, gospodarze chcą dobrze wypaść, żeby nie było, że żałują, czym chata bogata i te klimaty. Ale raz na Wielkanoc to już było przegięcie. Nie, to była historia, że naprawdę. Tak jak w tym roku, to już się nie powtórzyło. Był lany poniedziałek, już poprzedniego dnia ostrzegali, że mogą być zadymy z tym oblewaniem. A święta, znaczy drugi dzień, były u ojca siostry, Mariolki, na blokowisku. Mariolka ma mieszkanie z fabryki i tam na tym osiedlu mieszkają takie meneliki, że strach. Pełne ulice, klatki, bary piwne: wszystko pełne meneli. Jak jest lany poniedziałek, to potrafią do stawu, tam jest niedaleko, wrzucić nawet staruszkę, nie patrzą, stara, młoda, byle było wesoło. Jednego razu był numer, bo jak zwykle lali wiadrami do autobusów, ale na dodatek któryś palant wymyślił, żeby podeszczać do tych wiader, wymieszać i oblewać tą wodą z domieszką szczyny. To były jaja, Mietkowie jechali tym autobusem, zmoczyło ich, ale myśleli, że nic takiego, dopiero potem, jak to wyszło, było smrodu...

No więc tego roku ustalili, żeby się spotkać wcześniej, zanim się zaczną te dantejskie sceny z oblewaniem. Wszyscy się zeszli, ale jakoś w telewizji nic nie było na żadnej stacji o takiej porze, to się wyłączyło, no i tak zaczęło się gadać. I w sumie chodziło o te gadki, bo tak łatwiej by się z tym jedzeniem zbastowało, a jak były rozmowy, to nikt nie zwracał uwagi, co się je, tylko cały czas szła gadka, a Mariola tylko wносиła kolejne partie żarcia.

– Człowiek mało może, mało od niego zależy – powiedział ogólnie Mietek, żeby coś zagaić, bo głupio było siedzieć po cichu. – Moja znajoma pracowała w szkole na Pradze. Mieli tam ciecica, staruszka, facet miał może siedemdziesiąt pięć, może osiemdziesiąt lat, pracował tam od zawsze. W końcu posłali starego na



emeryturę. Ale przychodził nadal, za darmo. Nie miał co ze sobą zrobić. Przychodził rano, posprzątał, pokręcił się, wychodził, jak było całkiem pusto. Przeszło parę tygodni, nie wiedzieli w tej szkole, co z nim zrobić, to było nie całkiem w porządku, bali się, że taki stary, to coś mu się w końcu stanie, przewróci się czy co, i nie będzie wiadomo, kto ma odpowiadać. A szkoda im było dziadka...

Mariola chciała wnosić obiad.

– Ale, dziewczyno, jest dwunasta, nie ma się co spieszyć – powiedziała Heniutka żona. – Jeszcze zjemy, najwyżej daj coś na przegryzienie.

Mariola dała spokój. Wnosiła tylko talerze z ciastami. Ciasta robiła dobre, chociaż dość mączne: pierniki, babki, był sernik robiony na wiedeński.

– Dogadali się, że zrobią uroczyste pożegnanie – mówił Mietek przez ciasto, którym sobie zapchał usta. – Z funduszu na nagrody dali mu siedem czy osiem milionów, dla starego kupa pieniędzy. To było w piątek. Dziadek samotny, trzymał się tej szkoły, choć miał rodzinę, siostrzeńców czy kuzynów. Mieli go odwiedzić w niedzielę. Pomyślał sobie, że lepiej schować te pieniądze głęboko, bo jeszcze ktoś przypadkiem znajdzie i weźmie, to było dla niego tyle pieniędzy, że się bał. Chciał to schować na pawlaczu. Ustawił stół, na stole krzesło. Wdrapał się...

W tym momencie wszedł wujek Kazik, co się zawsze spóźniał, zrobiło się zamieszanie, witał się ze wszystkimi.

– Ty się, Kazik, nie boisz, nie oblali was, wiesz, że ludzie wychodzą koło południa z kościoła, a tam zawsze się czają bandy z wiadrami.

– Obeszłem bokiem, za tymi mniejszymi blokami, koło targowiska – odparł Kazik.

Mariola zapytała, komu kawę, a komu herbatę, chociaż jeszcze nie był czas, żeby podawać. Mięsa tylko czaiły się w kuchni, żeby wyskoczyć na stół i rzucić nam się do gardeł. Nie wiedzieć kiedy wjechała na stół flaszka, obok stały nóżki w galarecie. Tafla odbijała nas i skupiała ludzi przy stole w malutkie figurki.

W butelce czystej przeglądało się okno. Dzień był pełen blasku, bo słońce, ale też jakiś poszarzały, ciemnawy. Przez firankę była panoramka na blok naprzeciwko, z wąziutkim kawałkiem nieba. W kuchni się gotowało. Leciało kapustą, Mariola robiła kapustę bardzo mięsną, kwaskową, jak obgotowywała kości, szedł zapach na całe mieszkanie, jakby oblepiał, oklejał. Do tego opary dymu, bo parę osób paliło.

Jak przyszedł Kazik, przerwali rozmowę.

– Co tam słyhać, jak interesy? – zapytał. Spocił się, bo nawaliła winda i trzeba było wchodzić pieszo na to szóste piętro. Na jego bladą, ciastową twarz wystąpiły rumieńce. Blizna na czole nabiegła krwią.

Mariola wchodziła ze szklankami, poślizgnęła się na kawałku wykładziny przy drzwiach. Stłukły się dwie szklanki, Mietkowi nalała wrzątku na koszulę, szkło się rozsypało po dywanie, po podłodze. Był wkurzony, bo mu przerwali opowieść.

– Co, kurwa, robisz! – wrzasnął. Zrobiła się niezręczna sytuacja. Żeby to zatuszować, Kazik zaczął nawijać, jakby był podjarany, a wszyscy już przeszli z ciasta na te przystawki. Wzięło się czy wędlinkę, kiełbasę w plasterkach, boczek, czy ogóreczka, czy paprykę z puszki, czy dynię konserwową dla koloru.

– A u nas śluby, śluby – gadał Kazik, żeby zagadać to Mietkowe wkurwienie. – Żeni się Tadeuszów syn. Przyjedzie cała rodzina, ślub w niedzielę, do Tadeuszów jeszcze w sobotę przyjeżdżają Marianowie z dziadkiem. Będzie młyn. I przygotowania, i wesele. Dziadkowi trzeba robić kaszkę co cztery godziny, od siódmej rano, zawsze ta sama pora. Ten to umie wytresować rodzinę. Muszą koło niego nadskakiwać, jak nie wiem co. Tadeuszowa się napracuje, ale rodzina to rodzina, szanuj ojca swego i matkę swoją, przyjeżdżają w sobotę, boby się w niedzielę nie zmieścili do samochodu, a tak z drogi, z pociągu to nie bardzo od razu na ślub i na wesele. He, he – zaśmiał się Kazik. – Dziadek to lubi robić numery. Raz się pokłócił ze stryjecznym ojca żony Tadeusza. Rok później, kiedy był u Tadeuszów, tego stryjecznego zaprosili na imieniny. Dziadek, jak się

dowiedział, że tamten ma przyjechać, zrobił scenę, w rezultacie żona Tadeusza wyszła na przystanek przeprosić stryjecznego, żeby wracał, tamten przyjechał z Ursusa, dwie godziny drogi, w dodatku była fatalna pogoda. Nie dość tego. Musiał się jeszcze ojciec zemścić. Wykaczał się. Formalnie mówię, położył placka.

Jeszcze wszyscy jedli zakąski, a już wjeżdżały obiadowe nakrycia. Tylko sztucce każdy przytrzymał w powietrzu, a Mariolka stawiała na mały talerz zakąskowy większe talerze obiadowe. Zabrzęczało, zaparowało, zapachy się rozniosły w ciasnym wnętrzu Mariolowego saloniku. Marioli mąż wnosił na dwie ręce. Brukselkę, buraczki, kapustę gotowaną na tłustych kościach, co już wcześniej pachniały. Schabowe, rybę smażoną z ogonami. Była cała miska ziemniaków. Wszyscy sobie nakładali w pośpiechu. Ten i ów polewał sosikiem z sosjerki, tłuszczem od smażenia. Sos z kapusty rozlewał się po talerzu, to się łączyło z buraczkami, całe jedzenie mieszało się w kolorową packę.

– Wykaczał się – powtórzył Kazik, przełykając pierwszy kęs, a już sobie nałożył następny: na spód buraczki, potem po trochu innych warzyw, na górę odkrojony wcześniej kawałek kotleta. – Parę dni po jego wyjeździe Tadeusze wyczuli, że coś im waniajet w małym pokoju, gdzie mieszkał dziadek. Ale dopiero jak nasztynksowało w całym mieszkaniu, przeszukali wszystko, odsunęli fotel i się okazało, że tam dziadek zwałił cholerną, czarną, rzadką kupę. Fatalnie zastygła, trudno było zeskrobać z pecewu.

– Przestań, Kazik, takie świństwa opowiadasz – weszła mu Mariola z pełnymi ustami. Buraczki pomieszane z sosem ściekły jej obok ust – Mam taką koleżankę w pracy, młoda jeszcze, za chłopakami chodzi, lubi się zabawić, ciągle przychodzi na kacu, opowiedziała taką historię, że fe, ale opowiem.

Wzięła za dużo na widelec i znowu umazała się buraczkami. Już miała całe usta czerwone. Wytarła z wierzchu ręką i mówi dalej.

– Był raz na jednej imprezie, takiej prywatce w domu, chłopak, co się nie

podobał dziewczynom, kogut taki. Zdziorny, głupi, a myślał, że jest Robertem Redfordem, obmacywał, co mu się nawinęło. Postanowiła, ta moja koleżanka, znaczy się, dać mu nauczkę. Podczepiła się pod niego, przetańczyli trochę.

– A potem co, z impetem w głąb, ho, ho, ho – zarechotał lubieżnie Kazik.

– Poczekaj, Kazik, właśnie wcale nie. Znaleźli pokoik ustronny, koleżanka miała chęć, on pijaniutki, wzięła go na lizanie najpierw. A jak doszła, zajęczała, klasnęła mu udami przed nosem i wyskoczyła. Gość był zdezorientowany. Jak się wytoczył z pokoju na parkiet.. Twarz miał całą, no wiecie, miała ciotkę, dała mu popalić, tylko sposobem na faceta, he, he, he – zarechotała. Rechet przetoczył się po stole, w szkle zadźwięczało, powietrze musnęło mięso na półmiskach, potrząsnęło galaretką z nóżek.

– Bueh – parsknął Kazik i wypluł na talerz kolorowe pogryzione ziemniaki z kapustą i brukselką. – Nie, nic tam, opowiadaj dalej, coś mnie w gardle zaswędziało.

Od dymu i oparów z jedzenia robiło się ciemnawo. Ktoś zapalił słabe światło.

– Już skończyłam, szwagier – powiedziała Mariola.

– A tam, akurat – wtrącił się Heniutek. – Kobitki to dopiero głupie są, gdzie im się porównywać z mężczyznami. Celu w życiu nie mają, romantyzmu żadnego. W zeszłym tygodniu stałem w sklepie z chemią i agiede. Przedemną babka niemłoda, ale jeszcze nie całkiem tego, może czterdzieści pięć. Ale taka, wiecie, tradycyjna, w berecie moherowym, kurtce pikowanej. No, zresztą nieważne. Rajstopy wzięła. „Jaki to będzie rozmiar?” – pyta sprzedawczynię. „XXL, to za duże na panią, trzeba wymienić na mniejsze”. „Ale co tam się będę wracać, wezmę te – mówi kobieta. – Za duże, to się gumką w pasie ściśnie i zawinie, pod spódnicą nie widać. A za małe, to się człowiek schyli i zaraz oczka lecą”. Zawinie się, rozumiecie – spojrzał dookoła Heniutek. – Gdzie tu seksapil, jakie to myślenie, nosić za duże, bo się nie chce poszukać dobrych. To jest ten nasz charakter

narodowy, ta bylejakość powszechna.

– A mężczyźni dopiero. Łobuzy i bezbożnicy – weszła Mariola, a Heniutka żona tylko jej pokiwała głową. – Tak mi się skojarzyło jeszcze z tym zdzieraniem kupy z pecewu, co opowiadał Kazik. Ostatnio byłam na cmentarzu u tatusia, a tu przyszedł jeden młody sprzątać grób obok.

Na stole robiło się pustawo, szczęki zwolniły, raz po raz tylko ktoś ciamknął albo świsnął, wysysając jedzenie ze szpar w zębach. Na talerzach zastygał zimnawy tłuszcz z sosem z kapusty. Ciasta znowu wjechały na stół. Jedzono je bez pośpiechu, jakby w roztargnieniu, starannie, mało krusząc. Mariola ciągnęła.

– Były jeszcze ślady po Wszystkich Świętych, na grobowcu spalił się wianek, pękło szkło lampki i stearyna rozlała się po płycie, fatalnie to wyglądało. Tamten pozdzierał te druty, strząchnął resztki spalonego, ale miał problem ze stearyną. Wziął Chrystusa blaszanego, co się urwał ze śrubek, i nogami zaczął tę plamę zdzierać. „Co pan robisz, bój się Boga, człowieku” – ja do niego, a on dalej szoruje tym Chrystusem. „Nic mu nie będzie – mówi w końcu. Czym mam to, paznokciami zdzierać?” Łobuz jeden tak mnie wkurwił, mówię: „Kurwa, co ty, chuju, na tym cmentarzu robisz, wypierdalaj stąd, będziesz Pana naszego bezcześcił, chuju ty, bo jak ci tym Chrystusem przypierdolę w ten głupi łeb, to cię, kurwa, nauczę szacunku jakiegoś, bezbożniku ty”.

Zapieniła się Mariola. Jeszcze na przypomnienie sytuacji krew się jej rzuciła na rumianą twarz. Nastroszyła pióropusz tlenionych włosów. Piersi jej zafalowały. Gorąco. Sytuacja się napięła jak ten stanik na falującym biuście Marioli. Rzuciło się wszystkim. Niezręcznie.

Kazik wypalił:

– Ciepło tu u ciebie, Mariola. Zazdroszczę, bo u mnie czasem nie włączają.

– Herbatę zrobię i kawę – powiedziała Mariola i wyszła do kuchni. Zahałasowała. Zaglądnęła raz i drugi, zebrała brudne talerze, zostawiając każdemu

sztuńce, bo miały wchodzić nowe zakąski.

Kazik mówił już nie do niej, tylko do wszystkich, tymczasem każdy coś tam jadł, słuchając.

– Czasem cały blok niedogrzany. Ale i tak lepiej niż w zeszłym roku. Sąsiad z naprzeciwka, krewki facet, dwa lata temu mówi, nie będę płacił pełnej stawki, jak nie grzeją, a powinni. Mierzył termometrem, jak było poniżej normy temperatury, zapisywał i odliczał od czynszu. Jak się spółdzielnia zorientowała, wytoczyli mu proces o niepłacenie czynszu. „Okej – mówi sąsiad – chcę sądu, będą mieli, zobaczymy, kto ma rację”. No i się zaczęło. Były trzy rozprawy. Na pierwszą nikt ze spółdzielni nie przyszedł. Na drugą – też. Żeby być na trzeciej, facet wracał z gór całą noc pociągami. I też nikogo ze spółdzielni nie było. Wreszcie sąd orzekł, że sprawę o niepłacenie czynszu rozstrzyga na korzyść spółdzielni, bo są dowody, że było płacone za mało. A jeśli facet chce, może założyć sprawę spółdzielni o niewywiązywanie się z obowiązków, jeśli chodzi o grzanie. Ale najpierw musi wpłacić całe zaległe pieniądze, i to z odsetkami za zwłokę.

– Tak samo miałam, to samo powiedzieli kobiecie z naprzeciwka – wtrąciła pod nosem Mariola, ale cicho, żeby nie przeszkadzać. Z kuchni już było słychać, że woda dochodzi, czajnik prawie gwizdał.

– Co facet miał robić – ciągnął Kazik. – Zapłacił i dał spokój z procesami, bo to koszty i szansa mała na wygraną. A zaraz potem zaczęli wymianę kaloryferów w całym bloku, to się poprawiło. Założyli kryzy, żeby przewężyć przewody, bo jak na dole ludzie sobie puszczali na ful, to im grzało za bardzo, aż musieli otwierać okna. A do nas, na dziesiąte, już niewiele dochodziło. Oni się wietrzyli, u nas było zimno. Z tymi kryzami i u nas na górze zrobiło się cieplej, choć idealnie nie jest, nie można powiedzieć, żeby było... – skończył.

Cisza. Zakąski poobiednie dawno były na stole, wędliny, sałatka włoska z warzyw gotowanych, z majonezem, dla Kazika osobno w salaterce bez groszku,

bo wiadomo, po tym pierdzi niemożliwie, dalej śledź w cebulce, papryka i ogórek konserwowy, pieczywo. Pieczywa z pięć rodzajów, Mariolki hobby to pieczywa: dwa razy dziennie chodzi do piekarni – była bułka, razowiec miodowy, sitek, graham, jakiś specjalny z otrębami. Herbaty i kawy wniesione. Stół był znowu pełny. Normalnie wszystko by stało, bo wszyscy byli najedzeni po obiedzie, ale jak się gadało, to się jadło, nie wiadomo jak te kupy żarcia znikwały. Wszyscy jedli, tylko nie Mietek.

– Frajer, że się wdał w te procesy – powiedział, zamyślając się. – Ten sąsiad, znaczy. W sądzie trudno wygrać. Lepiej butelkę postawić, pogadać, po dobroci. Albo mieć na kogoś haka, żeby go w razie co postraszyć. Jedna moja znajoma robiła na czarno dla jednego prywaciarza, kroila z szablonu materiał na płaszcz. On to puszczał do Rosji, żeby było taniej, i sprzedawał na Stadionie Dziesięciolecia. Płaszcz były po niecałe dwieście złotych, materiał tani, bo to tandeta, szycie w Rosji też za psie pieniądze. Za wykroje płacił piętnaście od sztuki. A to była kurewska robota: odrysować i wykroić sam płaszcz, do tego podszewka, watalina. Wychodził średnio jeden płaszcz na godzinę ciężkiej roboty. Kobieta była kwalifikowana, bo do takiego płaszczka trzeba się niezłe znać.

Pokazał rękami z nożem i widelcem, jak bardzo trzeba się znać, bo znów się wziął do jedzenia. Kiedy mówił, z ust pryskały mu naokoło kawałki zaślinionego pasztetu. Napluł nawet na Mariolę siedzącą zaraz przy nim.

– Tak apropo mówiąc, to niezły ten pasztet robisz, Mariola – rzucił dygresję.

– Jedzcie, jedzcie, proszę, po to zrobione, żeby zjeść. A tu masz, Kazik, sałatka dla ciebie, bez groszku – podała bratu salaterkę.

Mietek wrócił do głównego wątku.

– No więc kobieta kwalifikowana, jej warsztat, jej narzędzia. A ten prywaciarz miał maskę jak stara Cyganka psitę, czarniawy, włochaty na twarzy, wiecie – pokazał dłonią, jaką miał tę twarz obrośniętą. – Jeździł prawie nową wielką

beemwicą – ciągnął dalej – a ta kobieta nie dość, że na niego robiła, to jeszcze dawała mu wykroje w prezencie. Jak zrobiła na przykład dwadzieścia trzy, to liczył jej dla równego rachunku – za dwadzieścia. Ona się jeszcze cieszyła, że taki ma dobry kontakt, bo jak mu da gratis, to będzie lepiej szła współpraca. Na koniec wziął większą partię i spieprzył nie wiadomo gdzie. Nawet nie znała jego adresu ani nazwy firmy. Na Stadionie nie znalazła, a do sądu nawet nie myślała, żeby iść, bo co im powie: głupia była, żadnej umowy, nic, jeszcze przepadł zastaw, niby za materiał, nie mówiąc o robociźnie.

– Pewno, nie ma sprawiedliwości – zgodził się Heniutek przez kęs sałatki.

– Ten sklep koło mnie na osiedlu, wiecie, za przystankiem, to był wcześniej w agencji. Mówili, że miał spore manko i deficyty, leżał im towar, księgowy położył kasę i takie sprawy. Wzięli gościa, który miał to wyprowadzić na prostą. Postawił na wódkę. Nie dostali koncesji na nocny, bo się ktoś postawił w gminie, widocznie dostał wcześniej duże łapówki, bał się robić za dużo na boki, bo tam ludzie protestowali z okolicy. No to jak nie mogli na nocnym, sprzedawali w dzień, tyle że bez faktur. Jedna dziesiąta szła legalnie, reszta na lewo. Na wódce, wiadomo, największy obrót się robi w takim sklepie. Szło im dobrze, prawie wychodzili na swoje, aż przyszli jacyś goście i zaczęli się awanturować, że to ich sklep i chcą robić porządek.

– Częstujcie się, proszę – w przerwie zagadała Mariolka, wskazując na półmiski. – Zaraz wniosę nowe – zgarnęła, co zostało, na jeden i ponakładała puste na siebie, żeby zabrać.

– Nie, Mariolka, nie mogę już – powiedział do bratowej Mietek. – Nie dam rady.

– Jeszcze słodkie, nie zostawiliście miejsca.

– Może za chwilę – powiedział Heniutek. – Posiedzę, to wysiedzę i usiądę. Miejsce się zwolni, to zjem jeszcze. Ale czekaj, dokończę z tym sklepem. Dopiero



się okazało, jaki numer wywinęła właścicielka. Miała długi pod ten sklep, wzięła jakieś kredyty z banku czy coś. Do tego pożyczyła pod zastaw sklepu od jednego gościa na krótki termin i jeszcze sprzedała go normalnie dwóm innym. Jak były umowy i dostała pieniądze, zanim się tamci zorientowali, wzięła kasę i spieprzyła, podobno do Wenezueli. Zrobiła ich razem coś na milion z kawałkiem, a sklep był realnie wart mniej niż jedną czwartą tego, licząc niespłacone długi. Taki numer wywinąć to jest coś, człowiek może do końca życia leżeć wentylem do góry i puszczać wiatry w kanapę. Jak te Bagsiki z Artbi.

Zapadła cisza. Komuś się beknęło obrzydliwie, bek charczący przetoczył się po stole, zabrzczały kielichy z cienkiego szkła, chociaż ruskie, płomienie świec, zapalonych w międzyczasie dla lepszego nastroju, pochyliły się, o mało co nie pogasły.

– Tak się porobiło, porobiło – zaszeptła Mariola. – Jeszcze trochę, a zalegalizują te wszystkie szwindle, jak w niektórych krajach zatwierdzają ustawami zboczenia i odchylenia. Czytałam, że gdzieś to mają pozwolić pedałom na małżeństwa. Jeszcze tego brakowało. Żeby zboczenie nazywać małżeństwem! Co jest nienormalne, pozostanie nienormalne, żeby nie wiem jakie obrzydlistwa pokazywać publicznie. Przecież nikt mi nie powie, że dwóch mężczyzn to jest małżeństwo. Zboczeńcy, i tyle. Powinni się leczyć i nie przyznawać publicznie do takiej dewiacji.

– Rację masz, Mariolka – powiedział Mietek – mnie nikt nie powie, że to jest normalne, żeby stosunek płciowy odbywać w odbytu. Człowiek tak już jest skonstruowany, że wszystko ma swoje przeznaczenie. A odbytu, jak wiadomo, służy do czego innego. A propos zresztą odbytu – zasyczał, bo coś mu akurat weszło w zęby – a propos odbytu, to miałem ostatnio ciekawy przypadek, poszczęściło mi się, i nie wiem, czy dlatego, że weszłem w gówna. Nic wielkiego, na trawniku, tam zawsze wypuszczają psy ludzie z bloku, a ja się spieszyłem do autobusu. Zresztą

mi uciekł, ale to nic, bo w sumie wyszło na dobre. Miałem mało czasu, więc poszedłem na skróty, tam są straszne kałuże, nalało mi się do buta i dopiero zobaczyłem, że mam dziurę i się podeszwa z przodu odkleiła, nie do naprawienia. No to zaraz jak wyszedłem z biura, wstąpiłem po drodze na bazar, żeby kupić coś niedrogiego. I tam, słuchajcie, taka historia. Patrzą, są buty, nawet eleganckie, za sto dwadzieścia złotych. Przymierzam – nie mój numer. Dwa numery za wielkie. Pytam, czy są inne – nie ma, jedyna para. Już się zastanawiałem, czy ich nie wziąć, choćby tymczasowo, ale sprzedawca mówi, nie ma sprawy, niedługo będzie dostawa, zawiadomimy pana. Ja się głupio czułem, mówię, że wstąpię i sam zapytam, a oni, że nie wiadomo dokładnie kiedy, więc żeby się nie fatygować, jak będą, to zadzwonią. Nawet podałem swój telefon, ale się jeszcze raz pytam, nie, to może ja zadzwonię. Wydało mi się podejrzanym, jeszcze coś mi wykręcają, okradną czy co. To mówię, lepiej ja zadzwonię, oni, że nie, bo w sklepie nie ma telefonu, to mówię, jak zadzwonią – ano z domu. Tu już całkiem byłem w kropce, że będą z domu dzwonić. Ale dobra, niech tam. Zapomniałem o tym, nie bardzo wierzyłem, a tu po niecałym tygodniu dzwonią, czy z panem Mieczysławem, proszę bardzo, są buciki. Poszedłem, ten sam typ, cena sto dwadzieścia. No i patrzcie, jaka historia, buty mam, przyzwoite, niedrogie.

Mietek wyciągnął nogę spod stołu, podniósł wysoko. Odsłonił nogawkę i obnażył grubą, bezwłosą, ciastowatą łydkę, żeby lepiej było widać te nowe buty, to były normalne maczugi, czarne, ze skaju.

– No niezłe – się powiedziało.

– Będziemy się zbierać, Mariolka – powiedział Kazik, a wszyscy spojrzeli na zegar na ścianie, a to się już zrobiła szósta nie wiadomo kiedy. – Trzeba jeszcze autobus złapać. Tylko wam na koniec opowiem historię, znam od kolegi z pracy, co szukał mieszkania, i to właśnie o mieszkaniu. No więc gość namierzał różne pustostany, strychy, aż znalazł na Grochowie starą kamienicę z dwoma pustymi

mieszkaniami. Wprawdzie sraczyk jeden na piętrze, wspólny na cztery mieszkania, ale to jednak kamienica, chociaż zniszczona. Zaczął się dowiadywać, od kogo by można to mieszkanie załatwić, jaka to ma administracja. Dopiero się okazało, że w tym domu mieszkają same dziadki i właściwie to administracji nie ma. Budynek kiedyś był jednego zakładu odzieżowego, ale jak się urynkowali, to najpierw pozbyli się tej kamienicy, bo to tylko wydatki i remont był w perspektywie. No to ich zostawili, ale za to nikt ich nie wziął inny. I tak budynek bez administracji, nikt nie remontuje. Śmieci były niewywożone parę miesięcy, to dziadki, same stare, dopiero się zorientowali, jak zaczęło porządnie śmierdzieć, przysypali kontener piaskiem, a sami zaczęli nosić swoje śmieci na inne podwórka, gdzie empeo wybierało. Najgorzej było z ogrzewaniem, czasem ten stary zakład coś dawał, ale potem i on zbankrutował, i się skończyło. Przez zimę grzali już piecykami elektrycznymi, ale to kosztuje sporo. A najlepsze z tego jest, że chociaż żadnej spółdzielni ani administracji tam nie ma, oni cały czas płacą na to samo konto co kiedyś, te same stawki. Nie wiadomo, czy to jakieś konto likwidowanego zakładu, czy ktoś zgarnia sobie do kieszeni. Oni cały czas płacą, bo myślą, że jak będą w porządku, to ktoś się nimi zaopiekuje i wszystko będzie jak dawniej. No i kolega mieszkania nie załatwił – nie było z kim gadać, zresztą sprawa była niepewna, bo ten dom to kompletna rudera i niedługo chyba się zawali, bo nie ma kto się tym zająć. Chyba tak już będzie, aż te dziadki wszystkie poumierają, budynek się rozsypie w gruz, to trzeba będzie wyrównać i postawić co nowego. Jak jest taka sytuacja, to nic nie da rady zrobić.

– Jasne, trzeba czekać, aż to wszystko zrobi kompletne kaput. Jak z tym dziadkiem, co mówiłem na początku, a nie dokończyłem – dopowiedział Mietek. – Dziadek chował na pawlaczu, pierdyknęło coś, spadł, krzesło się połamało, on też. Tak był połamany, że nawet nie mógł się doczołgać do telefonu. Myślał, że przyjdą ci kuzynowie, ale oni jakoś wtedy nie mogli, dzwonili, ale nikt nie odbierał.

A dziadek leżał, aż od tego połamania i wyczerpania po dwóch dniach zmarł, miał jakiś krwotok czy co. Sąsiedzi się zorientowali w poniedziałek, że coś nie tak, bo dziadek zawsze rano włączał głośno radio, jak szedł do pracy. Zapukali, nic, aż weszli, a dziadek tam leżał nieżywy, a obok niego te pieniądze, co chował, jak się spieszył z tego stolka. I na co mu przyszło, wszystko przez te pieniądze.

Wtedy się zaczęło. Nagle Heniek się zrobił zielony. Złapał się za twarz i pogonił do łazienki, a stamtąd doleciało, jak się strasznie wypawiaował, z jakimś charkotem, chrychaniem głęboko z przetyku. Czy to niezależnie, czy z tych odgłosów, wszystkim zaczęło się robić niewyraźnie. Rzucili się na balkon, łapać świeże powietrze. Kazik się nawet wychylił za balustradę i dopiero się stało: wziął go lęk wysokości, to się nałożyło na przejedzenie, i spuścił cały bąbel, całą strugę na dół. Tam akurat przechodzili jacyś ludzie i ten bąbel pawia jak czapa przykrył jednego gościa w jesionce. Taki był zdruzgotany, że nawet nie zaczął kląć. Widok był niemożliwy: człowiek cały upačkany, kolorowy, rzygowiny spływają. Kazik wpadł w jakiś małpi humor, zaczął się potwornie śmiać.

– Człowieku, he, he, he, to wiatr, he, he, he, niechący, a to, he, he, he, dzisiaj śmigus-dyngus, he, he, he...

Dopiero wszyscy, też nie bardzo, ale zdjęli Kazika z balkonu, bo nie wiadomo, co facetowi strzeli, zawoła jakichś kumpli, jeszcze zaczną strzelać albo zdemolują potem mieszkanie. Mariola zaczęła przeproszać przez balkon. Kazik powoli wracał do siebie.

– No przykro mi, przykro, że to tak, wszystko było dobre – mówiła Mariola potem, jak już była herbata z cytryną na stole, Heniek znowu się zrobił z zielonego czerwony i Kazik wrócił całkiem do siebie.

– Nie to, że niedobre – powiedział Kazik – dobre było wszystko, ale nie trzeba było tak pchać tego jedzenia, przesadziłaś trochę, siostra, nie można tak bez opamiętania.

Mariola rozplakała się.

– Co ty, Kazik, czy ja kogoś zmuszam? Goście do mnie przychodzą, robię, jak mogę najlepiej, a wy tak...

Rozbeczała się całkiem.

– Co mam z tego życia, samochodu sobie nie kupię, za granicę nie wyjadę, przynajmniej zjeść coś dobrego czasem można, na to mnie stać. Co będę żałowała, zrobię, co umiem najlepiej, nikogo przecież do jedzenia nie zmuszam.

– Nie płacz, Mariola – pocieszał ją Kazik – nie płacz, to nie twoja wina, za dużo żeśmy gadać zaczęli, przez ten śmigus wszystko, bo się wcześniej umówiliśmy, i tak zeszło, to nie twoja wina, nie płacz...

## Czapka

Ona (stoi przy blacie w kuchni, plecami do drzwi, tłucze plastry mięsa) wygląda przez okno. Okno jest lekko uchylone. W dole, po obu stronach chodnika, rosną bzy. Z czwartego piętra ludzie są jak własne czapki. Ona (rytmicznie, mocno uderza tłuczkiem w mięso, deskę i blat; blat głucho rezonuje) mówi:

– Jeśli nie wzięli, to niedobrze.

On (siedzi przy kuchennym stole nad rozłożonymi papierami: jakieś książki, notatniki; zapachy i hałasy przeszkadzają mu, ale nie ma wyjścia – mieszkanie składa się z pokoju i kuchni – w pokoju jest rozkładana kanapa, szafa, komoda, regał, łóżeczko dziecka, dwa fotele, na podłodze walają się zabawki, nie ma tam stołu z krzesłem, jedynym dobrym miejscem do czytania jest stół kuchenny) nic nie odpowiada, przez chwilę udaje, że nie słyszał, a tak naprawdę namyśla się, wreszcie zmienia zdanie, decyduje, że odpowie, i po dłuższej chwili mówi:

– Mhm.

Czyta dalej.

Ona (ośmielona jego odpowiedzią, choć oczywiście nie do końca zadowolona: chciałaby usłyszeć coś innego, nie mówiąc już o tym, że od początku chciałaby powiedzieć coś innego), pomiędzy jednym tuk-tuk tłuczka a drugim, mówi:

– Może sobie przeziębic zatoki.

On (jeśli słyszał tamto, nie może teraz udac, że nie słyszy tego, już woli potwierdzić, niż się narażać, że ona powtórzy to samo, tylko głośniejsz; stukot tłuczka wystarczająco działa mu na nerwy, ma wrażenie, że ona wali go tym tłuczkiem w czubek głowy) odpowiada szybko, ale obojętnie, jakby w gruncie rzeczy nie słyszał:

– Mhm.

Ona (ten kawałek mięsa jest bardziej żylasty albo grubszy – można odnieść wrażenie, że średnia ilość uderzeń tłuczka na minutę wzrosła o jakieś dziesięć-dwadzieścia procent) zachowuje się tak, jakby ją coś zdenerwowało. Mówi (głośniejszym niż poprzednio):

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

On (wie, że teraz już na pewno musi zareagować, zarazem powiedzenie czegokolwiek skazuje go na dalszą rozmowę; stara się więc, żeby to, co powie, brzmiało obojętnie, ale nie całkiem obojętnie) mówi głosem pewnym, ale cicho:

– Tak.

Uderzenia tłuczka znów zwalniają, jakby ona straciła impet. Przerywa pracę. Może skończyła. Albo po prostu się zmęczyła. Nie, chyba przypomniała sobie o czymś. Kładzie tłuczek na desce i otwiera lodówkę. Wyjmuje stamtąd warzywa i układa je na blacie. Przygotowuje patelnię, wylewa na nią trochę oleju z butelki. Włącza gaz.

On (ma nadzieję, że teraz będzie miał przez chwilę spokój) pochyla głowę nad książką. Podnosi głowę i patrzy na ścianę, gdzie na tynku jest mała pionowa rysa. Bierze do ręki długopis i notuje coś w brulionie.

Wiatr uderza mocniej w szybę. Słychać lekkie stukanie. Krople uderzają w blaszany parapet. Zaczynają mazać po szybie. Kilka wpada do środka i wsiąka w ścianę obok okna, gdzie już wcześniej porobiły się brązowe zacieki. Ona zamyka okno. Lepiej, żeby było uchylone, kiedy kuchnia jest taka mała. Tłuszcz na patelni zaczyna skwierczeć i przyskać. Ona nurza kawałek mięsa w salaterce z rozbełtanym jajkiem, układa na talerzu z bułką tartą, odwraca, przyklepuje, podnosi za krawędź i szybko kładzie na patelni, odsuwając się, żeby nie opryskał jej gorący tłuszcz. Wygląda znów za okno.

– Ale pada – mówi. – Jeszcze do tego zmokną.

On (tym razem nie udaje, skupił się na czytaniu, naprawdę nie dosłyszał):

– Co?

Ona (głośniej, przekrzykuje trzask oleju na patelni, właśnie położyła tam drugi kawałek mięsa):

– Mówię, że pada.

Zapach rozgrzanego tłuszczu roznosi się po kuchni. W ciągu paru chwil od zamknięcia okna zrobiło się gorąco.

– Słuchaj – mówi on proszącym tonem, nie podnosząc wzroku znad książki – próbuję się skupić. Zostało mi sześć dni.

Ona (może właśnie na to czekała, teraz nawiązała z nim kontakt, mogą wreszcie porozmawiać) szybko odpowiada:

– I już cię nie interesuje, że twoje dziecko wyszło na spacer bez czapki.

On (odkłada zamaszystym ruchem książkę, którą czytał) wreszcie na nią patrzy:

– Cholera jasna, już ci mówiłem, że nie wiem. Może wzięli. Zresztą ma kaptur w tej zielonej kurtce.

Ona (odwraca widelcem mięso, żeby się usmażyło z drugiej strony) nie patrzy na niego:

– Może – mówi z przekąsem.

On (nie odpowiada) wstaje gwałtownie, wychodzi z kuchni do przedpokoju. Ona odwraca drugi kawałek mięsa na patelni. Olej strzela jak zimne ognie.

On (w przedpokoju) szuka czapki na komodzie pod wieszakiem. Otwiera jakąś szufladę. Poprawia na wieszaku krzywo wiszącą zieloną dziecienną kurtkę z kapturem i wtedy z jej rękawa wypada czerwona czapka. Podnosi czapkę i chwilę przekłada ją z ręki do ręki. Zastanawia się. Wreszcie decyduje. Zamyka z trzaskiem drzwi do łazienki. Zwija czapkę w kłębek i chowa ją do kieszeni dżinsów. Wypuszcza koszulę ze spodni, żeby zakryć wypchaną kieszeń.

Wraca do kuchni. Siada na swoim miejscu, przysuwa sobie książkę i zaczyna czytać.



Ona (zdjęła już z patelni pierwszy kotlet, położyła na jego miejsce trzeci, unurzany w jajku i tartej bułce) myśli, że to ciąg dalszy rozmowy:

– No i co?

– Co no i co?

– Wzięli czapkę czy nie?

– Już ci mówiłem, że nie wiem.

– Myślałam, że idziesz sprawdzić.

On (pochyla się nad papierami) odpowiada dopiero po chwili:

– Nie, byłem w łazience.

Ona (nie zwraca uwagi na to, że on najwyraźniej nie chce już rozmawiać, dla niej rozmowa dopiero teraz się zaczyna) wypowiada kwestię z jakiegoś innego dialogu:

– Poprzednim razem założyła mu kurtkę na samą podkoszulkę. Jak wrócił, był zimny jak trup. O mało się nie przeziębził.

On (znow odkłada książkę) też przypomina sobie inny dialog:

– A jak twoja matka przyjechała ostatnio, to tak zmyła talerze, że zostały zacieki i był wstyd przy gościach.

– Mogłeś raz sam zmyć.

– Nie o to chodzi. Jak już zmywała, mogła porządnie. Twoja matka też nie jest ideałem. Ale ja o tym nie mówię.

Ona milknie. On ma wrażenie, że wygrał, a przynajmniej jest remis. Może zająć się czytaniem. Ona przewraca któryś kotlet Trzeci. Albo już czwarty. Potem nagle wychodzi do przedpokoju.

Okno jest ciągle zamknięte. Coraz bardziej duszno. Deszcz ustaje. Już tylko pojedyncze krople uderzają o szybę i parapet.

Po chwili ona wraca.

– Może wzięła – mówi. – Nie ma na komodzie ani pod wieszakiem.

On milczy. Czyta albo udaje, że czyta. Ona podchodzi do blatu i znów wygląda przez okno.

– Przestało padać, ale robi się ciemno. Powinni wracać.

On (czyta) mówi na odczepne:

– Mhm.

Ona zdejmuje z patelni dwa gotowe już kotlety. Kładzie je na tym pierwszym. Został do usmażenia jeszcze jeden. Czwarty. Dolewa tłuszczu. Kładzie mięso na patelni.

– Pokroisz warzywa – mówi.

On nie słyszy albo udaje, że nie słyszy. Pochyla się niżej nad książką.

– Pokroisz warzywa?!

On (nie podnosi wzroku, próbuje się skupić):

– Słuchaj, zostało mi dziesięć stron do końca rozdziału.

Ona (odsuwa się od kuchni, staje, jedną ręką oparta o blat, w drugiej trzyma dwuzębny widelec do przewracania kotletów):

– Możesz chyba raz na tydzień poświęcić pięć minut dla domu.

– Akurat teraz?

– A kiedy?

– Po egzaminie.

– Potem będzie następny egzamin. Ile to jeszcze potrwa? – Ze złością zaczyna kroić pomidor. Kawałki pomidora z plaśnięciem upadają na dno salaterki. – No ile?

On zamyka książkę. Zatrząskuje książkę. Wstaje.

– Dobra, gdzie są te cholerne warzywa? Pokroję je, nie zdam, i teraz, tuż przed samym końcem, pięć lat pracy pójdzie na darmo. Z powodu głupich warzyw.

Ona (już spokojna, bierze się do mycia sałaty):

– Zaraz skończę. Obeszło się. On (siada):

– To po co mi zawracasz gitarę!

Ona (nad zlewem otrzepuje liście sałaty z resztek wody):

– Słuchaj, zmień ton. Nie pracujesz, nie sprzątasz, nie zajmujesz się dzieckiem.

Wracam z pracy, robię ci jedzenie... O jedną rzecz cię proszę i to jest za wiele?

On spokojnie wraca do papierów. Otwiera książkę, którą zatrzasnął, ale wcześniej zaznaczył czytane miejsce zagiętym rogiem.

Ona rwie sałatę na drobne kawałki. Wygląda przez okno. Kotlet skwierczy na patelni. On podnosi głowę. Patrzy w stronę kuchni. Chce coś powiedzieć, ale rezygnuje.

– Idą nareszcie – mówi ona. – No nie, on jest w kurtce bez kaptura i bez czapki! Wzięła czapkę i mu nie założyła. Tym razem coś jej powiem.

– Pewnie jakby wzięła, toby założyła.

– Ale nie ma na wierzchu, to pewnie wzięła. Musiał mieć w kieszeni niebieskiej kurtki.

– Lepiej zrób coś z tym kotлетem, bo się spali.

Ona patrzy w stronę patelni. Ma mokre ręce od sałaty. Potrząsa nimi, nie wiedząc, co zrobić. Z patelni leci dym.

– No zrób coś, bo się udusimy od tego smrodu.

– Sam coś zrób, do cholery! Nie widzisz, że mam mokre ręce.

On wstaje i rzuca się w stronę kuchni, ale nie zdąża. Ona chwyta ścierkę, nakłada na uchwyt patelni i zdejmuje ją z ognia. Widelcem przekłada kotlet na drugą stronę. Kilka kropel wody z jej dłoni spada na patelnię. Olej pryska. On zatrzymuje się w pół kroku. Kropla gorącego tłuszczu parzy go w dłoń. Czuje ból. Syczy.

– Nigdy nie można na ciebie liczyć.

– Oparzyłaś mnie.

– Sam jesteś sobie winien.

Słychać domofon. Patrzą na siebie ze złością. Domofon dzwoni drugi raz,

długo, natarczywie. Mierzą się wzrokiem.

– Otwórz – mówi ona. – Chociaż do tego się przydasz. Albo nie, sama otworzę.

Od razu jej powiem o tej czapce.

On zagradza jej drogę do wyjścia z kuchni.

– Zostaw. Otworzy sobie sama, ma klucz.

On patrzy na nią, ale ona nie odpowiada na spojrzenie. Odsuwa się od niego. Zmniejsza ogień pod patelnią. On siada przy stole. Zbiera książki i notatki, kładzie je na swojej etażerce pod ścianą.

Ona (miesza sałatkę w salaterce):

– Co, myślisz, że teraz będzie wszystko w porządku? Rodzinny obiad z mamusią? Nie, dosyć. Tym razem wszystko sobie wyjaśnimy.

On podnosi koszulę, sięga do kieszeni spodni, wyciąga stamtąd zmiętą czapkę. Rzuca w jej stronę. Czapka spada na blat, prosto na talerz z kotletami.

– Masz, ciesz się. Zaraz będziesz mogła mu ją założyć.

Ona (nie wierzy, bierze czapkę do ręki, ogląda, jakby ją pierwszy raz widziała):

– Ty ją schowałeś? Naprawdę ją schowałeś? Pomyłony jesteś?

– Chciałem, żebyś dała spokój.

Ona siada na stołku obok kuchennego blatu. Patrzy na niego, ale nic nie mówi. Kotlet skwierczy. On wstaje.

– No co? Co? Stało się coś? Nie mogłem się skupić w tym hałasie. Poganiałem ich, więc mama zapomniała czapki. A potem schowałem ją, żebyś mi dała spokojnie czytać.

Ona (wie, że już czas zdjąć patelnię z ognia, ale nie robi tego):

– Zaraz się spakuję i zostaniesz sam w tym mieszkaniu. Mamusia się zaopiekuje tobą i Jankiem. Wtedy będziesz sobie mógł spokojnie czytać.

On (czuje smród zwęglonego mięsa, widzi dym unoszący się z patelni, ale nie ma zamiaru reagować):

- Po co ten patos?
- Naprawdę nic nie rozumiesz?
- Rzeczywiście, nie rozumiem. Czemu robisz aferę z powodu czapki.
- Ty gnoju, okłamałeś mnie!

Trzaskają drzwi windy. Słysząc kroki. W drzwiach wejściowych chrobocze klucz. Jego matka wchodzi do przedpokoju, za nią mały.

Matka (zagląda do kuchni, z kluczem w dłoni):

- O, myślałam już, że was nie ma. A co tak śmierdzi? Przypalała wam się.

Ona wstaje i wyłącza ogień pod patelnię. Pochyla się nad blatem kuchennym. Udaje, że jest zajęta. Soli sałatkę pieprzem.

– Nic, mamó – mówi on. – Kotlet nam się trochę przypalił. Będzie dla mnie, ja lubię wysmażone.

- Babciu! – woła mały z przedpokoju. – Zdejmij mi buty!

Matka wychodzi.

Ona (podchodzi do okna, uchyla je):

- Trzeba tu wywietrzyć.

On (zbliża się, próbuje ją objąć):

- Przepraszam. Chciałem dobrze. Nie wiedziałem, że to tak wyjdzie.

Ona (odpycha go):

- Spierdalaj, kłamco.

- Nigdy tak do mnie nie mówiłaś.

- Będziesz się musiał przyzwyczaić. Mały Janek (wchodzi do kuchni):

- Co jest dziś na obiad?

On (szybko, zanim ona zdąży coś odpowiedzieć):

- A umyłeś ręce?

Wchodzi jego matka.

- Skaranie boskie z tym chłopakiem. Ochlapał mi całą spódnicę. Chociaż

skończyłeś ten swój doktorat, jak nas nie było?

– Przez trzy godziny?

– Twój ojciec potrafił w godzinę naprawić każdy odkurzacz. Albo pralkę.

– To nie pralka, to Czechow.

– I szkoda wielka. Z jednej pralki jest więcej pożytku niż z twojego doktoratu.

Ile lat będziecie się gnieździć w tym pokoju z kuchnią? Gdyby nie twoja babcia, nie mielibyście nawet i tego. Wzięłaś dziewczynę bez posagu, to musisz się nauczyć zarabiać.

– Mamo, prosiłem cię.

– Co będzie na deser? – wtrąca się mały.

– Siedź cicho, przecież dostałaś lody.

Ona (nakładając już na talerze) miała nic nie mówić, wyrywa jej się:

– Naprawdę dała mu mama lody?

– Bez nich by nie wytrzymał do tej godziny. Kto to widział, dawać dziecku obiad o czwartej. A ty co taka nadąsana jesteś? Jak na drugi raz nie chcesz, żeby ci się przypaliło, musisz smażyć na smalcu. Olej szybciej paruje i trzeba co chwilę dolewać.

Ona stoi przez chwilę nieruchomo z dwoma talerzami w dłoniach:

– Sama się wysmaż na tym smalcu. Stara suka.

– Co?

– To, co słyszałaś.

Jego matkę zatyka. Wytrzeszcza oczy. Łapie powietrze, jakby chciała się zanurzyć pod wodę.

On patrzy na przemian na obie kobiety. Mały patrzy na ich troje. Wie, że coś się stało, ale nie rozumie co.

– Dlaczego babcia ma się smażyć na smalcu?

– Wyjdź do pokoju i czekaj, aż cię tata albo mama zawoła.

– Ale ja chcę obiad.

– W tej chwili marsz do pokoju.

On podnosi chłopca za rękę do góry, ściąga z krzesła i wyprowadza za drzwi. Zamyka drzwi. Mały wali otwartą dłonią w szybę:

– Dajcie mi obiad!

Ona stawia wreszcie talerze na kuchennym blacie. Mówi dalej, patrząc jego matce w oczy:

– Mam już dość twoich mądrości. Miarka się przebrała. Jak jeszcze raz wyjdiesz z małym w taką pogodę bez czapki, to będzie twój ostatni spacer z nim.

Matka łapie wreszcie oddech:

– Będzie mi tu! Widzicie! Do swoich Skierniewic wracaj. Jak nie umiesz utrzymać porządku. Skąd ci miałam czapkę wziąć, jak jej nie było. Dobrze sobie. Łaskę mi robi! Nawet na opiekunkę nie zarobisz tym swoim urzędniczeniem! Ja mam swoje życie. Mam co robić, a nie się z bachorem w deszcz uganiać po kałużach.

Wstaje, bierze z oparcia torebkę i kieruje się do wyjścia. Już stojąc w drzwiach, mówi:

– Co on w tobie widział, nie wiem. Ale teraz to mu się chyba wreszcie odwidzi. Jego matka zakłada płaszcz i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Mały wchodzi do kuchni:

– Kiedy dostanę obiad?

Ona stawia przed nimi talerze, wyciera ścierką ręce.

– Tata cię nakarmi.

Wychodzi do przedpokoju. Po chwili słychać trzaśnięcie drzwi.

– Dokąd mama poszła? Tam, gdzie babcia?

On wstaje, idzie w stronę okna. Po drodze bierze z kuchennego blatu czerwoną czapkę. Układa ją w dłoniach, jakby chciał uformować z niej kulkę.

– Tato, ty też idziesz? Karm mnie – chłopiec otwiera usta.

On otwiera okno na całą szerokość. Ugniata czapkę w dłoni i szerokim zamachem wyrzuca ją za okno. Wkłada w to całą siłę i złość.

– Kurrwa!!! – krzyczy.

Ale czapka jest lekka. Nie może odlecieć daleko. Szybkuje chwilę i powoli, powoli opada na krzak bzu rosnący tuż przy chodniku.



## Po drugiej

Po drugiej. Przecież się nie mylił. Po drugiej, tak właśnie się umawiali.

Nacisnął jeszcze raz domofon.

To ja się, cholera, zwalniam, stoję na rzęsach – myślał Frontczak – a ten tu, złamany kapeć jeden...

Zrobił rundkę dookoła podwórka, ale nic nie widział, bo drzewa zasłaniały. Trzeba było wejść do środka. No tak, właśnie po to się umówił. Żeby zobaczyć w środku, o tej porze.

Pachniało leśną ściółką, którą były podsypane klomby. Pod drzewami chował się jeszcze przedpołudniowy chłód. Frontczak usiadł na ławce i zamknął oczy.

W biurze miał klimatyzację, więc prawie nie wiedział, co to upał. Przychodził rano, gdy było jeszcze chłodno, a wychodził wieczorem, gdy było już zimno. Nie przywykł do gorąca, chyba że na wakacjach. Tylko tam się inaczej ubierał. A tu, w garniaku, po przejściu ulicą raptem stu metrów od auta, był już zlany potem. Dlatego zanurzył się w chłodzie starych drzew jak w jeziorze. Podwórko przypomniało mu dom rodziców na Mazurach.

O mały włos zapadłby w drzemkę, ale zadziałał instynkt samozachowawczy. Było już piętnaście po. Najpóźniej o trzeciej miał być z powrotem w biurze.

Pomyślał, żeby zadzwonić do Próchnicy-Pudernicy. Kiedy w uchu buczały mu kolejne dzwonki, przypomniał sobie ich pierwszą rozmowę. „Agencja?” – zapytał, bo po tym starym, trzęsącym się „halo” był prawie pewien, że to pomyłka. Potwierdziła, ale wrażenie mu zostało. Pomyślał, że rozmawia z osobą pamiętającą chyba cara Mikołaja. Głos był nie tylko stary, ale jeszcze jakiś stłumiony, jakby wycięto z niego któreś pasmo dźwięku. Nazwał ją w myślach Próchnicą, bo kojarzyła mu się ze spróchniałym pniem i z brązowymi, rozsypującymi się zębami.

Kiedy spotkali się pod bramą domu, w którym miał oglądać mieszkanie, przyszło mu drugie słowo: Pudernica. Nie była jeszcze taka zgrzybiała, miała może trochę ponad siedemdziesiąt, ale strój dodawał jej kilkanaście lat. Widać nie mogła pogodzić się z wiekiem albo na siłę chciała udawać osobę znacznie młodszą. I wychodziło jeszcze gorzej. Jakaś dziwaczna przedwojenna torebka, żakiet z wielką broszą, buty z niemal ortopedycznymi obcasami, na policzkach róż. Jakby umówiła się na randkę z kolegą z gimnazjum, do którego chodzili jeszcze przed pierwszą wojną światową.

Przez trzy miesiące, gdy szukał mieszkania, nie widział nikogo takiego. Agenci to byli najczęściej wąsaci faceci w skórkach i pod krawatem, pachnący wodą kolońską typu Wars. Ale to, co mu zaproponowała, wyglądało całkiem sensownie, no i powiedziała, że sprzedaje to jej znajomy, więc prowizja wyniesie tylko jeden procent. Frontczak nie lubił przepłacać, więc zniósł w milczeniu jakieś dziwne impertynencje przez telefon, typu: ona ma nadzieję, że jest poważnym klientem, że go stać, że jest człowiekiem na poziomie, bo właściciel nie chce sprzedawać mieszkania byle komu. Korciło go, żeby powiedzieć, że jest sutenerem albo hyclem, albo rzucić słuchawkę, ale zwyciężył w nim pragmatyzm. W końcu nie miał brać ze starą ślubu, tylko kupić przy jej pomocy mieszkanie.

Zresztą potem zrobiło mu się jej żal, bo Pudernica ledwie wdrapała się na to trzecie piętro, i pomyślał, jakim stresem musiała być dla niej ta praca, i nawet może przez chwilę poczuł do niej coś w rodzaju szacunku, że kobieta w tym wieku prowadzi jeszcze samodzielnie interesy, zamiast wegetować w kącie za trzysta złotych emerytury.

A potem wszystko przyćmił Dziadu, właściciel mieszkania. Dziadu to miał dopiero wypracowaną autoprezentację. Ślinił się, pocił, łzawił, i na dodatek cuchnął starym moczem. Kiedy Frontczak zobaczył w łazience szklankę ze sztuczną szczęką, o mało nie zrzygał się do wanny. Rząd żółtych kłów w różowym

plastiku wyglądał gorzej niż szczeka świętego Antoniego w Padwie, wprawiona w złotą monstrancję, show dla pielgrzymów, żywe mięso niezepsute przez kilkaset lat, arcydzieło sztuki chłodniczej.

Ale mieszkanie było ładne. Frontczak, który miał trochę wyobraźni, zobaczył je po zmianach. Układ był dziwny, ale dałoby się zrobić coś sensownego. Kuchnię otworzyć na pokój, sypialnię oddzielić albo ukryć we wnęce. Tylko światła było trochę mało. Mieszkanie wydawało się jakieś wilgotne, ponure. Frontczak nie rozumiał usytuowania pokoju względem kuchni i nieopatrznie zapytał, czy to tak wyglądało zawsze.

– No więc nie, panie, panie...

– Frontczak.

– No więc nie, panie Fraczek.

– Nie Fraczek, tylko Frontczak – zawsze go to wkurzało. – Frontczak. Jak Front Białoruski.

– No więc, panie Frątczyk, tu przed wojną było duże mieszkanie. Na dwie strony. Na wschód i na zachód. Po wojnie to podzielili i ja wtedy mieszkałem w tamtej części, od wschodu. To były moje najlepsze lata, panie. Trzy pokoje miałem z żoną i synem. Tam jest teraz piękne słońce, przychodzi rano i jeszcze jest trochę po dwunastej. Piękne słońce jest Żona kwiaty hodowała na balkonie. Zmarła w osiemdziesiątym dziewiątym. A potem, jak Wałęsa został prezydentem, mój wnuczek się żenił, i żeby jemu dołożyć do mieszkania, ja się zamieniłem za dopłatą z tymi zza ściany...

O, kurwa – pomyślał Frontczak, patrząc na zegarek. Jedyne momenty na oglądanie miał rano i wieczorem, bo na weekendy wyjeżdżał do rodziców. Wieczorem nic nie było widać, więc umówił się o ósmej rano. O dziewiątej musiał być w pracy, a teraz były największe korki.

– ...i to jest, teraz, panie, druga część. Mam tu słońce po południu. Rano jest

ciemno, ale jak już jest po drugiej stronie domu, to świeci aż do zachodu.

– Eee tam, chyba drzewa zasłaniają – powiedział Frontczak, patrząc na liście, które niemal wchodziły przez okno do pokoju.

– Nie zasłaniają. Jak słońce jest po drugiej stronie budynku, to tu wpada. Może przez liście, ale trochę wpada.

– Wpada, wpada – potwierdziła Próchnica-Pudernica.

– Ale wie pan, teraz to ja i tak tego nie zobaczę. Muszę przyjść innym razem, w ciągu dnia – powiedział, żeby zbyć.

Próchnica sama zadzwoniła do niego po południu na komórkę i parę minut go wypytywała, jak się podobało, i przekonywała, że po południu jest tam słońce, aż się zlitował i powiedział, że sam zadzwoni do niej na stacjonarny, żeby jej nie rujnować.

– A w ogóle to dlaczego on sprzedaje to mieszkanie? – zapytał po jej stetryczalym „halo”. – Źle mu tam? Może w mieszkaniu jest jakiś feler, zalewa od dachu czy co.

– Z mieszkaniem nie. Wszystko dobrze. Remont tylko trzeba zrobić. Z nim jest źle, z tym panem.

– On potrzebuje pieniądze na remont – zażartował głupio Frontczak.

– Nie bardzo. On już nie jest do remontu. Nie radzi sobie. Trzecie piętro. Za stary jest. Chce mieć na dom starców. Wpłaci im pieniądze za mieszkanie i będą go za to trzymać.

– A ma wnuczka czy syna, coś mówił.

– Gdzie tam. Za granicą. Teraz on im już niepotrzebny. Nie ma kto się opiekować.

– No w każdym razie ja nie jestem pewien – przerwał Frontczak, bo czuł, że rozmowa się przedłuża.

– To może być piękne mieszkanie. Wystarczy zrobić dobry projekt. A on dużo

nie weźmie, tyle żeby mu starczyło na ten dom starców – namawiała.

– Namyślę się – chciał ją już splawić.

– Ja panu prześlę faksem plan tego mieszkania, pan sobie rozrysuje. Każdy architekt panu powie, że to może być ładne mieszkanie.

Frontczak się zdziwił, że taka stara, a wiedziała, co to faks. Ale plan mu przysłała, zdaje się, z biura spółdzielni. Frontczak porobił kilka kserokopii i sam sobie rozrysował różne możliwości. Wychodziło, że faktycznie mieszkanie ma duży potencjał, a cena nie była wysoka jak na ten rejon Warszawy. Za dwa lata mieli tam dojechać z metrem i wtedy byłaby to superlokalizacja.

Tylko to światło. Nie lubił ciemnych, ponurych mieszkań, zresztą, kto lubił.

Trzy razy umawiał się przez Pudernicę na oglądanie mieszkania w ciągu dnia, wczesnym popołudniem. I trzy razy odwoływał, bo wypadało mu coś takiego, że nie miał szansy się urwać. I akurat teraz, kiedy w końcu przyszedł, na złość nie było ani Dziada, ani jej. Próchnicy-Pudernicy wprowadzie miało nie być, ale przynajmniej mogłaby mu powiedzieć, co jest grane.

Obrazili się czy co? – myślał Frontczak. Po szóstym sygnale włączyła się sekretarka. „Tu biuro nieruchomości Dobre Mieszkanie, proszę zostawić...” – gadał głos starej.

– Tu Frontczak. No przyszedłem po drugiej, tak jak się umawialiśmy, ale tego pana nie ma. Proszę o telefon, bo ja tu jeszcze poczekam – spojrzął na zegarek – może z dziesięć minut najwyżej do wpół do trzeciej, ale jak się nie uda, to nie wiem, kiedy znowu będę mógł oglądać w ciągu dnia.

Podszedł i jeszcze raz zadzwonił domofonem.

– To mnie stare wentyle załatwiły – mówił pod nosem. Nie dość, że nie zjadł obiadu, to jeszcze będzie musiał odpracować tę wycieczkę siedzeniem godzinę dłużej. Przypomniawszy sobie, co ma zrobić do jutrzejszego ranka.

Nie rozumiał ich. Chcieli sprzedać, umówili się, on przyszedł. Obrazili się,

patefony jedne, czy co?

Postanowił działać. Przeszedł na drugą stronę podwórka i wspiął się dwa metry nad ziemię po rusztowaniu przygotowanym do odnawiania ściany. Ale też nic nie było widać. Znowu drzewo najbliższe okien Dziada było stare, wysokie, pokryte zielonkawym nalotem i na dole nie miało gałęzi, po których mógłby się bezproblemowo wspiąć. Mógł spróbować na małpę, jak to kiedyś robił, ale przecież nie w tym ubraniu.

A może Dziadu tam zszedł? Przecież Pudernica mówiła, że on dogorywa. Może trzeba wezwać karetkę.

Już sięgał po telefon, ale pomyślał, że się wygłupi. Dziad zapomniał, wyszedł do parku, i tyle. Albo jest przygłuchy, gra mu radio i nie słyszy domofonu. A jakby co, to karetka przyjedzie Bóg wie kiedy, a on ma być o trzeciej w biurze.

Wtedy wpadł na pomysł śmietnika. Ażurowa chałupka z cegieł stała w głębi podwórza, ale była szansa, że dałoby się z jej dachu dostrzec między drzewami okna mieszkania Dziada.

Wrzucił na dach teczkę, a potem wlaź sam, uważając, żeby nie pobrudzić garnituru. Udało się. Akurat między koroną jednego i drugiego drzewa widać było rząd okien przy rynnie, a więc te co trzeba. Okno na trzecim piętrze było oświetlone. Stary nie kłamał, po południu w mieszkaniu musiało być przyjemnie, choć liście trochę jednak zasłaniały słońce.

Frontczak wychylił się jeszcze w stronę ściany domu, stając na krawędzi śmietnika, i zdawało mu się, że widzi starego, jak za szybą wystawia twarz do słońca.

– Halo! – krzyknął, ale okno było zamknięte, a zresztą może to nie był Dziadu, tylko jakaś półka stojąca przy oknie albo kwiatek na parapecie, Frontczak oglądał mieszkanie ponad tydzień wcześniej i już nie pamiętał, jak to wyglądało.

Może stary wcale nie chce sprzedawać mieszkania, tylko robi ze mnie wała.

Czeka, aż zejdzie tu, żeby nie dogorywać na szrocie? – myślał, schodząc ze śmietnika.

Wyszedł z podwórka, czując jakby żal czy smutek. Za bramą, gdy tylko stanął na chodniku, zlał mu się na głowę żar. Słońce oślepiało i wgniatało w ziemię. Do tego ten hałas. Z sąsiedniej ulicy dolatywał jazgot samochodów, nad który przebił się po chwili jęk ruszającego tramwaju, który wkręcił mu się w ucho jak wiertło w ząb.

## Muzyka supermarketów

### 1

Najbardziej ze wszystkiego nie lubił właśnie takich spotkań. Już je znał, te małomiasteczkowe lafiryndy z opalenizną typu karotka, włosami perhydroblond i mężami, którzy dorobili się nie wiadomo jak, a najgorsze, że nie byli to nawet gangsterzy, tylko zwyczajni pumeksiarze, kolesie, którzy ze straganu wyskoczyli do poziomu trzech butików i właśnie zakładali czwarty, swój pierwszy w dużym centrum handlowym.

Ale Wawrzak był nieubłagany.

– Nie dyskutujmy. Musisz być na spotkaniu z klientem. On się musi czuć dopieszczony. Ma to w cenie. O co ci chodzi? Klient jest klient, pieniąż jest pieniąż. Pomyśl o tym tak: ci ludzie to buraki, ale to oni są awangardą tego społeczeństwa. To oni pchają tę gnojową kulę do przodu. Trzeba im pomóc wydzwignąć się na wyższy poziom. Ich dzieci będą już inne. Będą się uczyć gry na skrzypcach i wtedy ty albo twoje dzieci będziecie mieli szansę dobrze z tego żyć.

– Nie mam dzieci i nie zamierzam mieć – odpowiadał Kamiński.

– I bardzo źle. Jak byś miał dzieci, tobyś tak nie marudził, tylko dziękował wujkowi Zenkowi, że nagrywa ci taką fajną robotę. Praca lekka, w cieple, jest za co pojeść, jest za co popić, a jak kto lubi, to starczy i na figle.

To była prawda. Kamiński burczał coś pod nosem.

– No dobra już, dobra – mówił w końcu. – To konkretnie: gdzie i o której.

– Podjadę pod ciebie o jedenastej, chyba że sobie wczoraj kupiłeś wreszcie jakąś bryczkę.

– Jak przyjedziesz, to zatrąb.



– A więc jeszcze nie. Oj, człowieku, na co ty wydajesz te wszystkie pieniądze?

Tego Wawrzak nie mógł zrozumieć. Dla niego auto to była podstawa. Jeszcze wynajmował kawalerkę w bloku, a już za pierwsze większe pieniądze kupił sobie paroletniego jeepa cherokee.

– Bajerka jest podstawą biznesu – mówił. – To wiedział prezes Lee Iacocca i dlatego odniósł sukces w motoryzacji. To powinien wiedzieć każdy, nawet prosty dzieciak po esgieha.

Sam Wawrzak zaliczył technikum elektryczne i rok jakiejś szkoły pomaturalnej, której zresztą nie skończył, bo wciągnął go wir nowych czasów. Ale braki w edukacji nigdy mu nie przeszkadzały. W głowie miał wszystko, co trzeba. Sporo czytał, ale najbardziej pomagało mu to, że umiał szybko przetwarzać dane. Po przeczytaniu najgłupszej gazety, byle aktualnej, miał zawsze pięć albo i siedem pomysłów na biznes.

Kręcił w stu branżach, ale najlepiej poszło mu we wnętrzarstwie. Sam się na tym nie znał, ale właśnie dlatego nawiązywał dobry kontakt z potencjalnymi klientami. Rozumiał ich potrzeby, wiedział, co jest dla nich ważne i na co będą zwracali uwagę, czym wygrywał z zawodowymi architektami, którzy zadzierali nosa i próbowali na siłę lansować własne wizje. Wawrzak nie miał żadnych wizji, poza wizją dostarczenia klientowi właśnie tego, czego ten oczekiwał, i zarobienia w ten sposób przyzwoitych pieniędzy. Umiał też dobierać współpracowników: ludzi posiadających jakieś wyjątkowe, rzadkie kwalifikacje, których jednak sami nie umieli dobrze sprzedać.

Na tej zasadzie doskonale dobrali się z Kamińskim.

Mieszkali w tym samym bloku. Po podstawówce, kiedy Kamiński poszedł do szkoły muzycznej, a Wawrzak do technikum, kontakt trochę się urwał, ale widywali się jeszcze czasem przy sklepie albo pod kościołem. Potem Wawrzak wyprowadził się, a Kamiński mieszkał dalej z matką w starym mieszkaniu.

Któregoś razu zderzyli się w prześwicie koło papiernika. Kamiński taszczył pudło ze swoją trąbą, a Wawrzak donicę z kwiatami na imieniny matki.

– Jak zdróweczko, mistrzu Kamińszczaku?

– Zenek? – nie dowierzał tamten.

– W rzeczy samej, tylko bardziej odpasiony.

– Eeee tam.

Trudno było powiedzieć, że Wawrzak był odpasiony. Chyba że w porównaniu z piątą klasą technikum. Drobny, chudy, ruchliwy jak chomik, może tylko trochę zaokrąglił się na twarzy.

– Niestety, niestety, lata płyną, trzydziestka na karku.

– Co u ciebie? – zapytał grzecznościowo Kamiński, który spieszył się do autobusu.

– Aktualnie branża wnętrzarska. Wawrzak Total Dizajn. Usługi kompleksowe. Od wyszukania lokalu, przez remont, do pełnego wyposażenia. A ty? Jak widzę, kariera muzyczna – Londyn, Sydney, San Francisco.

– Nie, nic takiego. Mam próbę w filharmonii. Muszę lecieć, bo mi autobus ucieknie.

– No to leć. Jeszcze się pewnie spotkamy. A jakbyś szukał roboty, zadzwoń do mojej starej, to ci poda komórkę. Telefon ten sam, tylko doszła ósemka.

– To tak jak u mnie – powiedział Kamiński, pożegnał się szybko i pobiegł w stronę przystanku.

Nie za bardzo wyobrażał sobie, jaką robotę mógłby mu naraić Wawrzak. W ostatniej chwili dobiegł do autobusu, wsiadł, znalazł wolne miejsce koło przegubu, gdzie mógł postawić trąbę, wgapił się w okno i zapomniał o spotkaniu.

Miało ono jednak ciąg dalszy.

– Kolega do ciebie dzwonił. Zenek Wawrzak – powiedziała matka z kuchni, kiedy wrócił. – Przy lustrze na kartce masz telefon. Mówił, że to pilne. Zadzwoń,

a ja już podgrzewam jedzenie.

Wawrzak sam się odezwał w połowie kolacji.

– Kamińszczak? – zapytał głupio. – Cześć, to ja, Zenek. Dzwonię, bo sobie przypomniałem, że ty kiedyś pisałeś jakieś kawałki. Jakies podkładziki, aranżacje, melodyjki, co?

– No, kiedyś tak, ale wiesz, poszedłem na dęte i teraz to raczej dmucham, niż komponuję.

– Ale co, nie chciałbyś czegoś dla mnie napisać? Byłoby takie zamówienie. Oczywiście dobrze zapłacę.

– No nie wiem, wiesz... – łamał się Kamiński. Komponowanie było jego pasją. Ale matka pchała go w stronę grania.

– Musisz mieć fach w ręku – mówiła. – Komponować możesz zawsze, ale to raz wychodzi, a raz nie. A jak dobrze poznasz instrument, to z tego musisz się utrzymać, jak by źle nie było.

Nie miała racji. W filharmonii płacili grosze. Kamiński z trudem załapał się do drugiego składu. Wyjazdy trafiały się raz, góra dwa razy do roku, jak ktoś z pierwszego składu zachorował. Ci od smyczkowych mieli lepiej, bo mogli grać w jakichś kwartetach czy tercetach, ale Kamiński na złość matce wybrał trąbę. W głębi duszy nienawidził tego instrumentu. I pieniędzy z tego nie było żadnych. Kto by chciał brać prywatne lekcje trąby? Chyba jakiś walnięty strażak, ale ci to uczyli się grać sami.

– Jareczku, stygnie ci – powiedziała matka na tyle głośno, żeby było słychać w telefonie.

– Dobra, spotkajmy się, powiesz mi, o co chodzi – powiedział Kamiński, osłaniając słuchawkę ręką.

– No to super. Może być jutro?

– Mam rano próbę w filharmonii. Może po próbie, w porze obiadu?

Od tamtego dnia minęły ze trzy lata. Kamiński odkuł się. To, co robił, podobało się Wawrzakowi i jego klientom. Po roku Kamiński rzucił filharmonię. Wreszcie nie musiał taszczyć znienawidzonej trąby ani dmuchać w nią. Matka pomstowała.

– Co ty robisz, dzieciaku?! Lata pracowałeś na to. Jeszcze rok, dwa, i trafiłbyś do pierwszego składu. Rzucić jest łatwo, ale potem wrócić już nie jest łatwo. Co masz w zamian? Niepewny los!

W końcu Kamiński wyprowadził się. Miał dość pieniędzy, żeby coś wynająć. Ba, z czasem miał tyle, żeby kupić mieszkanie na własność, ale szkoda mu było na to wydawać. Co zarabiał, inwestował w sprzęt. Po trzech latach miał już małe studio, a w nim tyle elektroniki, że mógł sam nagrywać kawałki, do których normalnie trzeba by całej orkiestry.

## 2

Wawrzak zatrąbił z dziesięć minut przed jedenastą. Kamiński wyjrzał przez okno i w strugach marcowego deszczu zobaczył Wawrzakową terenówkę. Pomachał tamtemu i pokazał mu na migi, że zaraz schodzi.

Gdy już wsiadł do auta, Wawrzak popatrzył na niego krytycznie.

– A ty co masz taką minę, jak rolnik w domu kultury? Stało się co? Znowu masz tego swojego splina? Chłopie, nakręć się trochę, przecież jedziemy do klienta.

– Matce znowu gorzej. Ma coś z sercem – poskarżył się Kamiński.

– A to przykre – Wawrzak szczerze się zasmucił. – Przy okazji pozdrów ją ode mnie.

– Jak ją pozdrowię od ciebie, to jej się pogorszy. Ona uważa, że mnie sprowadzasz na złą drogę.

– A co ja ci robię? Źle chyba nie masz?

– Nie to. Ja jestem zadowolony, ale ona uważa, że się marnuję. Że powinienem robić co innego. Grać, dawać ludziom piękno.

– Gadanie – powiedział Wawrzak, zapuszczając silnik. – A co my robimy? Przecież, że dajemy ludziom piękno. Płacą, to musi być pięknie. Sklepy, bracie, to są dziś świątynie. Ludzie się tam modlą godzinami. I chodzą częściej niż do kościoła.

– Ale nie wszyscy. Nie każdego stać. O to jej chodzi. Że piękno powinno być dla wszystkich. Nie tylko dla tych, co płacą.

– A czy ja ludziom bronię chodzić do drogich sklepów! Nie ma przymusu kupować. Przyjść, obejrzeć każdy może. Czy to moja wina, że lumpeksy nie inwestują w dizajn? Jak by chciały, to ja bym dla nich pracował. Razem byśmy pracowali. Ty byś im coś skomponował. Tylko że ich nie stać. Za bidne są.

– Pewnie masz rację. A jacy są ci, do których idziemy? – zapytał Kamiński, żeby zmienić temat.

– To, co najczęściej. Odzieżówka. Fatałaszki dla kobitek, trochę galanterii. Skórka, torebeczki.

– Jaki poziom cenowy?

– Napinają się na luksus, ale to udawanie. Ceny jak u wszystkich, ale chcą podciągnąć markę.

– A jak to się w ogóle nazywa?

– Przecież ci mówiłem. Françoise. Czyta się „fransuaz”.

– Wiem, wiem.

– Mówię, bo sam bym przekreślił. Na szczęście oni to powiedzieli podczas pierwszego spotkania. Wiele sobie po tym obiecują. Są z Pomorza, mają tam piętnaście sklepów i chyba coś jeszcze. W Warszawie zaczynają, ale od razu z rozmachem. Jeśli będzie dii, robimy trzy sklepy, oczywiście według tej samej sztancy. Już mam wstępny papier na projekty, dziś mi powinni zatwierdzić.

– A chcą w ogóle muzykę?

– Na razie puszczały radio. Nie lubią za dużo płacić. Ale ich urabiałem, że bez tego się nie wskoczy na wyższy poziom. Musisz im puścić tę swoją bajerkę, a jak nie zadziała, wtedy wkraczam ja.

Dojechali.

Było to centrum handlowe na przedmieściach. Już dość stare, ale, jak wszędzie, w sklepikach był ruch. Ktoś upadał, ktoś się wprowadzał. Kiedy szli przez galerię, w ich uszy wpadała uspokajająca popowa rąbanka.

Kamiński nie nienawidził hipermarketów i tej ich muzyki. Zwyczajnie nie lubił jej, co nie było dziwne. Poza tym była to ich konkurencja. Wielkie sklepy miały swoje taśmy z hitami, najczęściej kupowane za granicą, dla całej sieci. Najmniejsze sklepy, odkąd rozpoczęła się nagonka na piractwo, puszczały radio albo nic. Gdzieś pośrodku znajdował się ich segment Sklepy pojedyncze, nienależące do dużych sieci, żeby nie mieć muzyki kupowanej za granicą przez centralę, albo należące do małych, polskich sieci – na tyle rozwinięte, żeby inwestować w całociowy nastrój. Do takich uderzała ze swoją ofertą firma Wawrzak Total Design.

– A to jest mój artysta. Jarosław Kamiński. Muzyk. Człowiek wrażliwy i sprawny jednocześnie.

– Rudnik Joanna – przedstawiła się właścicielka i podała mu dłoń ciężką od złota.

– Maciaszek – przedstawił się menadżer sklepu.

– Artysta przejdzie się po sklepie, pozna warunki, odczyta atmosferę, a my tymczasem porozmawiamy o projektach – przejął inicjatywę Wawrzak.

– Proszę, niech pan siada, warunki są, jakie są – powiedziała Rudnik Joanna.

Minęło dwadzieścia minut Kamiński kręcił się po sklepie jak dureń, robiąc cały czas minę, która w zamyśle miała być skupiona i wrażliwa, ale w istocie była tylko smutna. Od czasu do czasu przypominał sobie uwagi Wawrzaka i próbował lekko

się uśmiechać.

– Jarosławie, pozwól tu na chwilę – usłyszał głos tamtego. – Jesteśmy gotowi do rozmowy. Państwo zatwierdzili nasze projekty.

– Ja może powiem od razu, że my się bardzo boimy przeinwestowania – powiedziała Rudnik Joanna. – Tutaj mamy od razu na wejściu duże koszty.

– Ale pani pamięta, pani Asiu, ile oszczędzamy przy równoległym zamówieniu wystroju do trzech sklepów – wtrącił się Wawrzak.

– Oczywiście, że oszczędzamy. Ale żeby zaoszczędzić, musimy ponieść naraz duże wydatki – wtrącił się menadżer Maciaszek.

– Właśnie – zgodziła się Rudnik Joanna. – Krótko mówiąc, nie jestem całkiem przekonana, że zamawianie specjalnej muzyki jest dla nas absolutnie niezbędne. Możemy puścić radio.

Kamiński popatrzył na nią swoimi ciemnymi oczami żydowskiego skrzypka.

– Pani kupuje sobie czasem coś do ubrania? – powiedział cicho.

– Że co? Oczywiście, że kupuję – zdziwiła się Rudnik Joanna.

– A jaka tam jest muzyka, w tych sklepach, gdzie pani kupuje?

– Czy ja wiem? Chyba nie ma żadnej?

– Otóż właśnie. Na tym polega muzyka w sklepie. Pani jej nie słyszy, ale ona jest Pani odbiera nastrój, czuje się jakoś i wtedy pragnie pani posiadać te rzeczy, bo to one właśnie mogą uczynić panią taką, jaką by pani chciała być. Muzyka okrywa panią jak muślin, nie czuje jej pani, ale ona jest. Pani patrzy przez nią, ona jest składnikiem pani świata, ale nie dostrzega pani jej istnienia.

Kamiński wyjął z kieszeni marynarki odtwarzacz minidysków i słuchawki.

– Niech pani teraz posłucha – podał je właścicielce Françoise.

– Co pani czuje? Ma pani piętnaście czy siedemnaście lat. Sklep jest ciasny, pełno regałów, ciuszki wiszą jeden przy drugim. W sobotę wybiera się pani na dyskotekę. Będą tam chłopcy i dużo innych dziewczyn. Pani musi się wyróżnić,

pani chce się podobać. Wypina pani pierś do przodu. Tak, właśnie to się nada, od razu wszyscy zwrócą na panią uwagę.

Rudnik Joanna popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– A teraz puszczam drugi kawałek. Pani ma ze trzydzieści lat Kiedyś było biednie, ale teraz to co innego. Pieniądze są. Mąż jeździ dużym samochodem, na przykład mercedesem...

– Sześćset SL.

– ...właśnie, i pani musi wyglądać. To pani jest jego żoną. On musi widzieć, że pani ma klasę, że pani jest kobietą na poziomie, a te małolatki nie dorastają pani do pięt I jego koledzy też muszą widzieć, muszą mu pani zazdrościć. Tak, wy dwoje macie moc, świat do was należy. Pani się niczego nie boi, pani się może ubrać tak, że na ulicy wszyscy się oglądają. A niech się oglądają, mnie stać, ja nie muszę ukrywać, że mam pieniądze.

Rudnik Joanna uśmiechnęła się.

– Jak pan na to wpadł?

– To jeszcze nie koniec. Puszczam trzeci kawałek. Proszę zamknąć oczy. Znów ma pani trzydzieści lat, ale pani facet to kto inny. Dyplomata. Albo reżyser w fularze, taki, jakich pełno w kolorowych pismach, tych droższych. Bywacie tam, gdzie trzeba, i potem te pisma pokazują zdjęcia. Tam to dopiero trzeba wyglądać. I żeby żadna nie miała niczego podobnego. Jeździ się do Paryża, do Mediolanu. Ale jeszcze lepiej, jak się kupi w Polsce i wszyscy myślą, że to ten Paryż albo Mediolan. Jeden ciuszek ustawia sprawę. Może być dyskretny, bo tam się wszyscy znają, ale to musi być coś pierwsza klasa. Dlatego zakupy robi się właśnie tu. Sklep jest duży i prawie pusty. Sprzedawczynie są, ale jakby ich nie było. Usuwają się, ale gdy tylko pani skinie ręką, są tuż obok. Cen nie ma. Wszystko jest drogie, ale tu przychodzą tylko tacy, co mają pieniądze i jeszcze umieją je wydawać. Dlatego ludzi jest mało. Muzyka jest taka cicha, że zaczyna ją pani trochę słyszeć. Otula



panią jak klimatyzacja w upał. Chce pani jeszcze zostać, przymierzać, ale nie można tu być za długo. Sprzedawczynie będą się uśmiechać tak samo, są najlepsze, ale pani nie może tu długo zostać, bo ma pani wiele innych spraw. Wybrała pani klasyczny żakiet, bardzo prosty, ale ma z boku taką małą zaszewkę i doskonale eksponuje talię. I ma takie piękne, malutkie perłowe guziki. I jeszcze pasek od Armaniego, będzie pasował. Płaci pani kartą i wszystko jest takie ciche, dyskretne. Proszę popatrzeć na ten gest kiedy ona składa pani ubranie, pełen miłości, może żalu. To baletnica, a wszystko dzieje się w rytm muzyki. Wszystko. Nawet szelest firmowej torby z ekologicznego papieru. Tak, to jest sklep dla pani, nie ma sensu wchodzić do innych, tu jest najlepiej.

Kamiński wyłączył odtwarzacz.

– Chce pani posłuchać jeszcze? To są tylko przykłady. Mam tu ze dwadzieścia nagrań, każde inne.

– Nie trzeba – powiedziała Rudnik Joanna. – Pan jest artystą – spojrzała na Kamińskiego trochę omdlałym wzrokiem.

– Staramy się być najlepsi – wtrącił się Wawrzak.

– Dobrze, ale ile to będzie kosztowało? – menadżer Maciaszek zarabiał na swoją pensję.

– Ależ, panie Andrzeju, niechże pan da spokój. Te czasy już się skończyły. My musimy iść z duchem czasu, jeśli chcemy przyciągnąć najlepsze klientki i przywiązać je do siebie. Ich wymagania rosną.

– Generalnie są dwie opcje. Można kupić dwie godzinne kasety, zrobione specjalnie dla państwa, na własność, albo płacić co miesiąc za użytkowanie.

– Ile to zajmie czasu?

– Zanim skończymy remont, muzyka będzie gotowa. Oczywiście pani wybiera. Przedstawimy kilka propozycji – Wawrzak czuł, że złapali wiatr w żagle.

– Teraz musi pani opowiedzieć, jaką ma pani wizję. Jaki efekt chce pani

uzyskać – Kamiński wpatrywał się w nią jak partner w solistkę podczas długiej arii.

– Czy ja wiem? Może zdam się na panów?

– My zrobimy wszystko. Ale pani wyznacza kierunek. Dla kogo to ma być?

Niech pani da przykład. Wchodzi pani klientka: kim ona jest, co chce tu kupić.

Wyszli po godzinie.

Idąc przez galerię, milczeli, ale za zakrętem, gdy wiadomo było, że ich nie widać, Wawrzak złapał nagle Kamińskiego za rękę.

– Przybij piątkę, Kamińszczaku. Ty jesteś artysta. Gdybyś wziął się więcej za handel, dokonałbyś wielkich rzeczy.

– Daj spokój, po takiej akcji muszę z tydzień odpoczywać. Rzygać mi się chce, kiedy sam siebie słyszę. Czy ty nie masz wrażenia, że ja zawsze mówię to samo?

– I bardzo dobrze. Najlepsza nawijka jest wtedy, jak powtarzasz parę razy to samo. Wtedy oswojasz się z tekstem. Teraz już wszedłeś na etap mistrzostwa. A jak muzyka? Masz jakiś pomysł?

– To nie będzie trudne. W gruncie rzeczy standard. Polecimy trochę klasyką, przy aranżacjach dodam odrobinę elektroniki, żeby uzyskać efekt chłodu i przestrzeni. Jakie są dwa inne sklepy?

– Metraż podobny, układ w sumie też.

– No to jasna sprawa. Za tydzień-dwa przyniosę jej taśmę do posłuchania.

### 3

Wawrzak zadzwonił po pięciu dniach i od razu po „halo” Kamińskiego poznał, że coś jest nie tak.

– Co tam słyhać? W porządku? – zapytał.

– Matka mi się kończy. Miała wylew.

– Jest w szpitalu?

– W domu, zamówiłem jej pielęgniarkę.

– A to dobrze, bo w tych szpitalach to od razu wykańczają ludzi. Moja stara, jak jej wysiadały nerki, też nie chciała tam siedzieć. – Wawrzak urwał nagle.

– Pewnie chciałeś zapytać, jak tam podkład do Francoise – powiedział Kamiński po chwili milczenia.

– Wiesz, jak jest. Matce się niebawem poprawi, daj jej Boże, a terminy to terminy.

– Lekarz mówi, że to może być kwestia paru dni.

– No widzisz – ucieszył się Wawrzak.

– Nie, nie to. Za parę dni może być już po wszystkim.

– Cholera!

– Jeszcze mamy czas.

– Słuchaj, Kamińszczak, ja widzę, że sprawa jest poważna. A jak nie dasz rady?

– Dam, dam. Matka to jedno, a praca to drugie.

– Bo to jest wiesz, duża rzecz. Dziś nie jest łatwo złapać klienta. A oni mają coś jeszcze. Nie wiem dokładnie co, ale chyba coś dużego.

– Nie martw się. Zadzwoń i coś ci przyniosę za parę dni.

Ale nie zadzwonił.

Od matki Wawrzak dowiedział się o terminie pogrzebu.

Znów lało i jeszcze wiał zimny, przejmujący wiatr.

– Przykro mi, stary. Mam nadzieję, że to nie moja wina – powiedział Kamińskiemu nad trumną.

– Twoja nie, ale moja to na pewno. Podmuchałbym jeszcze te parę lat w trąbę i byłaby szczęśliwa – próbował mówić twardo, ale głos mu się łamał.

– Dużo jej nie było trzeba.

– Jak ci mogę pomóc?

– Nie kłopotz się, wszystko załatwione.

– Jak chcesz, to pójdziemy na wódkę.

– Na wódkę to nie, ale wpadnij wieczorem. Pogadamy, co z tą ostatnią robotą.

Wawrzak nigdy tam nie był. Zawsze umawiali się na dole. Zdziwiło go ciasne mieszkanko w bloku, o ścianach wyłożonych tekturowymi foremkami od jajek.

– Przyniosłem to, jakbyś się jednak zdecydował – pokazał butelkę.

– Wchodź. Krzesel nie mam, ale możesz usiąść na pufie.

– Wiesz, o te Fransuaz to się nie martw, coś im dałem.

– Co im dałeś?

– Mieliśmy takie stare taśmy dla wnętrzarskiego butik, co się w końcu rozmyślili.

– Ale to nie dla nich. Tam było etno. Inny klimat.

– Tej Rudnik się spodobało. Jest twoją fanką. Chciała się spotkać. Żałowała, że cię nie ma, ale cię wytłumaczyłem. Tak że wszystko jest OK.

– Dzięki ci, Zenek. Naprawdę, nie byłem w stanie.

– Też bym nie był. Pracujesz nad czymś? – wskazał na świeżo rozrzucony, pokreślony papier nutowy.

– Przez te trzy dni do pogrzebu musiałem się czymś zająć. Chciałem napisać kompozycję dla matki, żeby zagrali na pogrzebie. Ale nie zdążyłem. Zatrzymałem się w połowie. Zagrać ci?

– Może później. Pewnie jest smutna, a ja jestem na to mało odporny. Zaraz bym się rozplakał, a muszę trzymać fason. Serio. Muzyka mnie rozmiękcza.

– Matka też nie chciała słuchać. Wiesz, mój ojciec był kompozytorem. Zginął w wypadku, jak miałem trzy lata. Kiedy ja chciałem pisać muzykę, ona myślała, że mi się coś stanie.

– Może była kiedyś w którymś naszym sklepie i słuchała, tylko nie wiedziała, że to twoje.

– Nie sądzę, ona robiła zakupy tylko w samie na osiedlu. Ubrań nie kupowała.

Potem jednak wypili, Kamiński puścił kawałki swojej kompozycji, Wawrzak się popłakał, gadali do późna i zasnęli na podłodze.

Wawrzak obudził się pierwszy, wstał, skreślił parę słów na odwrocie papieru nutowego i wyszedł.

Dał Kamińskiemu tydzień.

Zadzwoił pełen dziwnego entuzjazmu.

– Kamińszczak, dobrze się czujesz?

– Tak dobrze jak ty to nie. Ale powoli zbieram się do kupy.

– Bo ja właśnie w tej sprawie.

– Jeśli robisz wesołe miasteczko, to ja się nie podejmę.

– W pewnym sensie, ale nie dokładnie. To jest a propos tego, co mówiłeś o starej, znaczy, o swojej matce.

Nie chciał przez telefon powiedzieć niczego więcej. Miał zamiar zmusić Kamińskiego do wyjścia z domu, bo zrobiła się wiosna i liczył na to, że słońce i nowa robota pomogą wyciągnąć tamtego z dołka.

– Wreszcie to z nich wydusiłem – powiedział na powitanie, jakby dla Kamińskiego sprawa była na pierwszy rzut oka oczywista.

– Ale co?

– Pani przyniesie koledze czekoladę, a mnie jeszcze jedną kawę – powiedział Wawrzak do kelnerki. – Chcesz do tego ciastko?

– Nie, dzięki. Powiedz w końcu. Co to ma wspólnego z moją matką?

– Pamiętasz wtedy, jak piliśmy u ciebie. Mówiłeś, że twoja matka chciała, żeby muzyka była dla wszystkich, a nie tylko dla tych, co mają pieniądze.

– Nie mów, że załatwiłeś hipermarket. Oni zawsze kupują dla sieci, bo chcą puszczać znane przeboje, a my do tego nie dostaniemy praw. Tam się nie przebijemy. Nie ma mowy.

– Lepiej.

– Co lepiej?

– Mówiłeś, że ona nie chodziła do hipermarketów, tylko do osiedlowego samu.

– Raz ją zabrałem, ale jej się nie podobało. Mówiła, że to ją przytłacza. No i kłopot z autem. Musieliśmy brać taksówkę.

– I właśnie to. Małe sklepy są lepsze. Są tuż obok. Nie przygniatają tak człowieka. I może tam przyjść każdy.

– No wyduś to wreszcie z siebie. WSS Społem?

Wawrzak tylko się zaśmiał.

– Ci od Fransuaz.

– Przechodzą na artykuły spożywcze?

– Nie przechodzą. Oni to mają. Rozumiesz? To jest to, czego się chciałem dowiedzieć. Oni mają też sieć małych supermarketów. Nazywa się to Sklepik na Rogu. Ale to nie są sklepiki. To są właśnie takie osiedlowe samy. Kręci tym mąż tej Rudnik. Wielki biznes. Mają sieć na Pomorzu i teraz odkupują dziesięć sklepów w Warszawie. I ja ich ustrzeliłem. Chcą mieć wszystko: wystrój, muzykę i jeszcze może im wcisnę szkolenie personelu.

– A ty się na tym znasz?

– Znam takich, co się znają. Nieważne. Sieć supermarketów! Rozumiesz? Napiszesz muzykę, i jeśli twoja matka tam jest w górze, to ona tam wejdzie i to usłyszy.

– Wawrzak, co ty, co ci się stało?

– Zrozum. Serio. Możesz skomponować to, co chciałeś. Puścisz to zwykłym ludziom. Dasz im piękno. I jeszcze dobrze zarobimy. Ta Rudnik nas popiera. Bierzemy się do roboty, chłopie. Czeka nas wielka przyszłość.

Kamiński stał w alejce między sokami a słodyczami, z widokiem na stoiska z ciastami i świeżym pieczywem. Trzymał ręce w kieszeniach i patrzył bezmyślnie przed siebie. Co rusz ktoś go potrącał wózkami, ale on nie zwracał na to uwagi.

Hipermarket nad głową i dookoła ciążył mu. Czuł się jak robak w środku wielkiej góry. Muzyka spływająca z głośników pod sufitem miała go uspokajać, koić, ale nie koła i nie uspokajała. Był pełen napięcia, jak naelektryzowany. Za dużo ludzi. Czuł ich natrętną obecność. Ich głosy, szelest wyciąganych i odkładanych przedmiotów, szuranie kółek od wózków. Drażniły go zapachy. Charakterystyczny, słodkawy hipermarketowy smrodek gnijących owoców mieszał się z ostrą wonią ryb i ciężkim, pustym zapachem środków chemicznych.

Jego kompozycja nie spodobała się. Rudnik, właściciel, mąż Joanny, gruby, łysiejący facet ze złotą bransoletą, był serdeczny, ale stanowczy.

– To jest za smutne, panie artysto. Ja rozumiem, o co panu chodzi, o tę głębię, o przeżycie. Ale to mi wypłoszy ludzi ze sklepów. Ja, wie pan, jak byłem młody, pracowałem dwa lata w Muszkietkach we Francji. Normalnie, paczki nosiłem. Nie wstydzę się tego, bo to była dobra nauka. I tam ja, panie, zobaczyłem, jak działa muzyka. Jak może ludzi pobudzić, jak biorą to wszystko z półek i napychają te swoje wózki, żeby potem ledwie je dociągnąć do kasy.

– Ale, Stasiulku, pan Kamiński o tym wie. Przecież tym się właśnie zajmuje.

– I dlatego ja tu z panem siedzę. Bo ja rozumiem rolę muzyki w sklepie. Jak mi Joasia powiedziała, że ta polska firma chce zrobić muzykę dla Sklepek na Rogu, to ja się ucieszyłem bardzo. Bo my, Polacy, musimy się popierać. Jak nie będziemy, to Francuzi nas za skórę na karku wyniosą w zębach, jak szczeniaki.

– Rozumiem pana, chodzi o to, żeby było bardziej dynamicznie, optymistycznie.

– Właśnie, panie. To nie ma być Chopin. Słowiański, tak, ale wesoły. Jak mazurek czy krakowiaczek. W odzieżówce jest coś innego. Tam takie sprawy

przechodzą. Nastrój, klimacik, żeby się kobitki cieszyły, jak wydają fortunę na te parę szmatek. Prawda, skarbie?

– Pan Kamiński jest wielkim artystą. Czy ty wiesz, jakie były u mnie obroty przez ten pierwszy tydzień we Fransuaz?

– Wierzę ci, ale tu jest inna sprawa. Pan mnie rozumie?

– Tak, myślę, że tak. Może faktycznie nie byłem w tym nastroju.

– Ale pan w niego wejdzie. Papieroska?

– Dziękuję, nie palę.

– I słusznie. Ale wie pan, jak się ma na karku taką firmę, trudno nie palić. Piętnaście razy rzuciłem – zapalił i zaciągnął się. – Ale, ale, o czym to mówiliśmy?

– O nastroju – włączył się Wawrzak.

– Właśnie. Nie ma tego złego. Wcześniej się nie mogliśmy spotkać, bo ja ciągle jeżdżę. A tu jest ważna idea. Bo ja mam ideę. Teraz jest tak, że są tacy, co mają, i są tacy, co nie mają. Jedni kupują w nowych sklepach, w tych gigantach i w tych drogich butikach, jak te Fransuaz Joasi. A drudzy to są biedni, i oni się boją tych sklepów. Oni wolą targowisko, bazarek, spożywcza na rogu. Ale oni też by chcieli należeć do tego nowego świata. Też by chcieli mieć ładnie, czysto, po ludzku. Chcieliby mieć duży wybór. Ale są biedni, no i się boją. A znów ci pierwsi to się wychowali w spożywcza. I może oni za tym trochę tęsknią. Może ich też te giganty przytłaczają, może by chcieli bardziej kameralnie, przytulnie. Ale oni do spożywcza teraz nie wejdą. Ani na bazarek. Bo im pachnie, bo im przeszkadza, że brudno. Oni by nie chcieli, żeby znów było jak kiedyś.

– I kogo pan wybiera? Dla kogo chce pan robić swoje sklepy?

– Otóż to właśnie. Ja bym chciał dla jednych i drugich naraz. Taką mam ideę. To jest mój Sklepek na Rogu. Miły i mały jak spożywcza, ale wielki i nowoczesny jak hipermarket.

– Ale czy to jest możliwe? – zapytał Kamiński. Wawrzak zaraz zgromił go



wzrokiem, ale Rudnik spokojnie odpowiedział.

– Otóż, panie, to jest możliwe. I to mi nawet wychodzi. Pan wie, że my mamy na Pomorzu trzydzieści pięć procent? Jedną trzecią rynku. A Francuzi już tam weszli. Są sieci, a my mamy trzydzieści pięć procent detalu spożywczego. W chemii jest trochę słabiej, ale to jest inny rynek, tu mamy inną konkurencję.

– Jak to się udało? – w pytaniu Wawrzaka aż zapachniało wazeliną, ale Rudnik znów potraktował to dosłownie.

– Jak się udało? Bardzo proste. Ja kupuję stare spożywcze i je przerabiam na hipermarkety. Robię tam hipermarkety dla krasnali. Wszystko jak w hipermarkecie, tylko mniejsze. Ci nowi, kapitalistyczni, czują się swojsko i kameralnie. A ci starzy, ludzie socjalizmu, też się czują swojsko, a przy tym myślą, że weszli do tego nowego, lepszego świata. I to jest, panie, recepta na sukces. Niby to proste, ale jakoś nikt nie umie po mnie powtórzyć.

– A więc, jeśli chodzi o mnie, to pan oczekuje, żeby był taki nastrój jak w hipermarkecie, tylko w skali spożywczaka.

– Dokładnie.

– Czyli pan chce mieć coś jakby kameralną symfonię.

– Coś jakby tak.

– Chyba pana rozumiem. To jest jasne. Nie wiem, czy mi się uda, ale postaram się.

– Na pewno panu się uda – powiedział Rudnik, gasząc papierosa. – Joasia mi opowiadała, że z pana jest wielki artysta. Dlatego musi się udać. Razem dokonamy wielkich rzeczy – poklepał Kamińskiego po ramieniu, tak że tamten o mało nie spadł z krzesła. – Czy my to już mamy wszystko załatwione? – odwrócił się w stronę Wawrzaka.

– Absolutnie.

– No to żegnam panów, chciałoby się porozmawiać o sztuce, ale czeka mnie

jeszcze pół dnia użerania się z dostawcami.

Minęły dwa tygodnie. Zbliżał się ustalony termin. Kamiński nie miał żadnego pomysłu. Zaczynał trochę z tańcami ludowymi, ale wychodziło bez sensu.

Kiedy gruby Rudnik mówił o swojej idei, Kamińskiemu wydawało się to proste. Teraz, kiedy próbował zrealizować ją muzycznie, idea ulatniała się. Hipermarket i osiedlowy sam to były dwa światy. Osobne, niemające punktów styecznych. Wszystko było inne.

Kamiński chodził raz tu, raz tam, próbując odkryć ich logikę, system, nastrój, znaleźć coś wspólnego, co można by rozwinąć jako motyw przewodni. Ale nie znajdował. Ani tu, ani tu nie czuł się dobrze. Hipermarket przytłaczał go swoim ogromem, a znów w spożywczałach było mu za ciasno, czuł się osaczony i stłamszony.

## 5

Waldek Kowalczyk dojeżdżał z Płońska, ale nie był to problem, bo dojazd do pracy zajmował mu niecałą godzinę. Miał dobry pekaes, a jak mu uciekł, były jeszcze linie prywatne. Odkąd postawili go w spożywczałku, zyskał dodatkowe pięć minut, bo zamiast z pekaesu przesiadać się i jechać do siedziby firmy, szedł na piechotę od razu do spożywczałka i tam się przebierał w mundur.

Ale to była robota czasowa. Normalnie nikt nie wynajmuje stałej ochrony, bo to za dużo kosztuje. Ale tamci mieli jakieś kłopoty z miejscowymi menelami i niezależnie od wzywanego patrolu wzięli dodatkowo na dwa miesiące jednego człowieka na stałe. Obstawiali sklep we czterech, na dwie zmiany. Ranek, wieczór jedni dwaj, po tygodniu zmiana składu, potem ci sami, tylko na odwrytkę.

Chłopaki z patroli śmieli się z Kowalczyka, że został magazynierem, ale on nie zwracał uwagi na docinki. Co za różnica siedzieć w aucie czy chodzić w kółko po

sklepie. Tak samo nudno. W sklepie przynajmniej coś się działo. I często dostawał jakieś rzeczy do jedzenia, jak była dostawa i pomagał przenosić skrzynki. Nic to w robocie nie szkodziło, bo i tak sama jego obecność była ważna. A zawsze parę złotych oszczędził na piwo. Jak miał siedem z czymś netto za godzinę, to ta dyszka dziennie była nie do pogardzenia.

Ale niedziela to było skaranie boskie.

Z jednej strony dobrze, bo za niedzielę było płacone sto procent nadgodzin. Z drugiej źle, bo jak w sobotę zabalował w Miraflores do drugiej i trzeba było wstać po szóstej, żeby zdążyć przed otwarciem sklepu o ósmej, to niech to szlag. Co to za porządki, żeby sklep był czynny w niedzielę od ósmej rano.

Kowalczuk wkurzał się w myślach, ale nic nie mógł powiedzieć. Zresztą, mówić mu się nie chciało. Łeb mu pękał jak petarda, bo poprzedniego dnia wlał w siebie z dziesięć pstrągów, a po warce tak to już z nim było.

Do dziewiątej przeszło lekko. Dziewczyny dały mu gratis wodę, przeszedł tu, przeszedł tam, posiedział przy gazetach. Ale od dziewiątej piętnaście, jak przyszła szefowa sklepu, zaczęło się piekło.

– Co tu tak pusto?!

– Ludzi nie ma, szefowo, jeszcze wcześniej. Ruch się zrobi przed jedenastą.

– Jak tak będziecie siedzieć, to się sam nie zrobi. Otwórzcie drzwi. Dajcie głośno radio. Niech słyszą, że pracujemy, to zaraz ktoś wejdzie.

Radio? O kurwa, tego teraz nie wytrzymam – pomyślał Kowalczuk.

Dały na fula jakąś prywatną stację. Kowalczuk schował się na końcu sklepu, gdzie było najciszej. Ale tam zaraz wypatrzyła go szefowa sklepu, jak poszła skontrolować mięso i warzywa.

– A gdzie ty się tu chowasz. Masz siedzieć przy wejściu, żeby cię było widać. No!

Kowalczuk posłusznie przeszedł na przód sklepu. Stał tam, stał, aż z senności

oparł się o stojak z gazetami. A że miał te swoje dziewięćdziesiąt pięć kilo, stojak pod jego ciężarem o mało co nie spierdolił się na kasę. Kowalczyk w ostatniej chwili złapał stojak, ale hałas wywabiał znów szefową z zaplecza. Tylko spojrzała i schowała się.

– Uważaj, szefowa dziś wkurzona jak bombowiec – ostrzegła go Mariola z kasy.

I Kowalczyk uważał. Ale starczyło mu tego ledwie na pół godziny. Koło dziesiątej usiadł na parapecie, oparł na chwilę głowę o rękę i zaraz zasnął.

Obudziło go szarpnięcie za ramię.

– Słuchaj! Słuchaj no, ty. Wstawaj! My ci nie płacimy tu za spanie! Ty masz pilnować sklepu. Spać to sobie możesz w domu. Kogo tu przysyłają! Jak to się jeszcze raz wydarzy, to dzwonię do firmy, żeby nam zaraz dali kogoś innego.

– Niech pani tego nie robi, ja się teraz postaram – tłumaczył się czerwony Kowalczyk.

Za coś takiego można było u nich wylecieć z roboty. No i wstyd mu było przed dziewczynami, że go tak przy nich obsztorcowują jak gówniarza.

– Masz ostatnią szansę. A jak dziś cokolwiek zginie, rozumiesz, cokolwiek, batonik, bulka albo pączek, to już po tobie – szefowa machnęła mu palcem koło nosa. – Uważajcie wy też, dziewczyny, bo jak coś będzie nie tak, to i na was się skrupi.

– Kowalczyk teraz uważał. To była ciężka próba. Nie dość, że radio grało na ful, to jeszcze robiło się coraz goręcej. Był koniec kwietnia i koło jedenastej słońce zaczęło mocno dawać. A on miał jeszcze służbowy zimowy sweter, którego nie mógł zdjąć, bo zapomniał firmowego tiszerta i miał pod spodem zwykłą białą koszulkę na ramiączkach.

Chudy w płaszczu od razu wydał mu się podejrzany. Miał jakieś takie nieobecne oczy. Kowalczyk pomyślał, że to narkoman. Tylko patrzy, żeby coś

zwinąć. Ale czekaj, ja ci zwinę. Dostaniesz ty dzisiaj za wszystko.

Chudy poszedł na koniec sklepu i tam stanął koło nabiału, jakby się nad czymś zastanawiał.

Kowalczuk przeszedł koło niego raz, drugi, trzeci. Za trzecim nawet go potrącił. Chudy nie zareagował. W ogóle nie zwracał na Kowalczuka uwagi.

– Pomóc w czymś? – zapytał ochroniarz.

– Nie dziękuję, nie – powiedział tamten, jakby wyrwany z transu.

Kowalczuk przeszedł na przód sklepu, cały czas mając tamtego na oku.

– Chce coś ukraść – powiedział do Beaty z kasy alkoholi, pokazując palcem na chudego.

– Ten? Nie, chyba nie. On tu czasem przychodzi.

– Ja ci mówię, że tak, ja mam nosa do tych spraw. Przeszedł na koniec sklepu i zaczął się po drugiej stronie regału.

Chudy znowu zastygł i nawet zamknął oczy. Po chwili Kowalczuk ze zdumieniem zauważył, że na twarzy tamtego coś się zaczęło dziać. Przechodziły po niej jakieś miny, jakby chudy z kimś rozmawiał albo słuchał muzyki. Ale Kowalczukowi nie pasowało to do muzyki, którą on słyszał. Z radia leciało jakieś potworne łup, łup, łup, a chudy robił takie ruchy głową, jakby to było coś znacznie wolniejszego.

A potem zauważył, jak tamten wyciąga rękę, jakby dyrygował, i ręka na chwilę zjechała w dół, za regał, i znikła z pola widzenia Kowalczuka.

– Oś ty, kurwo, mam cię!

Rzucił się na tamtego jak tygrys. Przewrócił go na ziemię i zdławił mu szyję uściskiem, którego uczyli go na kursie. Nie zauważył, że chudy, padając, zahaczył głową o kant chłodni. Dlatego zdziwił się, że przeciwnik tak szybko wiotczeje w jego rękach.

Nadbiegły kasjerki i szefowa.

– Batonika chciał ukraść – tłumaczył się Kowalczyk, wstając.

Kamiński leżał na podłodze. Na twarzy zostało mu zdziwienie i ulatujące takty muzyki, która jeszcze przed chwilą grała w jego głowie. Miał zgiętą rękę, która jakby dyrygowała albo to były jakieś ostatnie konwulsje. Za ciemieniem zrobiła się mała kałuża z krwi, która najpierw kapała, a potem popłynęła wąską stróżką.

Nie mam czasu, by umrzeć

*Wydaje się to mało prawdopodobne, ale i u nas dzieją się rzeczy, które nadawałyby się na scenariusz filmu z Bondem. Jedną z nich opowiedział mi ostatnio Romuś, chłopak z naszego osiedla.*

Ja tam już na osiedle prawie nie zaglądam, ale akurat z Romusiem się widuję. Przynajmniej raz na rok albo chociaż raz na dwa lata. Rzadko, bo rzadko, ale za to regularnie jak w zegarku. A to dlatego, że mieszkam w domu, w którym jest kino. A w kinie lecą wszystkie nowe filmy, w tym Bondziaki. Nowy Bondziak pojawia się raz na rok, góra raz na dwa lata. I tak już jest, że zawsze, jak wchodzi nowy 007, muszę się pod kinem napatoczyć na Romusia.

Tak było i tym razem. Ale zanim okaże się, jaka to historia, muszę powiedzieć, kim jest jej bohater, bo bez tego nic nie zrozumiecie.

Jakoś tak się utarło, żeby mówić o nim Romuś. Brzmi to czasem śmiesznie, bo Romuś ma prawie dwa metry i jest dosyć przypakowany. Z daleka wygląda groźnie, zwłaszcza w stroju sportowym, który często nosi, jak chodzi na pakiernię. Ale z bliska to co innego. Romuś ma twarz dużego dziecka, od razu widać, że muchy by nie skrzywdził. Złoty chłopak: miły, uczynny. Stąd to zdrobnienie, którego on sam zresztą nie lubi. Wiem, że naprawdę chciałby, żeby mówić o nim Bondziak, i czasem, jak ktoś chce go połechtać, zrobić mu przyjemność albo ma do niego interes, mówi „Bondziak” i wtedy Romuś rozpuszcza się jak wosk.

Nie znam drugiego gościa, który miałby tak przekręcone na punkcie filmów o agencji 007 jak Romuś. Zaraził się tym jakoś na początku lat dziewięćdziesiątych i ostatnio, jak telewizja puszczała wszystkie stare Bondziaki, to mówił, że nagrał sobie tylko jeden, bo pozostałe miał dawno na kasetach. Romuś należy do jakiegoś klubu miłośników 007, mają swoją listę dyskusyjną w Internecie i raz na rok robią

zlot bondziarzy i wtedy organizują konkurs wiedzy o starych filmach. Nie ma w tym żadnej komercji. Zwycięzca zostaje w nagrodę przewodniczącym następnego zlotu i układa pytania na nowy konkurs. Romuś wygrał dwa razy i miał z tego wielką satysfakcję. Chociaż pieniędzy żadnych. Zawsze, jak robią konkurs, zwraca się do nich firma dystrybucyjna, która sprowadza Bondy, i proponuje im sponsorowanie w zamian za udział w reklamie nowego filmu. Ale oni dzielnie się przed tym bronią, choć nie zawsze jest to łatwe. Raz ci od filmów napuścili na nich telewizję i kilkudziesięciu bondziarzy musiało zabarykadować się w domu kultury, gdzie był zlot. Przyjechała nawet policja, ale oni otworzyli dopiero wtedy, gdy dostali zapewnienie, że nie będą filmowani wbrew woli.

Romuś jest na całym osiedlu dobrze znany ze swojej pasji. Wszyscy wiedzą, że jak się zacznie gadać o czymkolwiek, co dotyczy Bonda, choćby pośrednio, Romuś momentalnie się włącza i potrafi gadać godzinę albo dwie. A to o gadżetach, a to o aktorach odtwarzających Bonda, a to o przeciwnikach agenta 007. Cytuje z pamięci bondologiczną literaturę (bo jest coś takiego), gdzie omawia się związki pomiędzy fabułami filmów a sytuacją w polityce i sprawach międzynarodowych.

Ale najlepsze, że z tego bondziactwa Romusiowi zatarła się chyba granica między fikcją a rzeczywistością. Czasem widać to bardziej, czasem mniej, ale jestem pewien, że on sam uważa się za agenta 007. Może nie ubiera się jak Bond, ale zawsze nosi przy sobie pistolet gazowy i całą masę gadżetów, które z Bondem nie mają wiele wspólnego, ale dla niego znaczą tyle, co gadzety prawdziwego Bonda.

Romuś kupuje każde dziwactwo, które pojawi się na straganach albo w domach towarowych. Zapalniczka z zegarkiem, zegarek z długopisem, długopis z latarką, latarka na korbkę, budzik w kształcie granatu ręcznego – zawsze ma tego pełno w kieszeniach i każda rozmowa z nim zaczyna się od prezentacji tego badziewia. „A widziałeś taki eksponat?” – pyta i z kolejnych kieszeni wyciąga jedną sztukę po



drugiej.

Zresztą, żeby zorientować się, że jest trochę sfiksowany, wystarczy zobaczyć jego samochód. Romuś jeździ maluchem, ale jakim! Maluch jest zrobiony na wyścigówkę. Z przodu i z tyłu ma spojler, rurę wydechową jak z Formuły 1, dwie metrowe anteny, bo jedna od normalnego radia, a druga od CB. Wcale bym się nie dziwił, gdyby się kiedyś okazało, że ten maluch jest sterowany radiem, jak prawdziwy wóz Bonda. A najlepsze, że ma rejestrację WZK 007B.

Kiedyś mi opowiedział, ile go to kosztowało. Najpierw, że musiał się wymeldować od babci, która mieszka na Woli, gdzie nie mógł dostać rejestracji z taką końcówką. A to było poświęcenie i ryzyko, bo babcia Romusia mieszka w kwaterunku i jak jej się, nie daj Boże, co stanie, przepadnie lokal, który miał się dostać Romusiowi. No, ale są sprawy ważne i ważniejsze. Kiedy Romuś dowiedział się, że na Bielanych będą przyznawane nowe rejestracje z trzema cyframi i jedną literą, nie było czasu do stracenia. Błyskawicznie i nie słuchając protestów rodziny, wymeldował się od babci i zameldował się znów w mieszkaniu rodziców, a potem zaraz odkręcił tablice i ruszył z nimi do urzędu. O mały włos by się nie udało, bo właśnie takie tablice dostał inny gość rejestrujący nowy samochód, ale Romuś go ubłagał, obiecując, że mu za darmo zainstaluje radio, a potem jeszcze, prośbą czy groźbą, przekonał urzędniczkę wydziału komunikacji, żeby anulowała wypisany już dowód i upragniony numer rejestracyjny zarezerwowała dla niego.

Ta akurat historia jest prawdziwa, ale co do innych mam czasem spore wątpliwości. To jest tak jak z Bondami. Te wszystkie komputerowe ujęcia, jak agent 007 jedzie w powietrzu motocyklem i dogania helikopter albo jak przeskakuje z samolotu na samolot, albo jak przegryza stalowy łańcuch – to są bzdury. Wiadomo, że na tym właśnie polega ich urok, ale ktoś, kto ogląda tego za dużo, może w końcu sfiksować i nabrać skłonności do konfabulacji. Ja osobiście

nie znam wszystkich Bondów, oglądałem góra trzy, może cztery, i nawet nie potrafiłbym powtórzyć tytułów. One są zawsze takie patetyczne, na granicy autoparodii. *Złote oko*, *Jutro nie umiera nigdy* czy ten ostatni, *Świat jest za mały* – to wszystko wydaje mi się tak samo absurdalne.

Kiedyś Romuś prawie mi wmówił, że Anglicy chcą kręcić nowy odcinek Bonda w Polsce. Miało się to nazywać Jeszcze jeden mazur dzisiaj. Agent 007 miał być oddelegowany do współpracy z naszą policją w celu zlikwidowania ruskiej mafii, chcącej wykraść tajemnice natowskiej broni instalowanej w Polsce. Rakiety miały być wywiezione z Polski i przez Rosję przewiezione do jednego z krajów arabskich, oczywiście za grube pieniądze. Temu właśnie miał przeszkodzić Bond przy pomocy polskiej policjantki, którą miała zagrać któraś z młodych aktorek, spopularyzowanych przez telenowele.

To było nawet wiarygodne, bo skoro Brosnan wystąpił już ze Scorupco, a Polska weszła do NATO, to czemu nie nakręcić Bonda o Polsce? Zrobiłem się trochę podejrzliwy, kiedy Romuś powiedział, że w tym odcinku Bond miał jeździć polonezem zrobionym na superwyścigówkę, z pełną elektroniką, na podwoziu porsche'a. To już pachniało Panem Samochodzikiem. Ale i tu mi Romuś wytłumaczył. Za wstawienie samochodu do filmu miał płacić koncern Daewoo, któremu opłacałoby się wydać duże pieniądze za reklamę na zachodnim rynku. A w filmie miało to być tak, że niby wcześniej zrobili Bondowi superauto w Anglii, ale Polacy mu odradzili jego używanie, bo zbyt zwracałby na siebie uwagę. A w zamian nasza policja dałaby mu tego fantastik-poloneza. Dodatkowo miał to sponsorować polski rząd, z funduszy przeznaczonych na promocję naszego kraju. No, że niby Polska to świetne miejsce do inwestowania, są tu zaawansowane technologie, i takie tam.

Wtedy Romuś mnie nabrał. W końcu mu uwierzyłem, a jak się w tym upewnił, dostał takiego napadu śmiechu, że się aż zapowietrzył.

Więc kiedy opowiedział mi tę fantastyczną historię, o której będzie tu mowa, byłem bardzo sceptyczny. Drugi raz nie dam się nabrać – myślałem, tym bardziej że wszystko brzmiało jak kawałek tego polskiego Bonda, tyle że z Romusiem i jego maluchem w roli głównej.

Romuś zobaczył, że mu nie wierzę, i był nawet trochę obrażony. Ale spieszył się do kina i nagle się rozstaliśmy. Potem spotkałem jeszcze kogoś z osiedla i powtórzył mi to samo. Potem jeszcze ktoś inny. Początkowo tłumaczyłem to sobie tak, że Romuś rozpuścił historię niby w tajemnicy, a ona się usamodzieliła, i zaczęła żyć własnym życiem. W końcu specjalnie pojechałem na osiedle, żeby zobaczyć tamto miejsce. I rzeczywiście, realia się zgadzały, tylko trudno było uwierzyć, że wypadki potoczyły się tak, jak opowiadał Romuś.

No a potem przeczytałem ten artykuł w gazecie. Ukazał się dużo później, bo jak mi zresztą mówił Romuś, śledztwo było w toku i nie od razu mogli ujawniać choćby szczątkowe informacje. Artykuł nie podawał tyłu szczegółów, ale wszystko się zgadzało. Romuś nie był wymieniony z nazwiska, ale z opisu można się było domyślić, że chodziło właśnie o niego. No i nie podawał tego tekstu, którym on skwitował całą historię, tak nadającego się na tytuł nowego Bonda, gdyby ktoś to kiedyś chciał nakręcić.

Żeby już nie przedłużać: Romuś miał dziewczynę, która mieszkała w tej samej klatce, co Poślubiona Mafii. Poślubiona Mafii była to normalna dziewczyna z naszej podstawówki, która miała chłopaka gangstera. Niby nic, dziewczyna jak inne, ani za ładna, ani za brzydka. Ale jak po nią czasem zajeżdżał ten łysy koleżka w mercedesie i pumpach, nikt nie miał wątpliwości. „Już po niej – mówili. – Poślubiona mafii”. Raz tego jej koleś chciał gdzieś stuknąć, ale miał szczęście. Wrócił po coś do knajpy, i jak wóz eksplodował, tylko mu odłamki szkła z szyby poharatały twarz.

A Romuś całkiem przypadkowo poderwał sobie dziewczynę z tej samej klatki,

tylko mieszkającą dwa piętra wyżej. Nie raz i nie dwa parkował swojego malucha obok czarnego mercedesa i się przyzwyczaił.

No, ale tego dnia sytuacja była inna. Na tamtego koleżkę zaczęli się bandyci z innej bandy. Widzieli, że jest i czekali na niego. Jak wychodził, puścili serię z kałasznikowa i prawie przecięli go na pół. Potem jeden wyszedł sprawdzić, czy gość się rusza, czy mu wystarczy.

I w tym właśnie momencie pod klatkę zajechał swoim autem Romuś.

Było już ciemno, a że listopad i późno, pod blokiem nie było nikogo. Bandyci by załatwili swoje i pojechali i nikt by ich nie poznał, bo jedno to bmw jeździ po osiedlu? No, ale trzeba było trafu, że akurat napatoczył się Romuś i oświetlił ich swoimi reflektorami. I tego, co wyszedł, i resztę w bmw.

„Nawet – mówił – słyszałem jakiś huk, jakby prychanie czy klekotanie, ale nie sądziłem, że to kałasznikow. Myślałem, że to gość z drugiego piętra odpala swoją syrenkę. Aż tu zajężdżam i w reflektorach widzę gościa z giwerą i jeszcze parę łysych pał w samochodzie”.

Trzeba przyznać, że Romuś wykazał się wtedy refleksem. Gdyby zaczął choć przez chwilę kombinować, szukać po kieszeniach swojego gazowca albo granatów-zapalniczek, byłoby po nim. Ale nie. On błyskawicznie ocenił sytuację, dał wsteczny, wykręcił i szpula naprzód. A bandyci, jak się tylko zorientowali – za nim.

Wiadomo – maluch, jak to maluch, nawet rasowany przez Romusia. Cudów nie ma. Ale tym razem wydarzyło się coś na kształt cudu. Wzdłuż bloku były porobione spowalniacze ze starych rur. Kolebało to niemożliwie, nawet jak człowiek jechał wolno, było zawsze stuknięcie, jakby miało się oderwać podwozie. Ale spełniały swoją funkcję – nie dało się łam jeździć szybko.

No więc co Romuś przyspieszy, to zwalnia. Co przeskoczy rurę – to przyspiesza. A przy tym znał teren, wiedział, kiedy przyspieszyć, a kiedy

hamować.

Bandyci nie – musieli częściej hamować i na wszelki wypadek jechali wolniej, niż mogli. Kiedy Romuś dojechał do końca bloku, udało mu się nawet trochę zyskać. Ale wiedział, że to wszystko na nic. Gdyby tylko wyjechali na prostą, mieliby go w parę minut. Zaczął więc kluczyć po uliczkach, żeby nie mogli go dogonić ani wyprzedzić. Na policję nie liczył, bo patrole bały się zapuszczać na osiedle. Gdyby się nawet któryś zaplątał, toby uciekli albo zgasili światła i udawali, że ich nie ma. Chyba żeby wyjechał prosto na nich.

„Miałem pietra jak diabli – mówił Romuś i trudno mu było nie wierzyć. – Choć było chłodno, czułem, jak pot ścieka mi po plecach. Tu gazuję, jak mogę, tu uważam, żeby mi nie urwało podwozia, a co spojrzę w lusterko, widzę poczwórne światła. To bmw jedzie ze trzydzieści metrów za mną, a mnie się zdaje, że siedzą mi na tylnym zderzaku. Czułem się jak pilot myśliwca, bo w powietrzu też wszystko rozgrywa się w ciągu nie minut, lecz sekund”.

Tyle że w powietrzu Romuś miałby chociaż karabin maszynowy czy armatkę. A tu miał tylko pistolet gazowy, i to bez możliwości użycia, bo zanimby go wyciągnął i wychylił się z malucha, oni już by go dawno ustrzelili. A tamci mieli kałasznikowa i pewnie inną broń.

No i tak sobie jechali przez osiedle z rykiem silników (maluchowy motor pewnie bardziej hałasował niż bmw), z piskiem opon i grzechotaniem na rurach-spawalniaczach.

Romuś opowiadał, że przez tych parę minut przypomniało mu się całe życie. Pierwszy obiad w przedszkolu, kiedy wyrzygał zupę do talerza, pierwsza klasa, mistrzostwa szkoły w ping-pongu, w których zajął trzecie miejsce, bierzmowanie, egzamin do szkoły średniej, matura i inne takie zdarzenia. „W głowie miałem kaszę i starałem się za wszelką cenę skupić, żeby mi przyszedł do głowy jakiś pomysł, jak się z tego wywinąć – mówił. – Ale mi nic nie przychodziło. I wtedy, nie

uwierzysz, przypominał mi się nowy Bond, co miał wchodzić za trzy miesiące. I tak się na tym Bondzie zafiksowałem, że przypominał mi się pościg z poprzedniego odcinka, *Tomorrow Never Dies*, bo sytuacja była całkiem podobna, tak zafiksowałem, że kiedy chciałem sobie przypomnieć tytuł tego nowego Bonda, za nic nie mogłem. Blokada. I zamiast kombinować, jak uciec, starałem się na siłę wywołać w pamięci ten cholerny tytuł nowego Bonda. I nie mogłem. A ci w bmw byli tuż-tuż”.

Nagle dojechali na skraj osiedla. A raczej do miejsca, gdzie kiedyś był skraj osiedla. Droga prowadziła gdzieś w pola i dalej wychodziła na tyły cmentarza. To znaczy, kiedyś wychodziła. Ale, o czym w ferworze pościgu Romuś zapomniał, wtedy już zaczęli budowę tych nowych bloków. I droga się urywała. Bo zrobili tam wykop pod fundamenty. Jeszcze niegotowy, ale dziura w ziemi miała już ze cztery czy pięć metrów w dół i wszerz.

Romuś zorientował się, co jest grane, kiedy nagle zobaczył przed sobą deskę w czerwono-białe pasy, zagrządzającą wykop. Za późno, żeby się wycofać. Po obu stronach asfaltu wyboje, na których maluch zaraz by zabuksował. A przed Romusiem – wykop. Słabo widoczny w mroku, ale Romuś przejeżdżał tam poprzedniego dnia i musiał zawracać, więc zdawał sobie sprawę z sytuacji. Dla kogoś obcego wyglądało to trochę jak górka, bo przy brzegu z wykopanego piasku powstał mały wał.

I znowu tych parę chwil przesądziło. Tym razem jednak nie ocaliła Romusia błyskawiczna ocena sytuacji tylko coś wręcz przeciwnego. Z tego strachu i zamieszania pokręciło mu się w głowie. To, co widział dookoła, zlało mu się ze wspomnieniami z poprzedniego Bonda i wyobrażeniem nowego Bonda, którego tytułu nie mógł sobie przypomnieć, ale się bardzo starał, i dlatego, kiedy wyrósł przed nim ten drewniany szlaban, Romuś uznał za naturalne, że jak Bond po prostu przeskoczy autem wykop. Gdyby się zastanowił, nigdy by mu coś tak idiotycznego

nie przyszło do głowy. Wtedy jednak nie myślał w ogóle. Poczł się jak na filmie. Kiedy deska roztrzaskiwała się o jego przednią szybę, Romuś nacisnął gaz do dechy, spiął się w sobie i zamykając oczy, w myślach zobaczył scenę z filmu, gdy Bond przeskakuje samochodem przepaść.

Tymczasem gangsterzy za nim zachowali się dokładnie odwrotnie. Widząc w świetle reflektorów górkę, zwolnili, bo bali się wybojów, na których mogliby rozwalić zawieszenie. Na dodatek widzieli, że maluch nie zwolnił. Bali się, że jadący przed nimi samochód zaryje w piach i wjadą mu w tył. I to ich zgubiło.

Romuś był już na skraju wykopu. Miał zamknięte oczy, ale wszystko sobie wyobrażał. Czuł, jak podwozie malucha wybija się z krawędzi, koła z rykiem miały powietrze i wóz zaczyna lecieć, frunie gdzieś w mrok, siłą jego woli nawet unosi się do góry. I ten lot trwa, trwa, ułamki sekund są rozciągnięte w minuty, aż nagle auto wali potężnie w piach. W tym momencie Romuś przypomina sobie tytuł nowego Bonda, nad którym tak wytrwale pracował jego mózg, po czym traci przytomność.

Bandyci mają mniej szczęścia. Podczas gdy rozpędzony maluch jak na skoczni wybija się do góry i zarywa w krawędź piaskowego wału po drugiej stronie wykopu, ich bmw, hamując, spada cztery metry w dół, koziołkuje, wali dachem w podłoże, bandyci zgniatają się, a kilkanaście sekund później samochód zapala się, wybucha benzyna w baku, a potem amunicja i, zdaje się, granaty. W niebo strzela słup ognia, słycać potężny huk i eksplozja jest całkiem prawdziwa, a przy tym nie gorsza, nie mniej efektowna niż te w filmach z Bondem.

Po jakimś czasie na miejsce przychodzą ludzie, potem przyjeżdża policja. Ktoś podchodzi do malucha wbitego w krawędź wykopu. Świeci latarką i widzi okrwawioną głowę na kierownicy. Otwiera drzwi i podnosi łeb Romusia, chcąc sprawdzić, czy ten żyje, pyta: „Człowieku, żyjesz?“, i wtedy Romuś, półprzytomny, mając jeszcze w mózgu oba Bondy, tego starego, który skleił mu się

z jego życiem, i tego nowego, którego tytułu nie mógł sobie przypomnieć na chwilę przed lotem, kiwa lekko głową i odpowiada powoli, oddzielając wyrazy: „Nie mam czasu, by umrzeć”.



## Obiecałeś

Retmianiak poczuł delikatne drżenie na wysokości serca. Wszyscy patrzyli na ścianę, na której wideoprojektor wyświetlił jedenasty slajd prezentacji, poświęcony konsolidacji sektora. Słone paluszki i ciasteczka oblane czekoladą były już dawno zjedzone. Opakowania po mleku do kawy leżały na kupie obok pustych już chyba dzbanków z wrzątkiem, serwetek i niewykorzystanych torebek herbaty Lipton.

– Ja bym to rozbiła na dwa osobne – powiedziała Musiał, szefowa firmy PR, która była odpowiedzialna za jutrzejszą konferencję. – Bo tu lepiej, żeby pan prezes wyszedł od dotychczasowych akwizycji, a dopiero w drugim rzucie powiedział, jakie są możliwości fuzji firmy z liderami branży.

Teraz patrzyli na prezesa, który był już zmęczony – zdjął okulary i dwoma palcami pocierał oczy.

Retmianiak wykorzystał chwilę. Szybko wyjął z kieszeni marynarki telefon i pod stołem odczytał esemesa. Było tam tylko jedno słowo: „Obiecałeś!” No tak, prawie dziesięć po ósmej. Cholera!

Był już spóźniony. Ile mogła czekać? Pół godziny? Godzinę? Żeby być o dziewiątej, musiałby wyjść za chwilę, najpóźniej dwadzieścia pięć po.

– A co sądzą nasi specjaliści od relacji inwestorskich? – Retmianiak usłyszał skierowane do siebie pytanie prezesa. Schował telefon do kieszeni spodni.

– Inwestorzy są zainteresowani tym, żeby firma przedstawiła teraz spójną strategię na najbliższe dwa lata. A za dwa lata okaże się, czy została ona zrealizowana. Dziś nie wiemy, czy fuzja z numerem jeden lub numerem dwa w sektorze jest możliwa. Lepiej tego nie eksponować na osobnym slajdzie, bo zaczną się pytania o wynik dotychczasowych rozmów. Może lepiej wyrzucić to do następnego slajdu, gdzie jest mowa o wariancie drugim, czyli rozwoju

organicznym.

Oczywiście mógł wyjść na chwilę, zadzwonić, że nie przyjdzie, bo mu się przedłużyło, czy lepiej, wysłać esemesa, żeby uniknąć przykrew rozmowy. Ale się umówili. Wyobrażał sobie jej minę, kiedy się dowie. Nie, nie chciał tego. Musi zaraz wyjść.

Zaczęli kartować *handouty*, żeby zobaczyć, jak by to wyglądało, a asystent prezesa kliknął w komputer i pokazał slajd o rozwoju organicznym.

– Będzie strasznie przeładowane – powiedziała szefowa firmy PR.

– Możemy dalej pokazać osobno mapę z centrami logistycznymi – zaproponował Retmianiak. – Wtedy to się zmieści razem, a w efekcie pokażemy, że firma może realizować dwa warianty rozwoju równolegle. Tak zresztą było w jednej z pierwotnych wersji – odwrócił się do Wilczyńskiego, swojego accounta, który siedział po jego lewej stronie. – Andrzej, mamy ze sobą wydruk starej prezentacji?

Wilczyński sięgnął do teczki i wyciągnął z niej gruby skoroszyt.

– Tak było w wersji z wczorajszego przedpołudnia.

– A ja tu mam uwagę do prognozy przychodów za drugie półrocze – wtrącił się dyrektor finansowy. – Czy możemy ją podać w zaokrągleniu do pięciuset tysięcy? Bo podajemy w złotych, a teraz się zmienił dolar i nasze szacunki są już mniej dokładne.

Retmianiak spojrział na zegarek. Dwadzieścia po ósmej. Zanosilo się, że spotkanie zajmie jeszcze co najmniej godzinę, może dwie. A musieli wyjść stąd z gotową prezentacją, bo konferencja dla dziennikarzy zaczynała się o dziesiątej rano. Spotkanie z inwestorami było półtorej godziny później, ale obie prezentacje musiały być ze sobą spójne w najważniejszych sprawach. Teoretycznie wersja dla inwestorów, za którą był odpowiedzialny, była gotowa poprzedniego dnia wieczorem, ale firma od PR-u miała inne poglądy na parę spraw i teraz była

ostatnia chwila, żeby ujednoczyć stanowiska.

– To może podać dokładnie, ale w dolarach – powiedział gruby wąsacz obok prezesa, wynajęty specjalista od komunikacji z mediami. – Dziennikarze lubią konkret, wtedy to jest bardziej wiarygodne.

– O, dobry pomysł – przyklasnęła mu dziewczyna z firmy PR, która siedziała obok swojej szefowej.

– Tylko że mamy też prognozę stopy zysku, a to już musi być podawane w złotych – powiedział dyrektor finansowy.

Retmianiak spojrzął za siebie. Było tam niezastłonięte żaluzjami okno. Kiedy zaczęli parę minut po piętnastej, w dali, przez mgłę i spaliny, widać było Pałac Kultury, przypominający konturem Mont Saint-Michel. Teraz za oknem było już całkiem ciemno. W okolicy nie było prawie świateł. Mieściły się tu hurtownie, magazyny i biura firm farmaceutycznych, gdzie zwykle kończyło się pracę o siedemnastej. Dopiero kawałek dalej jaśniała żółtopomarańczowa krecha Grójeckiej i dalej za nią kopulasta luna centrum.

Tamci rozszczepiali włos na czworo, dyskutując o tym, czy podawać w tysiącach złotych czy w milionach, co pozwalałoby zaokrąglić do dwóch miejsc po przecinku. Retmianiak dopił resztkę dawno wystygłej kawy i poczuł, jak w pustym żołądku przewracają mu się słodkie ciasteczka, słone paluszki i kawałek zimnej pizzy, który zjadł zamiast obiadu.

Twarze ludzi przy stole były skupione. Pewnie każdy myślał naprawdę o czymś innym, ale na zewnątrz wyglądało to tak, jakby najważniejszą rzeczą na świecie była ta prezentacja, zmieniana już chyba ze sto razy. Nagle zapadła cisza, w której burczał tylko przenośny komputer i podłączony do niego projektor.

– Wobec tego mam inny pomysł: podajmy prognozowaną stopę zysku w procentach w porównaniu z zeszłym rokiem, a liczby bezwzględne w przeliczeniu na jedną akcję – powiedziała ta Musiał.

– Tylko że w liczbach bezwzględnych ten zysk robi lepsze wrażenie niż w przeliczeniu na akcję – wtrącił się facet od komunikacji.

Retmaniak nachylił się do ucha Wilczyńskiego.

– Poradzisz sobie?

Tamten spojrzał na niego, jakby nie rozumiał.

– Muszę zaraz wyjść. Najwyżej skonsultujemy się rano koło siódmej. Ostatnie poprawki w komputerze pięć minut i godzina na drukowanie materiałów. Przygotowanie techniki to sprawa tamtych. Jakby co, to przed giełdą zbrifujemy prezesa, co ma dodać przy którym slajdzie.

Wilczyński nadal był zdziwiony, ale pokiwał głową.

– A jakie są tu zwyczaje? – szefowa firmy PR zwróciła się teraz do Retmaniaka, który tym razem zupełnie nie wiedział, o czym mówią.

– Dla dziennikarzy chyba może być, ale inwestorzy chcieliby mieć prognozę zysku total, bo tak podają inne firmy z branży, jest to więc niezbędne do porównywania wyników – odpowiedział za niego przytomnie Wilczyński.

– Tak, całkowicie się zgadzam – potwierdził Retmaniak.

Ale to mu w niczym nie pomagało. Oczywiście, że Wilczyński sobie poradzi. Tylko jak to wyglądało: szef firmy od relacji inwestorskich wychodzi w trakcie spotkania w przeddzień konferencji, na której nowy klient, spółka, która przez ostami rok nic nie mówiła na swój temat, ma ogłosić strategię na najbliższe dwa lata. Jak zaczęli, wyglądało, że uwiną się w godzinę. A teraz było za trzy wpół do dziewiątej. Retmaniak czuł, jak w żołądku coś mu się skręca. Jeszcze mógł wszystko odwołać, po prostu siedzieć jak inni do końca, wysłać pod stołem esemesa albo w ostateczności po cichu wyjść na korytarz, zadzwonić i po paru minutach być z powrotem.

Zastanawiał się, co powiedzieć. Jak to powiedzieć. Wszystko, co przychodziło mu do głowy, brzmiało głupio. Nie na miejscu.

Zamknął teczkę. Zatrząsk wydał metaliczny dźwięk, który skojarzył mu się z zamykaniem kajdanek. Wstał i wszyscy natychmiast skierowali na niego wzrok.

– Bardzo państwa przepraszam – czuł na sobie oczy tamtych jak czerwone punkty z laserowych pointerów, jak celowniki. – Muszę niestety wyjść, bo jednym z rytuałów mojego życia jest codzienna kąpiel córki, która musi się zacząć najpóźniej o dziewiątej...

Próbował się uśmiechać, ale nie było to łatwe, bo czuł, jak ich twarze tężeją. Twarz prezesa wyrażała jakby ciekawość, ale mógł się mylić. Może było to coś zupełnie innego.

– Bo później ona zasypia – tłumaczył, jakby to miało coś zmienić. Czuł, że im dłużej mówi, tym bardziej pogarsza swoją sytuację. – Więc to jest ostatnia chwila, żebym zdążył. Mój współpracownik będzie reprezentował firmę do końca, jest wprowadzony we wszystkie szczegóły.

Przecisnął się do drzwi, niefortunnie zahaczając nogą o kabel, tak że o mało nie zrzucił ze stołu projektora.

– Życzę owocnej pracy i do zobaczenia jutro – powiedział jeszcze, zanim zamknął za sobą szklane drzwi. Kiedy to mówił, wydawało mu się, że już nikt nie zwraca na niego uwagi, ale potem, kiedy szedł korytarzem w stronę windy, czuł na plecach ich spojrzenia.

Winda była zimna, aluminiowa. Spojrzał w lustro i oparł dłonie na srebrnej poręczy. Chłód był przyjemny. Poczul ulgę i radość.

Kiedy przechodził obok portierni, przypomniał sobie, że na górze, w szatni obok sekretariatu prezesa, został jego płaszcz. Ale nie chciał już po niego wracać. Mógł go przecież odebrać jutro. Tyle co z auta i do auta – tłumaczył sobie. Nie byłoby nic gorszego niż powrót i pytanie o klucz do zamkniętego już pewnie sekretariatu.

Samochód zaszczekał przyjaźnie. Retmianiak wskoczył do środka i zaraz

włączył płytę: koncerty brandenburskie. Dojechał do bramy parkingu. Lampka przy szlabanie zapaliła się – zęby koleczki były schowane. Ruszył z piskiem opon i wyjechał na ciemną ulicę, wyłożoną betonowymi płytami, jak pas startowy lotniska. Było w niej pełno dziur, ale nie zwolnił. Ujechał paręset metrów, kiedy w kompakcie coś zapikało. Nie zdejmując nogi z gazu, wyłączył go i wyjął komórkę z kieszeni marynarki. Esemes od Wilczyńskiego. „Prezes się chyba wkurwił” – przeczytał Retmianiak. A niech się wkurwia, co mnie to obchodzi. Też mam prawo do swojego życia. Trzeba było skończyć wczoraj po południu, jak mu proponowałem – myślał szybko Retmianiak, wychodząc z folderu wiadomości i chowając telefon. Zdenerwował się nagle.

– A chuj Wilczyński po co mi tym teraz głowę zawraca – powiedział do siebie, szukając guzika, którym włącza się kompakt, i wtedy właśnie poczuł, jak samochód o coś uderza prawym przednim błotnikiem. Jechał jeszcze chwilę, zastanawiając się, czy stanąć, aż w końcu stanął. Popatrzył we wsteczne lusterko. Droga była prawie całkowicie ciemna. Co sto metrów stała wysoka latarnia, z której sączyło się słabe, blade światło. W tyle, obok drogi coś leżało. Jakiś ciemny podłużny kształt Włączył wsteczny bieg, ale nadal niewiele widział. Musiałby tam podjechać albo podejść.

Spojrzał na zegarek. Było dwie po wpół do dziewiątej.

Pies. Jakiś cholerny kundel. Bo kto by tu chodził o tej porze? – myślał.

Wrzucił pierwszy bieg i ruszył ostro do przodu.

Mam to w dupie, kto mnie sprawdzi? – myślał. Po jednej stronie był płot i magazyny o ścianach z falistej blachy, po drugiej pole, a dalej rudera z powybijanymi szybami, które szczyrzyły się jak paszcza jakiegoś szczerbatego demona. Pusto. Nikogo.

Wyjechał na Grójecką, zawrócił w pierwszym możliwym miejscu i jechał prawie setką w stronę centrum. Kiedy stanął na światłach koło Obi, zobaczył

w świetle latarni, jak drżą jego ręce, leżące na kierownicy.

Wszystko układało mu się jasno w głowie. Jeśli nie był to pies, tylko człowiek, to będą na pewno pytali portierów, kto jechał tam wieczorem. Podadzą przybliżoną godzinę. Tamci wyjdą znacznie później. Na jego samochodzie jest na pewno wgniecenie. Więc jakby już go mieli.

– Jest już za późno, nie jest za późno, jest już za późno, nie jest za późno – powtarzał pod nosem jak mantrę refren piosenki, która przyszła do niego nie wiadomo skąd. Jak to szło – myślał. Przypomniawszy sobie, że było tam też coś o dżungli, ale nie mógł sobie przypomnieć co.

Jechał szybko. Minął parę skrzyżowań na czerwonym świetle.

W pewnym momencie drżącą ręką znów wyjął telefon, żeby zadzwonić, że jedzie.

I kiedy wystukiwał numer, jego auto znów uderzyło w coś dużego. Wybuchła poduszka powietrzna, samochód zgasł. Komórka spadła na podłogę.

Retmianiak nie stracił przytomności. Może nawet w ostatniej chwili zobaczył żuka czy nyskę, która swoim anemicznym światłem dawała znak, że hamuje przed skrętem, może nawet on też mógł wyhamować, ale wykręcił tak, że uderzył w nią prawą stroną auta.

Wysiadł z samochodu.

Z szoferki wychyliła się ku niemu zła twarz jakiegoś starucha w futrzanej czapce z daszkiem. Kiedy tamten zobaczył, że uderzyło w niego duże zachodnie auto, świecące ostrym, białym neonowym światłem, schował się znów do środka, jakby się bał.

Retmianiak obejrzał swój samochód. Furgonetka miała cały tył zgruchotany, u niego był rozbity błotnik, kawałek maski i koło. Podszedł do drzwi furgonetki.

– Dobry wieczór. Przepraszam. To moja wina – powiedział prawie z radością. – Podpiszę panu OC, a mnie to zdejmą z autocasco.

Staruch patrzył na niego przez chwilę, jakby się zastanawiał, jaką wybrać minę. W końcu odkręcił korbką szybę, nie otwierając drzwi.

– Chyba całe auto mam skasowane, tak walnąłem o kierownicę.

Był jeszcze w szoku. Retmianiak popatrzył na jego twarz. Tamtemu chyba nic się nie stało. Z szoferki zaleciało zgniłymi warzywami.

– Koszty naprawy pewnie przekraczają wartość samochodu. Weźmie pan pieniądze i kupi nowy.

– Ale czym ja teraz przewiozę zaopatrzenie? Retmianiak sięgnął do portfela i dał tamtemu plik, w którym było kilka setek.

– Jeśli nie będziemy musieli wzywać policji, dołożę jeszcze. Zaraz przyniosę oświadczenie i formularz do OC.

Staruch nie zwracał na niego uwagi, bo liczył pieniądze. Futrzana czapa zsunęła mu się na tył głowy.

Retmianiak sprawdził, że auto nie zapala, i wykręcił numer do firmy. Odebrał Jasiński, jeden z przyjętych niedawno pracowników.

– Pracuje tam jeszcze ktoś? – zapytał Retmianiak.

– Jestem ostatni. Właśnie wychodzę. Myślałem, że to żona.

– Musimy się pilnie spotkać.

– Teraz!? – wyrwało się tamtemu. – A czy to może poczekać do jutra – poprawił się, zmieniając ton na łagodniejszy. – Syn ma dzisiaj czwarte urodziny, miałem wrócić o siódmej...

– Nieźle: czteroletnie dziecko w twoim wieku. Ale nie martw się. To będzie chwila. Weź taksówkę i podjedź na Grójecką. Za ostatnim skrzyżowaniem przed Halą Banacha, jadąc w stronę centrum. Będę tu czekał, zobaczysz mnie.

– Ale o co chodzi?

– Dowiesz się na miejscu. W każdym razie sprawa jest pilna.

– To może od razu podjadę swoim autem – próbował negocjować Jasiński.



– Weź taksówkę z postoju. Masz tu być za dziesięć minut. Po następnych dziesięciu będziesz wolny i jeszcze się załapiesz na tort.

– No nie bardzo, bo po dziewiątej to on zasypia – mówił tamten, ale już bardziej do siebie niż do słuchawki, bo zaraz potem dodał głośniejszym głosem: – No dobrze, to jadę, zaraz tam będę.

Retmianiak uwijał się jak w ukropie. Pod nosem nucił cały czas refren, który przybłąkał mu się wcześniej. „Jest już za późno, nie jest za późno”. Wypełnił oświadczenie i opis zderzenia, spisał dane furgonetki, potem razem ze staruchem zepchnęli ją na trawnik, a jeszcze wcześniej zadzwonił po pomoc drogową i taksówkę, tak że kiedy po kilkunastu minutach przyjechał Jasiński, wszystko było gotowe. Taksówka czekała z zapalonym silnikiem, a ci od pomocy drogowej wkładali jeepa na podnośnik.

– Jadę jeszcze do klienta w związku z jutrzejszą prezentacją. Nie zdążyłbym się z tym uporać – pokazał na lawetę. – A jakbym go tu zostawił, to rano nie byłoby po co wracać. Zawieziesz to na parking pod firmę i jesteś wolny, a ja jutro spokojnie go sobie oddam do warsztatu. Masz pieniądze, żeby im zapłacić?

– Zapłacę kartą – powiedział Jasiński z kwaśną miną.

– Koniecznie weź fakturę, auto jest zarejestrowane na firmę, naprawa pójdzie w koszty – powiedział na odchodnym Retmianiak, dając tamtemu dowód rejestracyjny i kluczyki.

Już ruszali, ale jeszcze kazał taksówkarzowi zatrzymać samochód. Wychylił się przez drzwi.

– Słuchaj, czy ty znasz taki kawałek: „Jest już za późno, nie jest za późno” – zanucił niezbyt wiernie. – To chyba Stachura. Ale nie mogę sobie przypomnieć, jak to szło dalej.

– Nie. Nie znam. Nie wiem – powiedział zdziwiony Jasiński.

– No trudno, nieważne. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. W imieniu firmy.

Retmianiak zatrzasnął drzwi i kazał taksówkarzowi ruszać.

– Marysin Wawerski. Wylotówka na Lublin, a potem pokażę. Jedź pan tak szybko jak możesz, jeśli dojedziemy na dziewiątą, płacę podwójnie.

– No, na dziewiątą to się już nie uda. To nie rakietą – powiedział taksówkarz, pokazując na zegar. Było za cztery.

– Dobra, rób pan, co się da. Za piętnaście po też będzie premia.

Miasto było prawie puste. Jechali w milczeniu. Taksówkarz dociskał gaz do deski, aż ich wgniatało w siedzenia.

Potem jeszcze zmarnował trzy minuty na płacenie kartą, bo wszystkie pieniądze dał staruchowi od furgonetki.

Dwadzieścia po biegł już po zwirowej alejce prowadzącej do domu. W głowie wyświetlała mu się nieprzenikniona mina prezesa giełdowej firmy, zarys człowieka czy psa obok drogi, staruch w futrzanej czapie, a wreszcie twarz Jasińskiego, kiedy mówił, że zapłaci kartą. Ale chyba było warto – myślał, otwierając drzwi.

– Już jestem! – krzyknął od progu.

Szedł szybko korytarzem, rozbierając się po drodze. Rzucił płaszcz, marynarkę, krawat, koszulę, podkoszulek, potem zatrzymał się na chwilę, żeby zsunąć spodnie. Udało mu się je zdjąć bez ściągania butów i kiedy stanął przed szklanymi drzwiami krytego basenu, miał na sobie tylko bokserki, buty i skarpetki.

Otworzył drzwi. Basen był podświetlony. Przy krótszym boku, obok schodków, stał stół i dwa fotele. Na jednym z nich siedziała młoda, dwudziestoparoletnia kobieta w białym szlafroku. Trzymała w jednej dłoni kieliszek szampana, a w drugiej butelkę. Jeszcze jeden kieliszek z resztką alkoholu na dnie stał na stole obok kosza z owocami.

– Olga, przepraszam cię.

Dopiero teraz spojrzała na niego.

– Więc z bliska to tak wygląda? – powiedziała.

– A przecież dziś mija dopiero miesiąc, jak się poznaliśmy.

Była już trochę pijana.

– Naprawdę nie mogłem wcześniej.

– Wiem, twoja żona mi mówiła.

– Chyba moja była żona – powiedział z naciskiem na „była”, ale jakby nie rozumiejąc całego zdania.

– A co ona tu robiła? – zreflektował się nagle.

– Przyszła wtedy, kiedy ty miałeś przyjść. Zabrała jakieś książki. Rozmawialiśmy. Zresztą dopiero co wyszła. Szkoda. Moglibyśmy zabawić się we trójkę. Powiedziała mi, że z nią też odbywałeś romantyczne wieczorne kąpiele. Ale tylko na początku.

– Jeszcze raz cię przepraszam. To się nie powtórzy. Naprawdę się starałem. Umówiliśmy się na kąpiel i jestem – mówił, rozsznurowując buty.

– Ja się już nie kąpię. Jestem pijana. Mogłabym utonąć – powiedziała Olga.

– Jak chcesz – powiedział Retmianiak. Odwrócił się do niej plecami i stanął na brzegu basenu. Popatrzył na gładką taflę wody, poprzecinaną smugami światła. Odbił się mocno i skoczył. Wbił się w wodę, zanurzył głęboko i popłynął nad samym dnem, rozgarniając szeroko rękami wodę, która była tam jakaś gęsta, oporna. Jak zastygająca galaretka, w której miał za chwilę zostać unieruchomiony, żeby potem wystawili go w lodówce z witryną, za szkłem, czekającego, aż ktoś go zje.

Wypłynął prawie na końcu basenu, przy drugich schodkach. Chwilę wyrównywał oddech.

– Jest już za późno! – krzyknął, ni to pytając, ni to stwierdzając fakt – Nie jest za późno! – krzyknął jeszcze głośniejszym głosem.

Olga wylała resztkę szampana do swojego kieliszka i odstawiła butelkę na stolik.

– Twoje zdrowie – powiedziała. Wypiła.

– Nawet nie wiesz, gnoju, jak tu jest pusto, kiedy się siedzi samej nad tym durnym basenem pełnym wody.

Mówiła na tyle cicho, że nie mógł rozróżnić słów.

– Co? – zapytał.

– Ha-dwa-o! – odchrzyknęła Olga i zaczęła się histerycznie śmiać. Potem zrzuciła szlafrok, pod którym miała tylko kostium, zatkała palcami nos i skoczyła do wody, która zaraz zamknęła się nad nią jak sakiewka.

## Nieźle

### 1

Zszedł z ostatniego stopnia schodów, dotknął stopami piasku i wmieszał się w tłum, w kolorowe targowisko ludzi spacerujących, wylegujących się, grających w piłkę, opalających blade po zimie ciała w majowym słońcu, które grzało już tak silnie jak latem.

Nie było tu nikogo takiego jak on, w szarych spodniach z podwiniętymi nogawkami, z marynarką przewieszoną przez ramię, z czarnymi pantoflami w ręku, w krawacie, wyglądał na plaży jak kosmita.

Była sobota, wczesne popołudnie i nikt nie przychodził nad zatokę w takim stroju i pewnie, pomyślał, było to tak naprawdę głupie, spędzać ostatnią godzinę w tym hałaśliwym tłumie, zamiast w hotelowym barze poczytać gazety albo posłuchać jednej z kilkudziesięciu płyt, które woził zawsze ze sobą w pamięci komputera.

Hotel stał tuż nad morzem, w połowie drogi z Jelitkowa do Sopotu. Spał przy odsłoniętych firankach i codziennie rano, budząc się z widokiem zatoki, obiecywał sobie, że znajdzie choć chwilę na spacer. Ale wszystkie dni, łącznie z poprzednią sobotą i niedzielą, wyglądały tak samo. Budził się, jadł śniadanie, wsiadał w podstawianą zawsze o wpół do ósmej taksówkę i jechał do biura, gdzie na czas jego pobytu wygospodarowano osobny pokój, w którym mógł przez kilkanaście godzin dziennie studiować papiery. Audyt musiał zakończyć się przed poniedziałkiem i dwa tygodnie to było akurat tyle, żeby wykonać to zadanie. W sąsiednich pokoikach pracowały jeszcze dwie osoby z jego firmy, odpowiedzialne za inne rzeczy, i na wszystko wystarczył im jeden tydzień. Jego

działka wymagała najwięcej pracy i bał się, że nie zdąży. Siedział więc do oporu, z krótką przerwą na lunch. Kiedy o ósmej lub dziewiątej wieczorem czuł, że przestaje kontaktować, wzywał taksówkę, wracał do hotelu, wypijał w barze drinka i kładł się spać.

W piątek wieczorem wiedział już, że zdąży i poprosił w recepcji, żeby kupili mu bilet na piętnastą w sobotę. Tak jak myślał, wszystko było gotowe i sprawdzone kilka minut po dwunastej. Zrobił zapasowe kopie na płytkach, zamknął pokój na klucz, wrócił do hotelu, spakował się, wykąpał, zjadł lunch i właśnie wtedy okazało się, że ma jeszcze prawie trzy kwadransy do momentu, kiedy trzeba było jechać na dworzec.

Piasek był z wierzchu ciepły, ale pod spodem chłodny. Szedł blisko granicy, do której docierały fale, i gdy woda zamoczyła mu stopy, poczuł, że jest jeszcze bardzo zimna.

Ale powietrze było nagrzane. Niektórzy nawet kąpali się, choć większość poprzestawała na opalaniu. Wzdłuż morza ludzie, niby mrówki, ciągnęli dwoma równoległymi szeregami: jedni od Jelitkowa do Sopotu, drudzy z powrotem, w stronę dźwigów stoczni, podobnych z tej odległości do dużych owadów.

Do Sopotu szło się przyjemniej. Wydawało się, że widoczna z daleka kreska mola jest na wyciągnięcie ręki. Myślał, że idąc dość szybko, zdąży dojść tam i wrócić na czas. Szedł więc trochę szybciej niż inni. Wymijał ludzi, nie przyglądając im się, chętniej patrząc na morze, leniwie zmarszczone pod słabymi podmuchami wiatru. Było ciemnoniebieskie, trochę bure, pozbawione tej domieszki turkusów i malachitu, które znał z południowej Francji, północnej Afryki albo z Karaibów.

Nigdy nie jeździł nad Bałtyk. Jego urlopy były krótkie i intensywne. Najczęściej korzystał z oferty Club Med, sporadycznie, dla urozmaicenia wypuszczając się dalej, do Meksyku, na Dominikanę czy na wyspy Bahama.

Kiedy więc przypadkowo natrafił wzrokiem na trójkątną plamę w soczystym, trochę błękitnym i trochę zielonym kolorze, a właściwie takim i takim jednocześnie, poczuł, że jest to coś bardzo bliskiego, znajomego, tak jak on obcego w tym miejscu. Taki kolor miała woda w ciepłych morzach, tuż przy brzegu, albo nawet i dalej, na płyciznach.

Dziewczyna szła boso, w samym kostiumie, w jednej dłoni trzymając fikuśne buciki w tygrysi wzorek, a w drugiej, od strony wody, lazurowy ręcznik o ton ciemniejszy od kostiumu.

Nie była, jak inni, blada. Jej skóra miała delikatny, złocisty odcień, jakby spędziła zimę zupełnie gdzie indziej albo przynajmniej chodziła regularnie do solarium.

Momentalnie zwolnił, nie chcąc utracić tego ulotnego zjawiska, które rozpostarło się przed jego oczami. Jego wzrok przylgnął do tego jednego miejsca i nagle jakby zatarło się wszystko, co było dookoła.

Dziewczyna była zgrabna, z pupą w sam raz, ani za dużą, ani za małą; skóra, opalona na lekki brąz, pięknie kontrastowała z wąskim trójkątem kostiumu; jej ruchy były lekkie, trochę rozkołysane, jakby prowadziła ją muzyka, ale chodziło też o coś więcej, o majowo-letnie słońce i zimny piasek, o dystans między Bałtykiem i Karaibami, o dwa tygodnie pracy non stop, o szary garnitur na tle hałaśliwej plaży, o trzydzieści dziewięć lat samotności, wypełnionej głównie pracą, karierą, rzadko przetykanej przypadkowymi związkami, które miały w sobie zawsze jakiś element przymusu, wyrachowania i kończyły się przed upływem trzech miesięcy, kiedy okazywało się, że tak naprawdę nie starcza mu na to czasu.

Patrzył na pośladki, poruszające się pod turkusowo-zielonym kostiumem miarowo, rytmicznie, harmonijnie, jakby w komputerowej symulacji, oddającej ideał kształtu, pracy mięśni, koloru, a także coś więcej, czego nie potrafiłby zaprojektować najlepszy program ani pokazać najlepszy monitor. To coś, to

zjawisko wyglądało jak kawałek wirtualnej rzeczywistości, przeniesionej jednak w realny kontekst plażę, Bałtyk, sobotę, maj.

Tylko że dla niego ten kontekst nagle przestał istnieć. Szedł, patrząc na jej tyłek wyobcowany z otoczenia. Zapomniał o audycie, marynarce przewieszanej przez ramię, zimnym piasku. Było ciepło, przyjemnie i jakoś niezmiernie. Cały świat skurczył się do wymiaru sprężystej pupy ruszającej się pod kostiumem, oświetlonej słońcem, które podsycalo kolory i grzało, a zarazem nadawało wszystkiemu wymiar nierzeczywisty.

Zapomniał o czasie, o hotelu, taksówce i pociągu, chciał tylko, żeby to, co jest, trwało. Szedł jak zahipnotyzowany, cudem chyba nie potrącając wymijanych ludzi, nie przewracając się, zachowując stale odpowiednią odległość, nie wyprzedzając ani nie tracąc jej z oczu.

Ale kiedyś doszli wreszcie do Sopotu.

Dziewczyna skręciła z plaży w stronę wykładanej kostką alejki i poszła nią dalej, gdzie było wejście na molo.

Podążył za nią, ale w miarę jak zbliżali się do mola, było coraz więcej i więcej ludzi, aż w końcu stracił ją z oczu.

## 2

Nie, nie było tak źle.

Po chwili znowu ją zauważył. Siedziała na ławce i otrzepywała stopy z piasku, żeby włożyć buty. Spod ręcznika wyjęła płócienną torbę, w której miała sukienkę. Włożyła ją, schowała ręcznik i wstała, kierując się w stronę miasta i omijając molo.

Oczywiście zauważyła go. I to, że był zapałtrony w jej ciało, i to, jak wyglądał – wysoki, smukły, dobrze ubrany, z absurdalnymi pantoflami w ręku, w krawacie, w niczym niepasujący do majowej soboty nad Bałtykiem.



Udawiała jednak, że nie zwraca na niego uwagi, co jakiś czas tylko zatrzymując się i sprawdzając dyskretnie, czy za nią idzie.

Doszła do Monciaka i skierowała się w górę, a potem skręciła w prawo, w jedną z małych, cichych uliczek zabudowanych przedwojennymi willami, pełną drewnianych ornamentów, wieżyczek, napisów sprayem i odłóżanej białej farby.

Im dalej szła, tym mniej było ludzi. Wystarczyło oddalić się dwieście, trzysta metrów od Monciaka, żeby znaleźć się w innym świecie. Koty wygrzewały się na słońcu, staruszki siedziały w altankach, czuć było lekki zapach spalenizny, jakby ktoś robił grilla albo gotował obiad w piecu na drewno.

Szedł za nią jak wierny pies, trzymając się jednak coraz bardziej z tyłu, bo w takiej małej, cichej uliczce, gdzie było tylko ich dwoje, sytuacja stawała się dziwna, dwuznaczna.

Wróciła mu świadomość. Przypomnił sobie o wszystkim, o hotelu, taksówce, pociągu, ale mimo to szedł nadal, tłumacząc się w myślach, że przecież może pojechać następnym pociągiem, a nawet jutro, albo raczej nie mogąc wyzwolić się, tak po prostu stanąć, zawrócić, wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy.

Dziewczyna trochę przyspieszyła, jakby i ona biła się z myślami i próbowała się teraz wyswobodzić z jego obecności za plecami. A potem nagle skręciła w jedną z uliczek, przy której stał większy, trzypiętrowy dom, i weszła do środka.

Skręcił za nią, ale zobaczywszy, że dziewczyna zniknęła, zatrzymał się w pewnej odległości od skrzyżowania, kilkanaście metrów od domu, do którego, jak sądził, musiała wejść.

Zastanawiał się, co zrobić, kiedy usłyszał za sobą hałas. Drogą, którą oboje przyszli, maszerowała grupka dresiarzy. Wyglądało tak, jakby szli za nim od jakiegoś czasu, tylko ich nie zauważył, bo wcześniej trzymali się w pewnej odległości, a teraz uznali, że jest dobry moment, by zaatakować. Słysząc już było ich rozmowę i z jej urywków domyślił się, że przymierzają się, żeby go teraz

zaczepić.

Wiedział już, jak to miało się skończyć.

Mógł oczywiście bronić się, wzywać pomocy, ale nie miało to większego sensu. Ludzie byli daleko. Staruszki, zobaczywszy, na co się zanosi, poznikały ze swoich altanek, zaciągając za sobą firanki.

Telefon, karty kredytowe, myślał, trochę pieniędzy. Zabieranie mu wszystkiego i zostawianie go ot tak, nie miało z ich punktu widzenia sensu. Wyglądał na kogoś, kto pójdzie na policję, złoży zeznania, a potem będzie do skutku jeździł w nieoznakowanym polonezie, żeby ich znaleźć. Trzeba było go unieszkodliwić, może nie całkiem, ale tak na pewien czas, żeby stracił przytomność, żeby musiał leżeć w szpitalu i żeby zdążył zapomnieć ich twarze.

Był ciekaw, gdzie jest teraz ta dziewczyna i zastanawiał się, czy może stoi w oknie i patrzy na niego i czy będzie patrzeć, kiedy dresiarze dadzą mu w zęby, przewrócą go, skopią, kiedy straci przytomność i znieruchomieje, czy będzie pierwszą osobą, która zbliży się do niego po ich odejściu i zawoła o pomoc.

### 3

Nie, nie było tak źle.

Dresiarze przeszli obok, bo może, patrząc na jego nonszalancję, na jego pozę z marynarką zarzuconą na ramię, stwierdzili, że nie jest łatwym łupem i będzie się bronił, może nie chciało im się boksować w takim upale, a może tylko zlekli się ciężarówki z robotnikami wracającymi widać z jakiejś budowy niedaleko, ciężarówka wyłoniła się nagle z drugiego końca ulicy i jechała prosto na nich.

Dość, że przeszli obok, nie zaczepiając go.

Nie wiedział, co zrobić, więc czekał, spacerując powoli, krążąc blisko miejsca, gdzie widział ją ostatni raz.

Minęło pół godziny i dziewczyna wyszła z trzypiętrowego budynku.

Była ubrana inaczej niż poprzednio. Teraz wyglądało to tak, że idzie na elegancki obiad, a potem może do kina czy do teatru. Miała białe spodnie, białą bluzkę i białe buty na obcasie.

Wiedział, że to głupie zagranie, ale tłumaczył sobie, że to jedyne wyjście, jedyna szansa i nie ma nic do stracenia, i kiedy przechodziła obok niego, przedstawił się, powiedział, że jest sam w tym mieście i szedł za nią od plaży, i tak dalej.

Dziewczyna nie była wcale zdziwiona. Powiedziała, że idzie na obiad, też jest sama i zgodziła się, by dotrzymał jej towarzystwa.

Zjedli obiad, a potem spacerowali aż do kolacji.

Później proponował, że ją odwiezie, ale to ona chciała, żeby pojechali do hotelu, więc pojechali i spędzili noc w jego pokoju z widokiem za zatokę.

Potem zabrał ją do Warszawy, po kilku miesiącach pobrali się, mieli trójkę dzieci i żyli długo i szczęśliwie, zupełnie jak w bajce.

## Stara Józwiak

Wesele w klubie osiedlowym Harfa. Pierwsza albo druga w nocy. Trochę napitych gości w ciemnych marynarkach, kobiety uodświęnione, w białych bluzkach z żabotami, na stołach zestawionych w podkowę półmiski pełne sałatek albo pieczonych nóg kurczaczych, obok piętrowe tace z owocami, na dole banany, wyżej mandarynki, na samej górze ananas, którego nikt nie rusza, bo nie wie, jak zjeść, białe porcelitowe talerze z kwiecistym nadrukiem, na nich resztki tortu z petardą i racami, co eksplodował pół godziny temu. Didżej chrypi. Zjechał już do lat siedemdziesiątych. Jakiś znany przebój Abby. Na parkiecie dwie kobiety wyginają się obok siebie i oplatają dłońmi. Przyjezdni, rodzina panny młodej, po przeciwległej stronie podkowy: patrzą na nie jak na człowieka-słonia. Dali młodym w prezencie ślubnym święty obrazek z bazyliką w Licheniu. Teraz są zdziwieni albo może i oburzeni. O co tu chodzi, myślą pewnie, co to za porządki w tym mieście.

Chyba Olek, a może Oldek siedzi obok mnie. Ma czerwoną twarz. Pot spływa mu po skroni, choć nie tańczył. To wódka Eristoff. Jego kobieta jest jedną z tych na parkiecie. Ale nie wzrusza go to, choć tańczą już trzeci kawałek.

Zaraz po ślubie, kiedy schodziliśmy do małej salki w podziemiach, gdzie odbywają się tak zwane toasty, Tomek, pan młody, wziął mnie za łokieć i mówi:

– Słuchaj, stary, nie gniewaj się, na weselu będziesz siedział kawałek ode mnie. Posadzę cię obok Psity.

– Kogo?

– To ten gruby tam – pokazał masywną postać w dole schodów.

– Jak on się nazywa?

– Psita. To jego dawna ksywka. Tylko nie mów tak do niego.

W tym momencie ktoś zaczepił młodego w związku z toastami: czy podać też soczek dla kierowców, czy nie. Musiał szybko odejść.

No i jak przyjechaliśmy do klubu Harfa, usiadłem obok Psity, który przedstawił się niewyraźnie i nie wiedziałem: Olek czy Oldek. Rozmowny nie był. Trzymał się tylko za rękę ze swoją dziewczyną, taką rudą. Czasem coś do siebie szeptali czule, jakieś monosylaby.

Jak się wesele na dobre rozkręciło, wziąłem Tomka na stronę i pytam:

– Ty, czemu właściwie mnie posadziłeś obok tego Psity?

– Żebyś się nim zajął trochę. Nikogo tu nie zna. Kolega z podstawówki. Nie jakiś najlepszy, ale obiecał mnie zawieźć do ślubu swoim autem. Człowieku, jakie z nim były przejścia. Kiedyś wołamy na wuefie: „Psita, podaj piłkę”. A wtedy facet od wuefu złapał jednego za ucho i mówi: „Psita? Psita? Ty do swojej matki tak powiedz”. A w ogóle to on na wuefie nie ćwiczył, bo mu babcia załatwiła zwolnienie. W ogóle babcia się nim zajmowała. Potem, a zwłaszcza ostatnio, miał różne odpały. Rok temu...

Młody lubi opowiadać. Jeśli mu nie przerwę, to będziemy tu stali do rana.

– Poczekaj, tylko się pójdę odlać – mówię.

Wracam po chwili i na szczęście jest tam już kierowniczką kuchni w sprawie kolejności podawania dań ciepłych.

– A o której paszteciki? – pyta.

– Sekundkę – mówi Tomek i odchyła się do mnie. – No w każdym razie, jak siedzisz obok, to na niego uważaj. Najlepiej, jakby się spał. Uwala się na melancholijnie, zresztą teraz jest z tą rudą, to mu się trochę poprawiło.

Więc siedzę którąś godzinę obok Olka-Oldka vel Psity i patrzę co jakiś czas, czy nie ma odpałów. Nic z tych rzeczy. Wygląda spokojnie.

Co jakiś czas musimy jednak rozmawiać, bo jak nie rozmawiamy, to pijemy więcej. Mnie pan młody poprosił, żebym robił zdjęcia pożyczonym aparatem.

Aparat leży obok na stole. Cyfrak z długim obiektywem. Żadna tam małpka. Chciałoby się mieć taki. Więc powinienem ustać na własnych nogach do końca imprezy. Ile to jeszcze: dwie godziny, może trzy. O trzeciej nad ranem mają podać barszcz i paszteciki.

Na kurczących nogach zastyga tłuszcz. Po parkiecie i po stołach jeździ dookoła czerwona plama światła z kuli, jak zaraza.

– Lubisz wesela? – pytam, zasłaniając kieliszek ręką, kiedy Olek znowu chce mi nalać wódki.

Nic nie mówi, tylko pokazuje wierzch dłoni. Na palcu lśni na czerwono wypucowane złoto obrączki, bo akurat najechała ta plama światła z kuli pod sufitem.

– Trzy miesiące – mówi wolno.

Pokazuje głowę. Jego żona, ruda w krótkiej sukience, na parkiecie rusza się jak brazylijska kurwa. Podobno zdała w tym roku na aplikację prokuratorską.

– I co, jak było? Podobnie?

Olek czy Oldek podnosi na mnie wzrok ciężki jak pylon na moście Siekierkowskim.

– Po miesiącu. Znaliśmy się tylko miesiąc przed tym.

– Dziecko – mówię ze zrozumieniem. Patrzę na nią. Akurat tańczy bokiem, ale nic nie widać. W czwartym czy piątym miesiącu może nie być widać.

– E-e – kręci głowę. – Chociaż w przyszłości... Czemu nie. Jak skończy aplikację.

Widzę, że chce mówić, więc nalewam mu wódki, a sobie soku. Tak może doczekam barszczu i pasztecików. A potem już będzie z górki.

– To czemu tak szybko? – mówię, żeby go zachęcić.

– To przez jedną starą. Przez starą Józwiak.

Wypija cały kieliszek i bierze z półmiska nogę, tę z zastygłym tłuszczem.

Odgryza duży kęs.

– W ogóle to z kobietami mi nie szło. Nie miałem czasu albo może za nieśmiały byłem.

Pamiętam, mówił: zootechnika na SGGW, a potem profile okienne, sprzedaż i instalacja. Ma srebrnego merca, którym wiozł młodych spod Pałacu Ślubów.

– Raz czy drugi, może trzeci, jakieś koleżanki ze studiów, jedna taka, co miała pracować w dziale obsługi klienta, ale potem nic nie wyszło. Zresztą, mieszkalem z matką, bo mi się nie opłacało wynajmować, wychodziłem rano, wracałem wieczorem. Ja sprzedaję, ale zwykle też montuję, nikomu nie możesz zaufać, każdego trzeba doglądać, bo zaraz leci jakość.

– I co ta Józwiak?

Nalewam mu, a on znów wypija i zagryza nogą, z której zwisają skóry i farfocle. Tłuszcz spływa mu po brodzie. Połyskuje.

– Umarła. Babcia mi umarła. Na początku roku. Chyba już nie całkiem kontaktuje. Ale na szczęście widzę, jak pan młody podnosi się spod czerwonych serc i błyszczącego napisu „Moc życzeń” i idzie w naszą stronę, mało co się nie wywalając na paczce z prezentem ode mnie. Panna, a w zasadzie już pani młoda, próbuje go zatrzymać, jak ją znam, pewnie nie chce, żeby z nami pił. W końcu go puszcza, bo nie wypada się tak przy wszystkich mocować. Ona go już wyprostuje.

Pan młody zbliża się. Widać, że wypił sporo, ale trzyma fason. Tylko złoty krawat nad złotą kamizelką ma trochę poluzowany.

– Ale jaja – mówi, pokazując głową parkiet. – Zrób im, jak tańczą, a potem tamtym, jak się jopią.

Zagryzał chyba kiszonym ogórkiem, bo jak się nachyla, czuję nad uchem jakiś kwaśny zapach.

– Robiłem już.

– Tamtym też?

– Też.

– To dobrze.

– Za zdrowie państwa młodych – włącza się Psita-Olek i nalewa wódkę do mojego kieliszka.

– Ty mi, Olek, świadka całkiem nie spij, bo on ma do końca robić zdjęcia. Nikt inny nie umie obsługiwać tego dziadostwa – pokazuje na cyfraka.

– Za młodych trzeba wypić – upiera się Olek. Na parkiet wychodzi panna młoda i też zaczyna podrygiwać, ale nie z tamtymi, raczej obok nich. Jej te klimaty są obce. Przytupuje nieśmiało, jak na wieczorku zapoznawczym na wczasach FWP.

– Lepiej patrz, czy ci inna babka dziewczyny nie odbija. Ja tam na swoją uważam – mówi pan młody, pokazując na parkiet dla odwrócenia uwagi Olka, i daje mi znak, żebym odstawił kieliszek albo wylał wódkę do stojącej obok szklanki z herbatą.

– Niech tańczą. O dziewczyny nie jestem zazdrosny. Jej tobym może i faceta nawet wybaczył. Wyciągnęła mnie, jak byłem na dnie.

– Opowiedz mu, ja już znam tę historię – mówi pan młody, poklepuje Olka po ramieniu i odpływa w stronę naszego końca podkowy, gdzie siedzą jakieś starsze kobiety, chyba jego ciotki.

– No to jak to było z tą Józwiak. Umarła?

– Czekaj. Najpierw to skończyłem, że umarła babcia. Zaraz po Nowym Roku. Piątego stycznia. Zapisła mi swoje mieszkanie.

– Super – mówię. Ale zaraz gryzę się w język. Widzę, że mu się usta wywinęły w podkówkę. Nalał sobie i wypił. Pomyślałem, że nie doczeka końca historii i padnie, zanim zdąży mi ją opowiedzieć. – To znaczy, współczuję – powiedziałem.

– Ale jak się ma to mieszkanie do tej Józwiak?

– Józwiak mieszkała pod babcią. Babcia na pierwszym, ona na parterze – mówi, i dalej opowieść płynie już gładko. Że znał starą Józwiak, bo w dzieciństwie był



często u babci. Właściwie babcia go wychowała, bo matka z ojcem byli na placówce, a potem w przedstawicielstwie handlowym, a potem się rozeszli z ojcem. I matka była z innym facetem, też za granicą. Jak wróciła, Olek był już w podstawówce. I też mieszkał u babci, bo nie chcieli zmieniać szkoły, a od matki z Ursynowa toby jechał ponad godzinę. Przeniósł się do matki dopiero w liceum.

– Stara Józwiak to była wariatka – mówi, dziewczyny na parkiecie się gną, panna młoda też się trochę rozkręciła, tańczą trzy w kółeczku, didżej dojechał już do Beatlesów, muzyka coraz słabiej pasuje, choć do tego to nie wiem, co by pasowało, ale one nie zwracają uwagi na muzykę, obściskują się i okręcają po parkiecie w swoim własnym rytmie. Czerwona plama z kuli pod sufitem, błyszczący pryszcz, jeździ po sali. Za oknem jarzeniówka i pada deszcz.

– Stara Józwiak to była normalnie pierdolnięta starucha. Pamiętam, jak kiedyś jadłem u babci obiad w niedzielę, gdzieś na początku podstawówki, była z nią cała afera. Mało starej nie zlinczowali. Ona zrobiła sobie pod swoim oknem na parterze taki ogródek. Dzieciaki jej w ten ogródek wchodziły. To było normalne, kopali na podwórku piłkę i czasem piłka wpadała między jej grządki. I wtedy właśnie stara Józwiak zrobiła sobie z listewek ogrodzenie. Dzieciaki jej w to przykopały piłką i ogrodzenie padło. Stara Józwiak wpadła w szał. Nie dość, że jak zwykle nawyzywała z okna, to jeszcze zesłała na dół i zaczęła rzucać w dzieci jakimiś kawałami błota, żwirem czy nawet kamieniami. Oko miała niezbyt celne, ale w końcu trafiła któregoś gówniarza w głowę. Polała się krew, gówniarz się rozbeczał, a że to była niedziela, przylecieli rodzice i reszta kamienicy. Przyjechała milicja. Parę osób w spółdzielni chciało starą wyeksmitować, ale skończyło się na niczym. No i ona nic się nie zmieniła do tej pory.

Patrzę na zegarek. Jeszcze z pół godziny do barszczu z pasztecikami. Jacyś goście się żegnają, ale ich nie znam, więc nie wstaję, tylko im z daleka pstrykam fotkę dla dokumentacji. Zjadam trochę sałatki. Olek obgryza swoją nogę do gołej

kości.

– I co z tym mieszkaniem? – pytam, żeby mu trochę ułatwić.

– No właśnie. Babcia zapisała mi to swoje mieszkanie. Jak umarła, ja tam zacząłem bywać. Kwiatki podlewałem, siedziałem godzinami, słuchając Jedyнки na jej starym radiu. Tam były te wszystkie rzeczy. Kwiatki, koronki. Tykał zegar, bo go bez sensu nakręcałem. Nic niezmienione. Na ścianie stary święty obrazek, który wisiał tam zawsze. Dwa grube aniołki w złotej ramie. Się patrzą. Wszystko to samo, tylko babci nie ma.

– Nie chciałeś sprzedać mieszkania?

– Nie miałem po co. Pieniądzy mi nie brakowało. Zresztą, nawet jakbym potrzebował, nie dałbym rady sprzedać. Przesiadywałem tam godzinami, zacząłem zawałać interes. Przyszły reklamacje, bo jak przestałem ludzi pilnować, to mi od razu poleciała jakość montażu.

– I wtedy ją spotkałeś – pokazałem rudą na parkiecie.

– Nie, nie wtedy. Wtedy mi matka poradziła, żebym tam zrobił remont. Żebym się czymś zajął. Bo szewc bez butów i tak dalej. Ona zawsze była taka konkretna. I dobrze. Zostawiłem jeden pokój bez zmian, tam poupychałem większość starych gratów, a w drugim, w łazience i w kuchni zrobiłem remont, oczywiście zmieniłem okna, ale nie na moje plastikowe, bo to w gruncie rzeczy tandeta, tylko na takie nowoczesne drewniane. Wziąłem architekta wewnątrz. Zażyczył sobie trzy tysiące za wszystko. Ale było warto. Tylko że jak zrobiłem remont i wyprowadziłem się od matki, to znów, jak w podstawówce, mieszkałem u babci. Sam.

Olek był na twarzy czerwony jak Indianin. Okulary mu się przekrzywiły. A mnie trochę już brała senność. Głowa ciążyła jak skarpeta wypchana piaskiem. Czekałem, że może dziewczyny zejść z parkietu i coś się wydarzy, ale nie. Zapomniały o bożym świecie. Wezwałem kelnerkę, żeby mi zrobiła kawę. Trudno. Inaczej nie doczekam końca i młody nie będzie miał zdjęć. Obiecałem mu.

– A Józwiak? – czepiam się jak pijany płotu. Niech coś mówi, zanim przyniosą kawę.

– Były problemy. W czasie remontu. Jak skuwali starą glazurę w łazience, przyszła z taką awanturą, że się robotnicy przestraszyli i czekali z robotą, aż przyjdę. Józwiak postraszyła ich, że budynek jest zabytkowy i jak coś u niej pęknie, to wezwie do mojego remontu nadzór budowlany albo i pójdzie do sądu. To samo, kiedy wyjmowali stare okna. Potem znów, jak wycierali ściany po gładzeniu, a przed malowaniem, darła się, że jej pyli, i pisała do administracji, że używam jakichś chemikaliów niebezpiecznych dla zdrowia. A potem awantury o muzykę. Tylko włączyłem coś ton głośniejszy, od razu waliła lagą w sufit. Miała taką lagę do podpierania się, z gumowym końcem, ale rączka była chyba metalowa, bo jak waliła w sufit, to aż dźwięczało. Włączałem muzykę, bo mi matka mówiła: „Ustatkuj się, Oluś, znajdź sobie dziewczynę”. To raz zaprosiłem do mieszkania babci jedną taką z dyskoteki. No i coś tam szło, adapter, winko, tego, i wtedy mi stara zaczyna nasuwać lagę. Nastrój prysł. Potem drugi raz. To samo. Potem była ta, co miała pracować w obsłudze klienta. Ona to sama chciała do mnie przyjść. Trochę czułem, że bardziej jej chodzi o robotę niż o mnie, ale mówię: dobra, zobaczymy. Znów muzyka, winko, tak to się chyba robi, nie? I tamta z dołu znów łup, łup, łup. Dziewczyna była chyba na mnie napalona, ale stara pięć razy stuknęła, jakby wyczuwała moment, kiedy może coś wyjść. I w końcu dziewczyna mi uciekła. Przez starą.

Przynieśli mi kawę. Szklanka na spodku, pół szklanki kawy mielonej, pół szklanki wody. Zero mleka. Czarny kiler z afro w postaci brązowej pianki. Po tym nie zasną do południa. Trudno: wesele.

– Stara zawsze była walnięta, ale chyba najbardziej zaszkodził jej bank. Bo jeszcze jak babcia żyła, w zeszłym roku, za ścianą zaczęli robić starej bank. Tam był wcześniej spożywcza. Wykupili go, dokleili mieszkanie na parterze

i otworzyli tam oddział banku. Akurat było otwarcie parę dni po moim remoncie. I ona się zaczęła żołądkować o ten bank, co ma jakieś silne komputery. Te komputery jej podobno buczały przez ścianę i zakłócały telewizor. Banku się bała i zaczęła się na mnie odgrywać. A co ja byłem winien?

– Był spożywczy, jest bank – mówię. – Taka jest kolej rzeczy.

Lecą polskie kawałki. „A ja mam dziewczynę po słowackiej stronie”. Pani młoda zeszła z parkietu, Tomka nie przywabiła, siedzi przy ciotkach. A te dwie tańczą dalej i obłapiają się coraz bardziej. Zaraz się chyba rozbiorą i zaczną kotłować na podłodze. Ruda tańczy w rękami uniesionymi do góry. Szkoda, że jej nie poznałem wcześniej, kiedy nie była zajęta.

Tej drugiej koszulka wyszła ze spodni i kawałek brzucha też. Religijni goście od panny młodej nie wytrzymują i wychodzą. Albo może byli zmęczeni. Miny mają niewyraźne. Łapię ich w zoom i pstrykam. Olek ciągnie swoją opowieść.

– Ale wiesz, najgorsze w tym było – mówi – że ona mi przypominała moją babcie. Jak nie krzyczała, tylko ją widziałem przez wizjer, a na klatce jest ciemno, to czasem myślałem, czasem mi się zdawało, że to ona. Ta sama fryzura, podobne okulary. Jakby to był jej duch. Więc nie chciałem, żeby ją ten bank wykończył, bo to było trochę tak, jakby ona była jakimś zombi babci, które czuwa nade mną. Jakby babcia jeszcze żyła. Ona taka nie była, nie, była zupełnie inna, ale dla mnie to była babcia w nowym wcieleniu. Więc jak ona kiedyś zejdzie, myślałem, to będzie dla mnie źle.

Didżejowi chyba ktoś powiedział, żeby zrobił przerwę, bo ogłasza to przez mikrofon. Dziewczyny jeszcze chwilę płasają, ale wreszcie schodzą. Ruda siada Olkowi na kolanach i znów zaczynają szeptać do siebie czule. Plama z kuli przejeżdża nad jej głową jak czerwona aureola. Wychodzę się przejść, a kiedy wracam, ich już nie ma.

Przychodzę w poniedziałek, bo zostało jedzenia i alkoholi, a Tomek z Jolą,

swoją żoną, chcieli zobaczyć zdjęcia, no i podziękować mi za ekspres. Przyjemnie u nich. Dużo światła, a na podłodze futrzana wykładzina w kolorze łososiowym, jak grzbiet jakiegoś wielkiego psa. Nowe plastikowe okna – pewnie prezent od Olka. Obrusiki, widoczek Tatr. Jola się postarała, nie to co ta poprzednia dziewczyna. Mieszkała u niego, a trudno było poznać, że jest kobieta w domu, nawet szafki swojej nie miała. I jak znikła, to nawet nie zauważyłem po mieszkaniu, dopiero kiedy mi powiedział. A z tą Jolą, po miesiącu się u Tomka zrobiło inne wnętrze. Remont kuchni, malowanie ścian w pokoju, kwiatki.

– Ale kawa, zaraz się przekonasz – mówią, a młody wrzuca płytę ze zdjęciami do swojego komputera.

Kawa strzela mnie w wątrobę jak kopniak podkutym butem.

– Mocna – mówię. – Znaczy, jak trzeba.

Zdjęcia chyba wyszły. Jeszcze raz oglądam to samo. Ślub. Pierwszy taniec państwa młodych. Stosy zarcia. Tomek z rodzicami. Parkiet Jola przy torcie z wybuchającą petardą. Weselnicy w kościółkowych strojach. Czerwona twarz Indianina Olka na zbliżeniu, z kroplami potu.

– Wymęczył cię, co – mówi młody. – Ale przynajmniej był spokojny. Z nim jest dobrze, jeśli się szybko upije.

– Miał mi opowiedzieć, jak poznał tę rudą, ale się nagle ulotnił przed końcem, jeszcze zanim przynieśli barszcz z pasztecikami.

– A opowiadał ci historię o starej z parteru? Tej Józwiak.

– Zaczął, ale nie skończył.

– Wolisz teraz ciasta czy najpierw bigos? – pyta Jola. Kiedy mówię, że ciasta, znika w kuchni i długo jej nie ma.

– Więc jak Olek poznał tę rudą, to jest zresztą osobna historia, w każdym razie udało mu się ją zaprosić do siebie, do starego mieszkania jego babci. I nawet podobno po pierwszej godzinie nieźle mu szło. Trafili na wspólne zainteresowania

muzyczne, Eric Satie, te sprawy. Ale tu trzeba zrobić dygresję. Ta stara, zresztą sam ją widziałem parę razy w akcji, bo przecież mieszkałem dwa domy dalej, straszna wredziocha, uwzięła się gonić ludzi, co przyjeżdżali do tego banku i parkowali jej pod oknami. W sumie miała trochę racji. Tam i tak była ruchliwa ulica, ale co innego ruch za chodnikiem i drzewami, a co innego auto pod samym oknem. Zwłaszcza jak jest ciepło i trzeba wietrzyć. Więc odkąd się zrobiło ciepło, stara ciągle czatowała i jak tylko ktoś chciał tam stanąć, to wyskakiwała zza firanki i zaczynała na niego wrzeszczeć. I na ogół ludzie odjeżdżali, bo każdy się bał, że jak odejdzie, to mu stara wariatka coś wyrzuci albo porysuje lakier. Bank był czynny do osiemnastej, więc Olek zwykle nie załapywał się na te awantury, raczej znał je ze słyszenia od sąsiadów i od administratorki. Ale raz zbiegły się dwie rzeczy. I tu wracamy do głównego wątku. Akurat Olek zaprosił do siebie tę rudą na popołudnie, ona się zresztą nazywa Agnieszka, więc jak ta Agnieszka przyszła do niego pierwszy raz, to właśnie ktoś podjechał pod okno starej Józwiak. Było tuż przed osiemnastą, stara wyskoczyła z awanturą, okno w mieszkaniu po babci Olka otwarte, było już po remoncie, ale nawet najlepsze okna trzeba czasem w lato uchylać, chociaż hałas, więc wszystko słyszeli, choć Olek puścił *Gymnopedies* w interpretacji Jacques'a Loussier, zresztą sam mu podrzuciłem tę płytę, bardzo dobra, mogę ci też pożyczyć, aaa, no jak chcesz, fakt, przecież ty nie gustujesz w jazzie. W każdym razie tam przy Ericu Satie sytuacja zmierzała powoli w stronę materaca. Szło dobrze, ale nagle w klimat parysko-kabaretowy wciął się dialog z dołu. Stara od razu wyskoczyła ostro. Leciało to, załóżmy, tak:

- Gdzie parkujesz, bałwanie? Nie widzisz, że tu chodnik? Won z tym śmierdzącym samochodem na ulicę, bo zawołam policję.
- Wolnego, babciu – mówi gość. – Nie tym tonem, proszę.
- Jeszcze pyskujesz, gówniarzu? Kto cię kultury uczył? Chamie!
- Lepiej pani zamknie to okno i sobie telewizję poogląda.

A stara dalej swoje:

– Nie pyskuj, tylko odjeżdżaj. Chcesz mieć całe to auto, jak wrócisz?

– Niech mu się tylko coś stanie.

– Zjeżdżaj chacie, i to już. Świnio. Prostaku. Wracaj do wiochy, z której przyjechałeś.

– Cicho. Cicho, stara, bo mnie nerwy zaraz poniosą.

– Won, bo pożałujesz.

I wtedy nagle dialog się urwał. Trzasnęły drzwi, auto odpaliło i ruszyło z piskiem opon. W tym momencie podchody wokół materaca też się urwały. Olek otworzył okno całkiem i wychylił się zza parapetu.

– Niemożliwe. Odjechał. Przepłoszyła go – powiedział do tej Agnieszki.

Wrócili na materac. Podkręcony na jazzowo Eric Satie zlewał się z szumem ulicy, aż nagle po pięciu minutach albo kwadransie usłyszeli jakiś trzask i brzęk tłuczonej szyby. Podchody wokół materaca znów ustały. Olek i ruda Agnieszka zaczęli nasłuchiwać.

– A jeśli nawet, to co? Wstawi sobie nowe i na drugi raz nie będzie taka – powiedział zły Olek.

Nastrój prysł, ale oni postanowili za wszelką cenę doprowadzić rzecz do końca. Starali się bardzo, ale im niezbyt szło. Po paru minutach pukanie do drzwi.

– No nie, kurwa, ja się zabiję – powiedział Olek. – Nie, po co siebie? Ją zabiję. Uduszę tę starą.

Podbiegł do drzwi, owijając się ręcznikiem. Spojrzał w wizjer.

Stara Józwiak stała przy drzwiach jakaś zgarbiona, tak że widać było tylko czubek głowy. Słabo, jakby ostatkiem sił, stuknęła jeszcze ze dwa razy pięścią.

Kiedy Olek szarpnął drzwi, poleciała wprost na niego. Była zalana krwią. Okulary zsunęły się jej na nos, przytrzymane z tyłu sznurkiem. Objęła go czerwonymi rękami.

– Niech mnie pan ratuje – powiedziała i zrobiła się naraz bezwładna.

Olek pod jej ciężarem upadł na plecy i zemdłał. Ruda z materaca zaczęła krzyczeć. Wciągnęła ich dwoje do pokoju, położyła obok siebie na dywanie, zamknęła drzwi i pobiega do łazienki zmoczyć ręcznik.

Olek ocknął się po chwili. Spojrzał w bok, zobaczył obok siebie głowę staruszki, całą we krwi, z wytrzeszczonymi oczami, powiększonymi jeszcze przez grube optyczne szkła.

– Babciu – powiedział tylko i zemdłał znowu. Stara Józwiak była już wtedy martwa. Nawet nie z powodu szyby, ale szoku. Zawał zaczął się, jeszcze jak wchodziła na schody. Lekarze dziwili się, jak udało jej się wejść na piętro. Widocznie coś ją pchało. Musiała umrzeć już na górze, w mieszkaniu Olka, a ściśle, w jego objęciach.

Olka odwieźli do szpitala erką. Przez kilka godzin był w stanie szoku, ale nawet kiedy otworzył oczy, jego kontakt z rzeczywistością był raczej fragmentaryczny. Odleciał. Zatarło mu się, nie wiedział, co jest naprawdę, a co mu się zdaje. Mówił tylko: „Gdzie jest babcia? Gdzie jest babcia?”. Jakby mu się płyta zacięła.

Gdyby nie ta Agnieszka, wylądowałby w psychiatryku. A tak, po niecałym miesiącu wyszedł ze szpitala i następnego dnia się jej oświadczył. Zgodziła się.

– I głupio zrobiła – włącza się Jola, wchodząc z ciastami, ale bigos też chyba zaczęła podgrzewać, bo pachnie.

– Czemu głupio, chłopak w sumie jest w porządku – protestuje Tomek.

– Szkoda dziewczyny. Wykończy ją. Gdybyś się bardziej oszczędzał na weselu, tobyś widział, jak w pewnym momencie wciągali coś w kiblu i potem mieli oczy jak galaretka z nówek.

– Nic nie widziałem – broni się.

– No właśnie. Bo się nie oszczędzałeś.

– W końcu było wesele. Już to sobie chyba wyjaśniliśmy.



– Zresztą oni zaraz potem wyszli. Ty, wiesz co, lepiej przynieś talerze i małe widelczyki, bo mi rąk nie starczyło.

Chłopak idzie do kuchni. Już jest jej. Wytresowany jak małpka. Ale ma te kwiatki i obrusiki. Coś za coś.

– Lepiej, żeby się on od tego Olka trzymał z daleka – mówi Jola, posiorbując kawę, bo gorąca.

Też siorbię raz, solidarnie, żeby nie było, że jestem jakiś lepszy czy co.

– Ehe – mówię.

Po co się z nią kłócić? Tylko bym sobie utrudnił kontakty z Tomkiem. Pewnie były tam jeszcze jakieś sprawy, o których nie chcą mi mówić. I tyle na temat starej Józwiak. Tomek wraca i potem gadamy już o czymś innym.

Ekspres działa do dziś, ale jak do nich przychodzę, to proszę, żeby mi dali do kawy mleko, bo bez tego jest za mocna.

Jakiś rok potem słyszę, Olek z Agnieszką mają mieć dziecko. Ułożyło im się. Nie jest źle.

## Wakacje nad ciepłym morzem

Chociaż morze spokojne, choć trawa przy granicy wydm miała ten zielonkawoszary odcień, który tak potem koił oczy na zdjęciach, chociaż ten delikatny piasek z czarnymi kropkami po rozkruszonych w morzu drzewach przesypywał się przez dłonie lekko jak w klepsydrze, chociaż i mimo to wszystko, kiedy nad ich głowami pojawił się wiropląt, zabzyczał, zaszeleścił, zaczął swoim natrętnym dźwiękiem wgrzyzać się w ich uszy między szumem wiatru, Kiryłło nagle zerwał się na równe nogi, jakby chciał go dopaść, zabić, zadusić gołymi rękami.

Ale nie powiedział nic, był przecież dobrze wychowany. Opuścił ręce, otrzepał nogi z piasku, włożył czapkę i poszedł na długi spacer brzegiem, we dwie patrzyły tylko, jak robi się coraz mniejszy i mniejszy, aż zlał się prawie zupełnie z zapienioną granicą morza.

Wtedy, piątego dnia, do Mączyńskiej dotarło, że nawet on, spokojny z natury Kiryłło, miał dosyć tej paranoi. W końcu przyjechali na wakacje, a nie na letni zlot fanklubu kapitana Klossa i Stirlitza. Ale w ich małżeństwie układ był taki, że ona i tak na ogół stawiała na swoim, więc Kiryłło nie buntował się, bo wiedział, że to nie ma sensu. Zwłaszcza w tym wypadku – w końcu przyjechali tu dlatego, że to on się uparł.

– Wytrzymaj, jeszcze tylko dwa dni – mówiła.

– Jeśli tak mają wyglądać wakacje nad morzem, to ja w przyszłym roku jadę na turnus do Ciechocinka – próbował żartować, ale nie bardzo mu wychodziło.

Ich typowy dzień wyglądał tak: rano wysyłała go z małą Kingą na przespiegi, żeby wybadali, czy w okolicy sklepu jest bezpiecznie. Wtedy zajmowali kolejkę, jeśli była, albo od razu dzwoniли do Mączyńskiej. Mieli dopracowany system

sygnalizacji: ona już nie odbierała telefonu, tylko kiedy wyświetlił się numer męża, wychodziła zza rogu, gdzie się chowała w krzakach, i szybko robiła zakupy.

Oczywiście byłoby sto razy prościej, gdyby to on zrobił zakupy. Nawet jej to proponował. Ale na to Mączyńska nie mogła pozwolić. Zakupy należały do jej zadań. Czułaby się źle, gdyby Kiryłło miał to robić „za nią”. Woląca urządzać cyrk, niż zmieniać coś w ustalonym porządku.

Kindze się te zabawy podobały, ale Kiryłło znosił kamuflaż żony niezbyt dobrze, chociaż się starał. Denerwowało go przemykanie setką nad morze i chowanie auta na końcu leśnego parkingu, ale próbował myśleć o tym w kategoriach oszczędności czasu i że w lesie przyjemniej. Kiedy chodzili na plażę o świcie i rozkładali grajdoł kilometr od Równego wyjścia, mówił, że nie szkodzi. Tłumaczył sobie, że tak lepiej korzystali z wakacji. Dwa wiatrochrony i lokalizowanie grajdoła pod samym lasem, jak najdalej od morza, gdzie chodzili ludzie, też zbywał, niech tam, a na spacerzy nad morzem tylko po zmroku mówił, że może i przyjemniej.

Ale najślabiej znosił Kiryłło to, że Mączyńska przefarbowwała swoje piękne, długie ciemne włosy na rudo. I to na ohydny odcień najbardziej rudej rudziny, a to dlatego, że tylko taką farbę można było kupić w miejscowym kiosku. Jeździć gdziekolwiek dalej, choćby do Stegny lub Krynicy Morskiej, też nie chciała.

– Ja ci kupię tę farbę. Cokolwiek innego. Tylko nie ta rudzina – błagał. – Kupię ci parę kolorów do wyboru, któryś ci się spodoba. Proszę!

– Lepiej nie. Nasze auto jest zbyt charakterystyczne. Ile osób w Polsce, a zwłaszcza na Mierzei Wiślanej, ma złotego voyagera? I to z warszawską rejestracją? Wystarczy, że miniesz Wasiaka na tej wąskiej szosie, i wszystko się wyda.

– A jeśli to nie ten Wasiak, jeśli ci się tylko zdawało? – kombinował Kiryłło.

– Jestem pewna, że to Wasiak. Poznałam sylwetkę, a poza tym też auto

charakterystyczne.

– Granatowe volvo cross country. Tak. Takim autem jeździ zaledwie trzy i pół tysiąca osób w tysiącu korporacji – ironizował. – Może widziałaś jednego z dziesięciu sobowtórów dyrektora Wasiaka?

– Marcel, proszę cię, nie bądź napastliwy. Z czyjzego powodu przyjechaliśmy do tej dziury? W końcu to przez twoje sentymenty musimy się teraz tak męczyć.

– Byłem tu ze trzydzieści razy i jeszcze nigdy nie wypoczywałem w takich warunkach. Gdybym wiedział, że tak ma być, prawdopodobnie bym zrezygnował.

Wtedy ona robiła podkówkę i Kiryłło zawieszał dyskusję. Miała Mączyńska na niego swoje sposoby. Gdyby nie miała, nie byłoby ani pięcioletniej Kingi, ani tego małżeństwa, do którego rodzice wcale go nie zachęcali. A może nawet delikatnie zniechęcali. Tylko że perswazja rodziców była bardzo łagodna. Stary Kiryłło miał klasę i był mądry. Znał się na ludziach. Od pierwszego razu, kiedy Marcel przedstawił im swoją nową narzeczoną, wiedział, że z kimś takim nie ma sensu walczyć. Mączyńska była osobą, która zawsze musi wygrać. Za wszelką cenę. Wiedział, że gdyby zorientowała się, że Kiryłło ma coś do niej i zniechęca do niej syna, nigdy by mu tego nie wybaczyła. A wyglądało na to, że Marcel jest już zupełnie oplatany i nie ma szansy się wyrwać. To znaczy szansę wtedy miał, ale bynajmniej nie chciał się wyplątywać. Dlatego stary Kiryłło bardzo się starał o dobre stosunki z Mączyńska, co zresztą nie było trudne, bo ona bardzo zabiegała o względy teścia. No cóż – powtarzał sobie pewnie w duchu stary – ostatecznie zawsze przyszłość należy do barbarzyńców.

Mączyńska też była mądra. Na tyle, żeby nie kłócić się o drobiazgi. Forsowała tylko to, co było dla niej naprawdę ważne. Umiała ustąpić w jednym, żeby na sto procent dopiąć swego w czym innym.

Dlatego, choć zupełnie nie rozumiała miłości Marcela do rybackiej wioski na Mierzei, godziła się tam jeździć. Co jej szkodziło? Spędzali dwa tygodnie w tej, jak

się wyrażała, śmierdzącej rybami i starymi łodziami dziurze, a potem jechali gdzie indziej, tam gdzie ona chciała. Na Majorkę, na Korsykę, na Santorini albo w inne miejsce, które akurat było modne albo miało być modne za parę miesięcy. W każdym razie takie, którym można się pochwalić w kancelarii i wśród klientów.

– Ładna opalenizna. Skąd to? – mówił jakiś dyrektor z amerykańskiego koncernu, który kupował fabrykę i chciał to urządzać tak, żeby wywalono połowę pracowników bez naruszania prawa pracy. A dla Mączyńskiej chciał być miły, bo jest to kobieta, której przyjemnie mówi się komplementy.

– W tym roku byliśmy na Bali – odpowiadała niedbale Kiryłłowa, która oficjalnie używała zawsze nazwiska męża. – Ale w przyszłym pojedziemy na pewno gdzieś bliżej, bo ta podróż jest jednak strasznie męcząca.

Potem dodawała jeszcze od niechcienia parę zdań o tym, kto ze znanych ludzi był akurat w tym samym miejscu na wakacjach, albo dorzucała jakiś szczegół, dający pojęcie o jej finansowych możliwościach.

Musiała walczyć, bo choć zdała aplikację najlepiej w roczniku i niedługo później została współpracowniczką w swojej kancelarii, to jednak wciąż była to mała polska kancelaria, która tylko okazjonalnie dostawała naprawdę duże zlecenia od korporacji. Trzeba było dbać o wizerunek, bo bez tego łatwo mogła spaść, stracić dobrą opinię i zajmować się mało dochodową dłubaniną: rozwodami, spadkami czy konfliktami typu właścicielka małej perfumerii kontra centrum handlowe. Co z tego, że Mączyńska była dobra w takich sprawach, skoro nie było z nich pieniędzy.

Dyrektora Wasiaka poznała na balu w ambasadzie amerykańskiej. Bywało tam dużo osób z towarzystwa, ale przede wszystkim biznesmeni z różnych amerykańskich korporacji, zwłaszcza ci, którzy cenili sobie sławny bufet z nieograniczoną ilością łysekaczy. Mączyńska była kiedyś w Stanach na półrocznym stypendium i teraz skwapliwie wykorzystywała obecność na liście

zapraszanych, żeby namotać jakieś większe zlecenie. Nazwisko Kiryłło wiele w Warszawie znaczyło, nawet kiedy ojciec Marcela przestał być szyszką w Okręgowej Radzie Adwokackiej, ale żeby zarobić prawdziwe pieniądze, musiała być w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu.

Dlatego wołała chodzić na takie imprezy sama. Łatwiej było manewrować w tłumie, kończyć jedne rozmowy i zaczynać inne. Zresztą Marcel Kiryłło wcale się tym nie martwił. Nie lubił zgiełku, wołał w tym czasie umówić się z jakimś kolegą z Zamojskiego na partyjkę szachów. Chodził na bankiety tylko wtedy, gdy naprawdę musiał.

Była sama, kiedy ktoś przedstawił jej Wasiaka. Już wiedziała, że mają kłopot z paroma spadkobiercami właścicieli działek na środku terenu, gdzie miało stanąć ich centrum logistyczne na Europę Wschodnią. I że to się okazało po czasie, kiedy nie dało się odkręcić transakcji. Pozostało zatrudnić małą, sprytną kancelarię – międzynarodowe korporacje prawnicze z takimi sprawami radziły sobie gorzej.

Ale oczywiście nie zaczęła od interesów. Pogadali o tym, o owym, aż zeszło na wakacje. Mączyńska chciała być miła i zależało jej na dobrym kontakcie, więc kiedy Wasiak powiedział, że jedzie na Lazurowe Wybrzeże, ona odruchowo zasugerowała, że też się tam wybiera. Pomyślała, że nic jej to nie kosztuje. Potem próbowała się wywinąć, wypytyując, gdzie jedzie Wasiak, żeby wyszło, że będzie akurat na drugim końcu. Wasiak był polonusem z Ohio, który po studiach postanowił szukać szczęścia w starym kraju. Opowiedział o swoim koledze z MIT-u. Ten miał posiadłość w górach niedaleko Saint-Tropez i zaprosił tam Wasiaka na tydzień lub dwa.

– A to szkoda, bo ja mam jechać w okolice Nicei – powiedziała z udawanym zawodem.

– Tak czy owak, mogłabyś wpaść. Przecież autostradą to jest godzinka. Karl jest bardzo gościnny. Lubi Polaków. Jego babka kochała się w jakimś ułanie

emigrancie – namawiał ją Wasiak i w końcu zmusił, żeby na odwrocie jego własnej wizytówki zapisała sobie adres tego Karla.

No a potem powoli zeszli na interesy, i wyszło, że robota będzie od połowy sierpnia, tuż po domniemanym urlopie na Lazurowym Wybrzeżu.

Dyskusja z mężem była trudna. Mączyńska molestowała go dwie godziny, ale tym razem Marcel się uparł.

– Daj sobie spokój z tym Lazurowym Wybrzeżem. W sezonie: nigdy. Tłum, smród, korki i francuski rap. Dla mnie to za wiele. A poza tym mieliśmy w sierpniu jechać na Mierzeję.

– Zrozum, Marcel, facet jest dla mnie naprawdę ważny. Powiedziałam, że jadę do Francji, nie mogę teraz nie pojechać.

– Trzeba było nie mówić. Nie konsultowałaś tego ze mną. Możemy jechać do Francji pod koniec sierpnia. Ale najpierw Bałtyk. I od razu mówię, że lipiec mam zajęty.

– To może się na tydzień rozdzielimy?

Marcel spojrzał na nią dziwnie. Tak, była cena za wejście do rodziny z nazwiskiem. Pewne rzeczy nie przechodziły. Pewne rzeczy trzeba było robić. Kobiety nie jeździły na wakacje same. Rodzina Kiryłków od niepamiętnych czasów jeździła na dwa tygodnie na Mierzeję. Nie do Juraty, nie do Łeby, nie do Władysławowa. Taki mieli styl. Marcel nie mógł zrozumieć argumentów typu „co ja powiem w kancelarii”.

– W kancelarii powiesz: byłam w małej rybackiej wiosce na Mierzei Wiślanej.

– Marcel, zrozum, to nie tak – mówiła.

– Kochanie, czy twoja pozycja zawodowa naprawdę zależy od tego, gdzie spędziłaś wakacje? Zresztą, to bardzo dobre miejsce. Cisza, spokój, piękna plaża, stosunkowo mało ludzi.

Już mu nie tłumaczyła, bo to nie było do tłumaczenia. Tak to mógł mówić ktoś

podobny do Kiryłły. Ale inni musieli szpanować Morzem Śródziemnym albo egzotyką, a i tak trzeba było uważać, gdzie i kiedy się jechało. Mączyńska pamiętała, jak jeszcze za aplikacji ktoś próbował chwalić się Tunezją, a jej patron, a późniejszy wspólnik, tylko się skrzywił.

– Do Tunezji? – powiedział. – Tam to jeżdżą socjologowie z uniwersytetu w Bremie.

– W Bremie? – zapytał ten po wakacjach w Tunezji.

– Tak, bo to jest najlepsze miejsce, żeby badać populację enerdowskich hydraulików. Nigdzie ich tylu nie ma w jednym miejscu.

Od tamtej pory Mączyńska najpierw dobrze słuchała, gdzie wypada jeździć, i zdradzała swoje plany wakacyjne dopiero wtedy, kiedy była absolutnie pewna, że to dobry wybór. I dlatego czuła, że nie może mówić „byłam na Mierzei Wiślanej”, bo to osłabiłoby jej pozycję. O takim miejscu w ogóle mówić nie wypadało. Nie wiadomo, czy i Francja nie była za banalna.

No i teraz był klops. Marcel Kiryłło się uparł, ona powiedziała, że będzie we Francji, wspólne wakacje mieli spędzić na Mierzei. Normalnie by pewnie jakoś postawiła na swoim, ale akurat sytuacja była zabagniona przez to, że Marcel nalegał na drugie dziecko. Chciał mieć syna, a ona potrzebowała jeszcze roku-dwóch, żeby umocnić swoją pozycję. I żeby tam nie ulec, tu musiała ustąpić pola.

Powiedziała więc, że jako dobra żona podporządkuje się mężowi. Zdecydowała, że po prostu skłamię co do wakacji. W końcu byli parę razy we Francji, i nie było to takie trudne, powiedzieć po wszystkim parę okrągłych zdań. A że kolor opalenizny inny? Cóż, w końcu były jeszcze solaria.

Przyszedł koniec lipca i pojechali. Wszystko było w porządku przez pierwszy tydzień. Do dnia, kiedy na parkingu w centrum wioski, tuż obok kościoła, zobaczyła z daleka Wasiaka. A że zdążyli się już dwa razy widzieć służbowo, wiedziała, jakie ma auto. Więc choć widziała go z daleka, po sylwetce i po aucie



przyjęła na sto procent, że to on. I tak zaczęła się zabawa w chowanego, która trwała aż do końca ich urlopu, choć nigdy później już go nie zobaczyła. Miała nadzieję, że on też jej nie zobaczył.

Tuż po powrocie do Warszawy, zestresowana, już bez rudej farby, przyszła na spotkanie, na które umówili się jeszcze w lipcu. Wasiak był strzaskany na ciemny brąz w odcieniu raczej śródziemnomorskim niż bałtyckim.

– I jak wakacje? – spytał. – Nicea się sprawdziła?

– W porządku – odparła wymijająco. – Dużo atrakcji. Dwa tygodnie zleciały szybko. A u ciebie?

– U Karła było super. Szkoda, że nas nie odwiedziliście. Tylko że musiałem wracać wcześniej, bo pojawił się nowy pomysł, żeby robić coś w Kaliningradzie.

– Leciałeś z Francji do Kaliningradu?

– Nie bezpośrednio. Wróciłem do Polski, potem autem nad morze, zostawiłem je w Krynicy Morskiej i stamtąd wodolotem. A po powrocie dokończyłem wakacje nad Bałtykiem. Jeszcze tydzień siedziałem w Krynicy.

Mączyńska już-już miała się wygadać, że widziała Wasiaka na Mierzei, ale ugryzła się w język – przecież wyszłoby na jaw jej kłamstwo. Więc przeszła do spraw biznesowych i temat się urwał.

– I co, w sumie skończyło się dobrze – zapytałem, kiedy przestała opowiadać.

Ja akurat skończyłem jeść, jak doszła do końca historii, i teraz ona ruszyła ostro z sałatką meksykańską, żeby nadrobić zaległości.

– No, z tym tak, ale z tego powodu pół roku później się rozwiedliśmy – powiedziała przez pełne usta.

– Jak to? Przecież... z powodu wakacji nad Bałtykiem?

– A Marcel co ci mówił?

– Niewiele. Tylko że nie jesteście razem. I że zgodził się na rozwód, żeby uniknąć skandalu. Tyle wiem. My się aż tak często nie widzimy.

– Tam zrozumiałam, że on mnie nie rozumie. A ja jego. Po prostu jesteśmy z różnych bajek.

– No tak, wykorzystалаś faceta, wycisnęłaś z niego, ile się dało, i go porzuciłaś – powiedziałem.

– Nie mów tak. Przecież wiesz, że wszystko, co mam, zawdzięczam sobie.

– Sobie i dobremu nazwisku Marcela.

– Może na początku. Ale potem już nie. Zresztą, to nie jest tak, że go po prostu zostawiłam. W końcu odeszłam z dzieckiem. Myślisz, że to łatwe?

– Gadanie. Samotne kobiety z małymi dziewczynkami mają wzięcie. Znacznie lepsze niż te z chłopcami. Wychowywać cudzego syna głupio, a dwie babki, z tego jedna mała, to idealny obiekt, żeby się zaopiekować.

– A ty byś się zaopiekował?

W tym momencie popatrzyłem na nią inaczej. W dekolt jej głupio spojrzałem, a potem zaraz w oczy, żeby nie zauważyła i nie pomyślała. Właściwie to dlaczego się ze mną spotykała? Nic jej nie mogłem załatwić. Ledwie mnie było stać na knajpy, gdzie się spotykaliśmy raz na rok czy raz na dwa lata. Ale jednak spotykaliśmy się. Dzwoniła, gdy ja dawno zgubiłbym ją pomiędzy wciąż nowymi adresami – a to Śródmieście, a to Mokotów, a to Konstancin. Czemu dzwoniła? Też byłem z Poznania, ale w końcu w Warszawie, nawet na naszym roku, nie byłem ja taki jeden. Więc czemu? Teraz by się okazało? Trzymała mnie w odwodzie, jakby coś nie wyszło?

– Ja to na opiekuna się nie nadaję, nie liczę się – powiedziałem, odwracając oczy do środka szklanki z piwem. – Moją byłą żonę spytaj. Ona mnie po roku zostawiła. Mówiła: nierozwojowy jesteś. Mnie nie stać na wakacje nad ciepłymi morzami. By było. Jeżdżę do Dębek, zasadniczo, raz byłem na Cyprze, raz Tunezja, ale to wstyd, Tunezja przecież. Ogólnie mówiłem. Rozumiesz?

– Tunezja w porządku – powiedziała ona – tylko że nie pochwalisz się nią

prawnikom z korporacji. A poza tym to ogólnie tak.

– Że się nie liczę jako potencjalny opiekun?

– Szkoda by ciebie było. Na opiekuna by szkoda było. Przynajmniej z tobą mogę normalnie porozmawiać, bez tego udawania A z tamtym to tak. Ja, wiesz, nie nadaję się do tego, żeby być sama.

Pokazała mi zdjęcie.

– Przystojny – powiedziałem.

– Z Karlem to była taka, głupio zabrzmiało, miłość od pierwszego wejrzenia.

– To ten od Saint-Tropez?

– Przyjechał do Polski, Wasiak robił garden party.

– Chciałaś sobie załatwić definitywnie sprawę wakacji. I co, mieszkacie tam?

– Jeździmy na wakacje. Zasadniczo mieszkamy z Karlem w Nowym Jorku.

Piwo siorbnęło mi na resztkę piany z dna. Zawsze się śmiali, że jestem jedyny, co walczy z piwem słomką. Biedny Kiryłło – pomyślałem. – Co on mógł jej zaproponować?

– I co, tam to nie musisz pozować? W Nowym Jorku.

– Pewnie, że muszę. Tylko mniej. Karl jest taki otwarty, bezpośredni. Musisz go poznać. W ogóle to przyjeżdż do nas.

– Trochę mi szkoda Kiryłły – powiedziałem. – W sumie facet jest w porządku.

– Jest. To szczęśliwy człowiek. Niczego nie musi udawać. Po prostu jest Marcel Kiryłło. Liczył na mnie. Chciał się oderwać od rodziców, ale mu się nie udało. Na dłuższą metę było to ponad jego siły. Wiesz, że teraz znów z nimi mieszka?

– Może bez ciebie jest mu lepiej? Może sobie jeździć na wakacje nad Bałtyk. Nie musi chodzić na bankiety.

– I tak nie musiał.

– A myślałaś, jak się czuł, kiedy ty chodziłaś sama?

– Już nie truj. Dam ci adres i telefon na Lazurowe Wybrzeże. Jesteśmy tam

zawsze z Karlem na wakacjach w sierpniu, tak jak Francuzi. Możesz dojechać autem albo samolotem i odbierzemy cię z Nicei. Przyjedziesz?

– Pewnie – powiedziałem. – Pewnie przyjadę. Może zaszpanuję w towarzystwie i ktoś wreszcie mnie doceni.

– Przestań, ty świnió. Dlaczego my się w ogóle widzimy?

– To proste – postanowiłem powiedzieć jej uczenie, żeby jeszcze lepiej zamaskować tamto spojrzenie, którego może chyba nie zauważyła.

– Chcesz wierzyć w przyjaźń między mężczyzną i kobietą. Że można przełamać antagonizm między płciami i solidaryzm wewnątrz własnej płci. I nie boisz się, że znajomość ze mną rozsypie ci się w coś innego. Nie poszłabyś na to. – Obruszyła się. – Poza tym mam dużo wdzięku – dodałem nowy wątek. – Każdy mnie lubi. Inaczej byłbym sam jak palec. No bo kto by się widywał z gościem, który jeździ na wakacje do Dębek. Dębki to nie Mierzeja Wiślana.

– Jeśli zaczniesz teraz jeździć na Mierzeję, bo ci Marcel powie, że tak wypada, to w moich oczach stracisz. Już lepsze twoje Dębki.

– Nie ma sprawy, pozdrowię go od ciebie, jak go spotkam – powiedziałem.

Oczywiście nie pojechałem do Saint-Tropez. Samochodem dwa dni w jedną stronę, samolot drogi, ludzi tyle samo albo więcej niż tu. Morze pewnie cieplejsze, ale to napinanie, pozowanie, Karl z Nowego Jorku... Co to za odpoczynek. Tylko Mączyńska ma zdrowie do takich rzeczy.

– To prawda. Ona ma zdrowie. Ciągle na posterunku. I dlatego do czegoś w życiu dojdzie. Ja miałem tego dosyć. Rzeczywiście byliśmy z innych bajek – powiedział Marcel.

Siedzieliśmy U Basi, w najlepszej knajpie w wiosce. Basia była prawie ciotką Marcela, bo pamiętała go, jak był chłopcem i przyjeżdżał z rodzicami. Marcel czuł się tu jak w domu i mnie też się podobało. Tu pierwszy raz w życiu zjadłem rosół z węgorza. Mięso było delikatne, białe i smakowało prawie jak rozgotowany

kurczak.

– To co, jest dwadzieścia po ósmej. Może zachód słońca przy porcie – zaproponował Marcel, a ja się zgodziłem.

– Tęsknisz za małą? – zapytałem, kiedy staliśmy przy ladzie i czekaliśmy na Basie lub jej córkę, żeby zapłacić.

– Pewnie, że tak. Obiecała, że mi ją tu na tydzień przywiezie. Mają przyjechać za dwa dni.

– Kurczę – powiedziałem. – Będę się musiał schować. Nie byłoby zrzecznie, gdyby mnie tu zobaczyła. Pomyśli sobie nie wiadomo co.

– Jak chcesz. Może w kiosku jest jeszcze ta sama ruda farba, co rok temu. Kupisz tam też czarne okulary w korzystnej cenie. No i oczywiście, jeśli ona zna twoje auto, będziesz je musiał przeparkować na tył posesji.

Nie wiedziałem, czy mówi na poważnie, czy sobie kpi. Dupek. Umiał być miły, ale w głębi uważał się za nie wiadomo kogo.

Pożegnaliśmy się z Basią i poszliśmy nad morze, bo to był jednak kawałek, a słońce zachodziło tuż przed dziewiątą, punktualnie jak w zegarku.

## Mors

Mors leżał na plaży gdzieś na wysokości ruchomych wydm, równoległe do morza, głową w stronę wschodu. Diabli wiedzą, co się stało, że zaniósło go nad Bałtyk, a potem sztormowa fala wyrzuciła go na brzeg. Była późna jesień, ale i tak za gorąco. Sztorm wyrzeźbił w plaży małą zatoczkę, która potem stała się płytkim jeziorkiem. Mors leżał w środku tego podłużnego bajora i gasnącym wzrokiem patrzył przed siebie, w stronę Łeby, gdzie linie morza, piasku i lasu zbiegały się, zwieńczone ledwie widocznym dźwigiem, który służył do ustawiania betonowych zasieków falochronu.

A potem w tym łagodnym, błękitno-piaskowo-zielonym krajobrazie pojawiły się jakieś kolorowe punkty, które z upływem czasu stawały się coraz większe.

Helmut, Benzol i Maca maszerowali różnym krokiem po twardym odcinku plaży, tuż przy linii obmywanej przez leniwe fale. Wiatru prawie nie było, dzięki czemu mogli bez wydzierania się rozmawiać. Mówili najciszej, jak się dało, bo choć byli daleko od ostatnich zabudowań, cholera wiedziała, czy ktoś przypadkiem nie siedzi w lesie.

Nie był problem zajebać Kartofla. Problem był, jak to zrobić dyskretnie, a potem, jak ustawić dobry dil z Tedim, nie dając się przy okazji wyruchać Łysemu, który działał na sąsiednim terenie i niby udawał samodzielnego, ale wiadomo było, że ma dobre układy z Warszawą, z tymi, co weszli na miejsce po Pershingu.

Helmut był najtwardszy z nich. Chciał Kartofla po prostu stuknąć, byle gdzie, choćby i w jego dyskotecce. Kartofel go wkurwiał ciągłym wchodzeniem im w paradę mimo niby obowiązującego podziału stref. Chciał załatwić sprawę definitywnie, bez oglądania się na konsekwencje.

Benzol był bardziej rozważny. Proponował, żeby najpierw rozpoznać układy Kartofla z Tedim i zabezpieczyć się, na wypadek gdyby Tedi miał im za Kartofla wypowiedzieć wojnę. Ostrzegał, że w takim wypadku wkroczyliby Ruscy i w imię ochrony swoich interesów daliby wszystkim mocno po dupie.

Helmut ufał Benzolowi, bo wychowali się na jednym osiedlu w Słubicach i potem chodzili nawet przez rok do tej samej zawodówki.

Maca, który był świeżakiem, trochę pękał. Wolał spokój i dogadywanie się. Odkąd garowali razem z Helmutem, bał się kłopotów. Dla Helmuta był kumplem spod celi, gdyby nie to, za jego kwęki Helmut dawno by go pewnie wyjechał na zbity pysk.

Ze względu na różnicę zdań przyjechali na dwa dni do Łeby, żeby to sobie porządnie obgadać, na spokojnie, z dupami, bo chcieli też przy okazji wypocząć.

Szli, rozmawiając, i byli tak zajęci, że zobaczyli morsa, dopiero kiedy Benzol o mało na niego nie nadepnął.

– O kurwa, a co to za potwór! – krzyknął nagle trochę przestraszony.

Maca, który miał maturę i przed pierdłem zdążył jeszcze liznąć trochę wiedzy ogólnej, popatrzył na smętnie zwisające wąsy zwierzęcia i na jego długie kły i powiedział:

– Chyba ten, no, mors.

– Gdzie ci, kurwa, mors? To jest Bałtyk. Chyba raczej foka, nie? – wtrącił się autorytatywnie Helmut.

– Foka nie ma tych kłów. Racja, to chyba mors, widziałeś, jak na pudełku od lodów. – Benzol stanął po stronie Macy, ale pojednawczo, żeby się Helmut nie wkurwił i nie uznał tego za podważanie jego autorytetu.

– Może i, kurwa, mors. Ale co go tu do ciężkiej pizdy przyniosło?

– Ostatnio mówili w telewizji, że są te anomalie pogodowe. Klimat się ociepla czy oziębia, nie pamiętam dokładnie, ale mówili, że coś fiksuje w Arktyce,

zmieniają się prądy. Ciepłe na zimne albo zimne na ciepłe. Więc może i tego morsa pojebało i popłynął nie tam, gdzie chciał.

– Ty się tu, Maca, nie wymądrzaj – zmitygował go zaraz Helmut. – Amonalia nie amonalia, ale co z tym bydlakiem zrobić?

– Może go zajebać kamieniem, zadzwonić po laski, a wieczorem zmontować ognisko i go usmażyć. – Maca chciał się teraz Helmutowi przypodobać.

– Głupiś. Skąd tu kamień – Helmut pokazał na gładkie morze i niemal zupełnie płaską plażę. – Chyba go, kurwa, pięścią zajebiesz – zaśmiał się chrapliwie.

– A poza tym to chyba byśmy go jedli z tydzień. Przecież to jest, kurwa, bydlę. On waży z tonę. Na oko jest większy niż Gruby Fred, wiesz, ten barman z Pod Palmami.

– Racja – przytaknął krótko Maca.

– Ja bym go nie zajebował – włączył się zatroskany Benzol. – Po co nam teraz dym? Zrobimy ognisko, zlecą się wopiści. A nawet jak go zajebimy, to jak go stąd weźniesz? Beemka ci się zakopie w tym piasku, a jak zaczniemy szukać terenówki, to się zaraz rozejdzie i, kurwa, kłopoty, kłopoty, kłopoty.

– Ty masz łeb, Benzol. Na chuj nam taki pieczony mors? Ale to co, mamy go tak zostawić? Może go dla jaj rozpatroszyć i zobaczyć, jak wygląda w środku, co?

– Wiesz, może to i ciekawe. Ale jak go tu zostawimy z rozpierdolonym brzuchem, to go potem ktoś znajdzie, zadzwoni do gazet, przyjedzie telewizja, zaczną węszyć, skąd się tu wziął, kto go załatwił. Zrobi się sensacja. A tu jest mało ludzi. Zaczną sprawdzać, pytać, dochodzić. I też się nam mogą dopierdolić do tyłka. A jak mamy działać z tym Kartoflem, to nam jest teraz potrzebna cisza. Kompletna cisza, jakby nas tu w ogóle nie było.

– Co racja, to racja. Ty mi się jednak zawsze przydasz, Benzol. Jak zajebimy tego Kartofla, to dam ci w zarząd jego dyskotekę – powiedział łaskawie Helmut.

– To może go zepchnąć do morza? Niech, kurwa, spierdala z naszej plaży do



Islandii. Co? We trzech chyba damy radę? – włączył się Maca, który ciągle musiał się starać o swoją pozycję.

– No dobra, spróbujemy – zgodził się Helmut, który był najpotężniejszy, słynął z siły fizycznej i lubił się nią popisywać. – Ja go złapię w środku, ty, Benzol, za ogon, a ty, Maca, za łeb. Tylko żebyś mu tego łba nie ukręcił – zaśmiał się. – Bo wtedy cała robota na nic.

Podkasali rękawy dresów i wzięli się za morsa. Sapali, wzdychali, ale po pięciu minutach ledwie udało im się odwrócić cielsko o dziewięćdziesiąt stopni. Mors, ledwie żywy, patrzył na ich wysiłki z obojętnością.

– Warto to, kurwa, się tak wysilać. Niech tu leży – powiedział zasapany Benzol.

– Nie no, zaczęliśmy, to skończmy – próbował z nich wykrzesać entuzjazm Maca. – Może się rozpędzimy i na raz pchniemy, to się przewali, a potem jeszcze raz tak samo.

– No to już – zakomenderował Helmut.

Cofnęli się z dziesięć metrów, rozpędzili i jak nie grzmotnęli w cielsko morsa! Zwierz obrócił się o kolejne dziewięćdziesiąt stopni.

– Kurwa, udało się – powiedział zadowolony Helmut – No, Maca, wstawaj, jeszcze raz. Co, tak się zjebałeś, że musisz pospać? – zwrócił się zdziwiony do Macy, który jakby przykleił się do głowy morsa.

Wtedy dopiero usłyszeli ciche rżenie, wydobywające się z ust Macy, który widać poślizgnął się i upadł całym ciałem na kły morsa. Nagły podmuch wiatru wygładził dres na jego plecach i wtedy zobaczyli dwa kły, które przeszły na wylot Maca przez moment się ruszał, a potem raz stęknął i drgawki ustały.

Helmut podszedł, chwycił za włosy, podniósł głowę do góry i zajął w oczy Macy.

– Już, kurwa, po nim – powiedział do Benzola. – Nieźle się idiota załatwił.

– Lepiej teraz spierdalajmy – przytomnie zareagował Benzol. – Po co nas tu

mają notować? Pakujemy się i wyjeżdżamy, zanim go ktoś znajdzie. – Benzol sięgnął do kieszeni dresu Macy i wyjął stamtąd portfel oraz giwerę.

– A co powiemy jego dupie? Wiesz, jaka ona jest. Zacznie się awanturować, szarpać. Ja nie chcę się z nią wozić.

– Nic jej nie powiemy. Powiemy, że Maca się najebał i nie chciał jechać sam wozem. Że ma wziąć taksówkę i do niego przyjechać, do tego baru nad morzem. Zanim wróci, spakujemy się i już nas nie będzie.

– Eee, może ją też lepiej stuknąć? – zastanawiał się Helmut – Jeszcze nam będzie potem bruździć.

– Aaa tam. Weźmie sałatę, co ją Maca zawsze wozi przy sobie, i spierdoli stąd. U nas się nie będzie po tym pokazywać. Znajdzie sobie jakiegoś chłopca albo będzie robić to, co przedtem.

– No dobra, jeszcze pomyślę. Bo dla mnie, to może by ją było lepiej stuknąć gdzieś w lesie.

Zostawili morsa z nadzianym Macą i ruszyli szybko w stronę Łeby, obaj zamyśleni.

Jak już dochodzili do nadmorskiego parkingu przy kempingach, Helmut nagle zatrzymał się i powiedział:

– Mors ultima ratio.

– Co, jak mors? – zdziwił się Benzol.

– Mors ultima ratio – powtórzył Helmut, który lubił też czasem popisać się intelektem.

– A co to znaczy? Że mors ma, kurwa, rację?

– Głupiś. Taka książka, czytałem pod celą. Maca mi pożyczył. Taki no, kryminał.

– Ale co z tym morsem?

– To po łacinie. Tam chodziło o to, że jak by co, to zawsze można w końcu

każdego zajebać.

– A Maca sam się zajebał.

– Bo był głupi. Musiał się pchać na tego morsa! Po chuj mu to było. Leszcz jeden. Żeby nie to, że z nim garowałem, dawno bym go wypierdolił.

– A tak się sam wypierdolił na morsie.

Jak doszli do parkingu, trzasnęli sobie jeszcze po browarze, a potem wskoczyli w bryczki i pojechali w stronę hotelu.

## Ballada o dobrym dresiarzu

Słyszeliście kiedyś o dobrym dresiarzu? W gazetach się o tym nie przeczyta, bo tam jak piszą „dresiarz”, to wiadomo, od razu musi być zły człowiek. Ale czy to jest prawda? Zresztą, posłuchajcie. Ocenicie sami.

Miał na imię Rysiek. Wymyśliła to matka. Jak wiadomo, wszystkie Ryski to fajne chłopaki. Ojcu imię nie podchodziło, ale w końcu się zgodził. Sam był Zdzisław, więc jakoś mu to przypasowało, że syn będzie się nazywał podobnie. No i Rysiek był podobny do ojca, ale nie całkiem. Z wyglądu – kubek w kubek: twarz kwadratowa, czoło niskie, nos jakiś za duży, kulfoniasty. Tyle że jak urósł, był wyższy od ojca. No i w środku jakiś jakby inny. Ale to się okazało z czasem.

Rodzice Ryśka pracowali. Ale wysoko nie zaszli. Ministrami nie byli i w dyplomacji też nie. Matka sprzątała w szkole, a ojciec był spawaczem w firmie budowlanej. Mieszkali na Goławiu.

Ojciec Ryśka fajny nie był. Lubił wypić, a po pijaku zdarzało mu się robić awantury. Matka zabierała wtedy małego do siebie, do szkoły. Brała klucze do biblioteki i zamykała tam chłopaka, a sama szła sprzątać. Rysiek siedział długie godziny i z nudów zaczynał podczytywać to jedną książkę, to drugą. Z czasem, kiedy podrósł, nauczył się stawiać ojcu, parę razy nawet mu dołożył. Ale nawyk czytania został.

Kiedy kończył podstawówkę, miał piątkę z polskiego. Pisał dobre wypracowania, książek naczytał się jak nikt z jego kolegów. Ale po wierzchu był taki jak wszyscy. Palił papierosy, pił z innymi wódkę. Jak trzeba było, to się bił, tyle że sam nie zaczynał. Żeby nie bał się o opinię wśród chłopaków, może w ogóle by nikogo nie tknął? Nieraz się zdarzało, że mógł komuś nakopać, ale jak nikt nie widział, to dawał spokój i puszczał frajera wolno.

Poszedł do technikum uczyć się na elektryka.

W tym technikum, ślepy los, trafiła mu się polonistka pasjonatka. I ta polonistka od razu poznała się na Rysku. Ściągnęła go do pracy w kółku teatralnym, dawała książki, odpytywała, co o nich myśli. Chciała, żeby Rysiek wyszedł na ludzi. A Rysiek korzystał.

Jak kończył technikum, myślał, żeby uczyć się dalej. Ale rodzice wybijali mu to z głowy. Masz fach w ręku – mówili – nie pchaj się tam, gdzie cię nie potrzeba. No i czas był do pracy, zarabiać pieniądze. Rodzice już nie mogli go utrzymywać. Ojciec był na bezrobociu, bo jego przedsiębiorstwo zbankrutowało. Matka zarabiała niewiele, a i to cały czas bała się, że ją zredukują, bo od dawna w szkole mówiło się o likwidacji etatu sprzątaczk i zatrudnieniu firmy.

Tymczasem pieniądze leżały na ulicy. Pełno kumpli Ryska z osiedla pracowało przy ludziach z miasta. Wystarczyło raz na jakiś czas podłapać robotę. Coś przewieźć, komuś wklepać, kogoś popilnować. Rysiek miał kwalifikacje. Znał kogo trzeba, jego znali, ufali mu. Wyglądał odpowiednio. Golił głowę, chodził do osiedlowej pakierni, nosił sportowe obuwie i dresy z lampasem. Nie chciał się wyróżniać, więc był taki jak wszyscy. A że w środku trochę miętki od tego czytania – o tym raczej nikt nie wiedział.

Odrzucił parę dobrych propozycji od chłopaków i w końcu zatrudnił się jako ochroniarz w sklepie rtv. Pracę miał spokojną, w cieple. Brał noce, żeby dni mieć dla siebie. A w te dni?

Na osiedlu by się zdziwili. Bo we dnie, jak tylko trochę odespał, Rysiek biegał do biblioteki. Potajemnie dostał się na zaoczną polonistykę. Chodził na uniwersytet czytać i się uczyć, czasem posłuchać jakiegoś wykładu.

Dziwnie tam patrzyli na niego, jak przychodził w swoim dresie, z głową. Ale przynajmniej nikt mu nie podskakiwał. Byłoby gorzej, gdyby ubrał się jak student. Raz, że dziwnie by wyglądał ze swoją spłaszczoną głową, bez karku, z niskim

czołem, a ubrany w jakieś modne łauszki. Dwa, że jak się jeździło nocnymi na Gocław albo z Gocławia, to lepiej było jednak w dresie. Widzieli, że swój, i odpuszczali.

I tak to szło pięć lat Czasu miał dużo na czytanie i we dnie, i po nocach, w pracy. Pracę magisterską napisał na piątkę. Porównał Mickiewicza i Słowackiego pod kątem tego, który bardziej lubił chłopców, a który dziewczęta. Temat był na czasie. Profesor od literatury romantycznej, któremu wpadła w rękę praca, chciał mu nawet zaproponować studia doktoranckie, co, jak mówił Rysiek, na zaocznych się raczej nie zdarzało. Ale jak zobaczył chłopaka z tą jego twarzą, to dał spokój. Pomyślał, że dresiarz z kwadratową głową nie mógł napisać tego sam. Dla niego sprawa była jasna – praca była zlecona murzynowi, a i to nie zwykłemu studentowi czy magistrowi, tylko jednemu z pracowników. Że bidni wykładowcy dorabiali sobie pisaniem prac, wiadomo było od dawna. Ale po co dresiarzowi magisterium z polonistyki – tego profesor nie mógł pojąć. Bał się jednak wnikać w sprawę, żeby nie oberwać. Rysiek wyglądał groźnie – duży, byczkowaty, z twarzą boksera. Więc profesor odpuścił sobie wyjaśnienia. Ale temat studiów doktoranckich już nie wrócił. Profesor zbył Ryśka byle czym, tłumacząc się, że chciał zapytać go o zgodę na wykorzystanie w swoim artykule jakiegoś tam kawałka z jego z pracy, oczywiście z podaniem skąd. Rysiek był zawiedziony, bo już robił sobie jakieś nadzieje. Ale co miał powiedzieć? Zgodził się i poszedł.

Ochroniarka go znudziła. Odczekał miesiąc, odebrał dyplom i zaczął rozglądać się za nową robotą. Napisał życiorys, podanie i rozesłał to po paru gazetach, wydawnictwach i szkołach. Nawet go tu i ówdzie zaprosili, ale wszędzie odpadł po rozmowie. Wygląd miał nie taki. Pożyczał nawet na te rozmowy marynarkę ojca, ale że spodnie nie wchodziły, bo ojciec był jednak znacznie chudszy, zakładał tę marynarkę do swoich dresów z lampasem. No i wszędzie, jak zobaczyli kwadratową głowę z niskim czołem, dresy, obuwie sportowe, tylko się głowili,

o co w tym chodzi: dresiarz po polonistyce szuka pracy umysłowej. Nawet się nie zastanawiali, czy zatrudnić. Dziękowali z miejsca. A w jednej prywatnej szkole to go ochroniarz nie chciał wpuścić do środka, myśląc, że przyszedł z dilerką.

Szukał tak roboty dwa miesiące. Wreszcie, przyłamany, poszedł do tej swojej nauczycielki polskiego z technikum, która namówiła go na studia i doradzała przy staraniach o pracę. Nie to, że z reklamacją, ale z prośbą o radę, co robić dalej.

No i nauczycielka podsunęła mu Internet.

– Pójdź – powiedziała – do teatru albo przeczytaj książkę, czytasz przecież, w teatrze byłeś.

– No byłem – powiedział Rysiek.

– Więc pójdź albo przeczytaj, a potem napisz recenzję, pisać też umiesz.

– No umiem – zgodził się Rysiek, który dużo czytał i pisać umiał, ale w mowie miał ciągle nawyki z osiedla.

– A jak recenzję napiszesz, wyślij ją Internetem do paru pism – mówiła. – Ten młody od pracowni komputerowej cię nauczy wysyłać, ja go poproszę. Tylko pamiętaj, nie dzwoń. Bo mówić to ty nie mówisz jak recenzent. Więc wszystko na piśmie. Do recenzji możesz dołączyć ksero dyplomu z polonistyki i liścik. Wydrukują recenzję, wyślesz następną. Umowa pocztą, pieniądze na konto. Konto masz?

– Mam – powiedział Rysiek.

– No to do roboty – powiedziała. – Jak nie wyjdzie, wymyślimy co innego.

Ale nic innego nie trzeba było wymyślać, bo ten pomysł wyszedł. Rysiek podczytał trochę recenzji, żeby złapać styl, poszlifował na brudno i zaczął wysyłać. Z pierwszą dupa blada, z drugą to samo, ale trzecią mu już wydrukowali i potem paaaaszło. Bardziej mu się spodobało z teatrem niż z książkami. Bo raz, że do książek miał stosunek bardziej osobisty, a do teatru, z którym był słabiej obeznany, to mniej. Teatr to było takie coś bardziej obce, nie całkiem jego. Więc pisało mu

się lżej, bardziej zjadliwie, prosto, co się w redakcjach podobało. Dwa, że jak wychodził na wieczór, to łatwo było udać przed rodzicami, że ciągle robi w tej ochroniarce. Co dzień chodził do teatru, czasem po parę razy na tę samą sztukę. Przez to miał szerszy obraz, a jego recenzje były bardziej wygórkowane, więcej dłużył w temacie niż inni, bo rzadko któremu z recenzentów chciało się chodzić więcej niż raz na to samo.

Pisał tak z pół roku, aż jedna gazeta zaproponowała mu ryczałt, czyli że miał dostawać jakąś kasę co miesiąc i stale do nich pisać. Od wizyty w redakcji jakoś się wykręcał, bo dziennikarze to ludzie zabiegani i w sumie nie było to dla nich ważne, żeby go oglądać; do legitymacji posłał zdjęcie w peruce. Kasa zaczęła regularnie płynąć na konto. Szło mu dobrze, coraz lepiej.

Z redakcji dostawał listy przez Internet, chwalili go i mówili, komu trochę mocniej przyłożyć, a kogo traktować bardziej miętko. Nie zawsze się z tym zgadzał, ale z nauk na osiedlu zapamiętał jedną zasadę, która brzmiała w skrócie „huzdebos”. Huzdebos płaci, huzdebos wymaga. Jego kumplom mówili, komu spuścić bęcki, a za to nie mieli źle. Jak on nie miał źle, to po co się miał nie słuchać?

Więc generalnie gdzieś na tym etapie coś mogłoby się zmienić w historii Ryśka – mógłby się chłopak z czasem ustatkować, zmienić z osiedlowego chłopaka w normalnego obywatela. Ale niestety, właśnie wtedy wszystko mu się zaczęło po trochu sypać.

Najpierw były problemy ze strojem. Myślał Rysiek: kiedyś będę musiał pójść do tej redakcji. Jak się im tam pokażę, to znowu będą kłopoty. Trzeba coś z tym zrobić. Jak mu spłynął drugi ryczałt i trochę honorariów, poszedł do Domów Centrum i kupił sobie gajera. Przebrał się od razu, a dres włożył w torbę foliową. Trochę mu było niewygodnie, ciasno, ale co tam. Tyle że jak jechał na Gocław, to z wrażenia pomylił autobus. A tam jeździły dwa o podobnych numerach, ale



w pewnym momencie trasy im się rozjeżdżały. Jak zobaczył, że jedzie inaczej, to już było dwa przystanki za późno się przesiadać. Trudno, najwyżej się przejdę – pomyślał. Ale jak wysiadł dziesięć bloków za daleko, jeszcze w tym dziwnym ubraniu, od razu go wypatrzyli. Szło za nim najpierw dwóch, potem pięciu, potem dziesięciu. Nie pomogły tłumaczenia, że jest stąd. Jak powiedział, dokąd idzie, to jeszcze ich bardziej zdenerwowało, bo pomyśleli, że uderza do miejscowej dziewczyny. „Odechce ci się dziewczyn z Gocławia!” – krzyczeli, flekując go.

Obity, ledwie dotarł do domu. Żeby uniknąć pytań rodziców, przebrał się na klatce w dres, a nowe ubranie, zresztą podarte i wyszmaczone, wyrzucił do zsypu.

Potem pojawił się problem mieszkania. Zarabiał już więcej niż jako ochroniarz, więc pomyślał, że coś sobie wynajmie. Może nie na Gocławiu – myślał. No i w pierwsze miejsce, gdzie poszedł, kłopoty. Niby spokojne osiedle, Bemowo koło lotniska, dziadki z pieskami, dzieci na placu zabaw. Luz. Ale jak go miejscowi zobaczyli w dresie, zaraz pomyśleli, że na przespiegi. Znów go obeszło dziesięciu, i choć bronił się mocno, dostał bęcki, że ledwie wrócił. Więc jak znalazł ogłoszenie o mieszkaniu w sąsiednim bloku, a właściciel był dalekim znajomym jednego jego kolegi z podstawówki, do tego cenił tanio, bo na Gocławiu ludzie nie za bardzo chcieli mieszkać, Rysiek zdecydował się i wynajął.

Więc niby jego życie się zmieniło, ale w gruncie rzeczy było dokładnie takie samo jak kiedyś. W każdym razie po wierzchu. Mieszkał, gdzie wcześniej, wyglądał, jak wcześniej. Był przystosowany do otoczenia. A że pod spodem był inny – któż o tym wiedział. Nawet jak z czasem dorobił się komputera, żeby recenzje pisać i wysyłać mejlem z domu, to i tak musiał chować maszynę do szafy, bo jakby go ktoś nakrył, to co by powiedział kumplom czy rodzinie? Oficjalnie pracował jako ochroniarz.

Na osiedlu nie wiedzieli, co robi na boku, ale i tamci nie wiedzieli, kim naprawdę jest. To mu pasowało. Jak siedział w teatrze, nikt by nie podejrzewał, że

ktoś taki za kilka dni napisze totalnie flekującą recenzję. Rysiek ziewał, drapał się, dłubał w nosie. Umiał czasem nawet pierdnąć, żeby sprawdzić, czy ktoś mu zwróci uwagę. Gdzie tam. Nikt nie fikał, bo jak się popatrzyło na jego wygoloną pałę, to każdy myślał, że lepiej siedzieć cicho.

Tak się Rysiek rozzuchwalił. Pisał ostro, nie żałując sobie, tym bardziej że go z redakcji naciskali, żeby się nie obcyndalał, że trzeba po męsku, konkretnie, napisać, jak mu się sztuka nie podoba.

A jak raz polonistka, która czytała jego teksty przed wysłaniem, zaczęła mu mieszać w głowie, że jest za ostry i poradziła, żeby pracował nad stylem, pisał bardziej lekko, to tylko miał z tego kłopoty. Bo jak zaczął lekko, to raz, drugi przeszło, ale za trzecim mu powiedzieli, że gubi sens, że poziom mu spada, że to się czyta gorzej niż kiedyś. Że najlepiej jest porządnie przyłożyć, to się ludziom podoba. A czy słusznie? Kto pójdzie, sam sobie wyrobi pogląd, a kto nie pójdzie, to niech sobie przynajmniej poczyta ostry tekst, przywalający po nazwiskach.

Więc pisał mocno. A im mocniej dokopywał, tym bardziej się podobało. Dostawał premie za niektóre teksty, chwalone przez ważnych redaktorów. Więc szedł w to dalej, uważając tylko, żeby nie wziąć pod obcaszki kogoś, z kim jego szefowie mieli dobry układ. Wiadomo – huzdebos. Gazeta była duża i płaciła nieźle. Warto było się słuchać.

Po którejś jego recenzji przedstawienie zeszło po tygodniu, bo inni recenzenci podchwycili ton i napisali po nim to samo. Wtedy się przekonał, że go czytają. Poczul się mocny. Miał władzę.

Więc się Rysiek zupełnie przestał obcyndalać. „Obciach”, „żenada” – takie określenia mu nie wystarczały. To już dla niego było za słabe. Jechał konkretnie, pisał tak, jak się mówiło na osiedlu. Że spektakl to „zasrana chała”, że reżyser „ściemnia i kwasi”, „nie może wystękać, o co mu chodzi” i jest „aspirującym cieniem”, a aktorka robi miny, „jakby nafajdała w gacie i bała się, że inni już

wyczuli smród”.

Czasem czuł, że posuwa się za daleko, ale nikt mu nie mówił, że coś jest nie tak. Nie miał kto. Do nauczycielki, tej polonistki, od pewnego czasu nie chodził, odkąd kiedyś bardzo skrytykowała jego recenzję, którą akurat bardzo chwalili w redakcji, że aż dostał specjalne gratulacje od szefa działu kultury. Przy tym w innych gazetach powoływali się na jego opinie, cytowali go. Pasowała mu ta władza, którą miał, choć go nikt nie znał. I coraz lepsze pieniądze, bo redakcja doceniała jego talent. Dokopywał więc dalej, coraz mocniej, coraz mniej przejmując się tym, czy to sprawiedliwe. Ważne było, że się podoba, że czytają, a dzięki temu jego szefowie są z niego zadowoleni. Wiedział, że to podstawa.

No i w końcu przyszedł kryzys.

Rysiek obszczał przedstawienie jednego reżysera. Fakt, że nie do końca uczciwie, bo w sumie nie było to najgorsze przedstawienie, ale reżyser za coś podpadł działowi kultury i był układ, żeby go zgnoić. To było jasno powiedziane. Rysiek zrobił, co do niego należało. Wiadomo, huzdebos.

A reżyser przysłał do redakcji list, w którym na-wyzywał go od dresiarzy z małymi fiutkami, którzy są odważni tylko na papierze. Chciał Rysiek, żeby to wydrukowali z jego flekującą odpowiedzią, ale nic z tego nie wyszło. Bossowie uznali, że reżyserek został wystarczająco skopany w recenzji, a poza tym był układ, że się tego reżyserka nie drukuje.

I miał Rysiek problem. Bo go to wyzwanie od dresiarzy ubodło. Zabolalo. On – dresiarzem? Chyba ktoś puścił starą płytę. To nie było o nim. Przecież skończył studia, był znanym recenzentem, czytali go, liczyli się z nim w środowisku. I teraz taki tekst? Do niego? Nie mógł puścić tego płazem, a zarazem rozkazy bossów były jasne: skopaliśmy, teraz wyciszamy. Nie mógł więc załatwić sprawy na papierze. Ale nie było jeszcze tak źle, żeby zaraz z tego powodu odpuszczać.

Postanowił działać. Nie było to trudne: zwyczajnie przyjść do teatru i nakłaść

tamtemu. Nie lubił bić, myślał, że to zamknięty etap, że jest już kimś innym, ale emocje wzięły górę. Spuścić porządne bęcki – to było to, co powinien zrobić. Poza tym w biciu czuł się mocny, kto wie, czy nie mocniejszy niż w pisaniu. Ciągle, choć rzadziej niż kiedyś, chodził na pakiernię. Poza tym, myślał, z jakimś cienkim reżyserem to pójdzie łatwo: jak to się mówiło na osiedlu: „Dwa ciosy – gość bosy, klata, szczęka – gość wymięka”.

Więc poszedł sprawę załatwić po ludzku. Z grubsza znał zwyczaje w teatrach. Wyczał moment, kiedy tamten już powinien być na miejscu, a kiedy jeszcze nie wszyscy zeszli się na poranną próbę. Zaszedł od tyłu, wejściem jakby gospodarczym, gdzie podjeżdżały auta z elementami dekoracji.

Przy wejściu zaczepił go stary portier.

– Pan do kogo? – spytał.

– Do misia Jogo – odpowiedział Rysiek i zasunął tamtemu czapkę na oczy.

Przeszedł korytarzykiem i znalazł właściwe drzwi.

– Ja do pana reżysera – wymienił nazwisko, patrząc na wymoczkowanego gościa w koszuli i muszce.

– Po co mi zawracacie głowę – odpowiedział tamten. – Po prostu wnoście wszystko do magazynu. Debile, każdą rzecz trzeba tłumaczyć, bo toto nie jest w stanie samo pomyśleć – mruknął jeszcze do siebie.

Że wziął go za fizycznego, to było pół biedy. Najbardziej wkurzył Ryśka ten komentarz. I jak jeszcze po drodze zastanawiał się, czy wklepanie gościowi będzie najlepszą metodą polemiki, czy nie lepiej dołożyć mu na papierze, tak teraz wątpliwości znikły.

– Czekaj, ty miernoto – powiedział do tamtego, chwytając go za koszulę, aż guziki prysnęły dookoła.

– Ty żaloszny efekciarzu, ty dupku eksperymentalny – mówił, grzmocąc go piachami po masce. – Ciebie nie warto recenzować, tobie wystarczy porządnie

nakłaść do dupy, ty farmazome sękociński, z kulką w nosie i namydlonymi piętami ty, pypciu jeden.

Po paru minutach reżyser był porządnie oklepany, tym bardziej że się nie bronił. Wtedy przyjechali ochroniarze, wezwani przez portiera, Rysiek trochę z nimi powalczył, ale niedługo później była też policja i wtedy musiał się poddać.

Posadzili go na cztery osiem, a już następnego dnia reżyser założył mu sprawę o pobicie i Rysiek wylądował na dłużej w areszcie.

Szmatławce dostały cynk szybko, sfotografowali go, jak wysiadał z suki pod komisariatem. Zdjęcia opublikowali następnego dnia razem ze zbliżeniami zdefasonowanej maski reżysera i pokoju zdemolowanego podczas walki z ochroniarzami. Był trochę sezon ogórkowy, w polityce akurat, jak prawie nigdy, niewiele się działo, a reżyser był dość znany. Więc media chwyciły temat. Reżyser wykorzystał sprawę, żeby zrobić sobie reklamę do swojego cienkiego i nieco wtórnego wobec poprzednich przedstawienia. Jeszcze na gorąco, z obitą twarzą, pokazał się w dyskusji wieczorem po dzienniku i w dwóch tokszalach. Publicyści chwycili temat pod kątem przemocy, sztuki (reżyser wciskał kit, że sprawa miała kontekst ideologiczny i była to zemsta za rozdrapanie narodowych ran czy coś w tym kierunku) oraz tego, jak się ma sztuka do przemocy. Minister sprawiedliwości też chciał przy okazji zaistnieć i poprawić notowania swojej partii w sondażach, więc sprawa bardzo szybko weszła do sądu. Pierwsza rozprawa była miesiąc po fakcie.

I tu pojawiło się parę nowych okoliczności. Adwokat, który miał go bronić z urzędu, poinformowany przez Ryśka o historii z recenzjami, poszedł do redakcji, gdzie powiedzieli mu jasno: oni się do niego nie przyznają. Jak ktoś ich zapyta, to się wyprą i powiedzą, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. Był kij, była i marchewka: jeśli Rysiek nie przyzna się do współpracy (na czym gazeta oczywiście bardzo by straciła), to jak sprawa ucichnie, będzie mógł wrócić. A na

czas jego nieobecności ktoś będzie pisał recenzje pod jego nazwiskiem i będą mu za to płacili dwadzieścia procent honorariów.

Nauczycielka, która mogła za nim świadczyć, jak dowiedziała się o wszystkim, przejęła się za bardzo, i miała wylew. Leżała nieprzytomna pod kroplówką i nie było wiadomo, kiedy się obudzi.

Gość, od którego Rysiek wynajmował mieszkanie, schował jego rzeczy, zmienił zamki i powiedział, że jak Rysiek wyjdzie, to pogadają o dalszej współpracy. Bał się, że przy okazji grzebania w sprawach Ryśka wyjdzie wynajmowanie mieszkania na czarno, bez rejestracji w urzędzie skarbowym, i będzie miał kłopoty. Przepadły więc papiery, komputer i wszystkie rzeczy.

Nawalił też promotor pracy, który mógłby zaświadczyć o Ryśku. Przestraszył się, że posądzą go o współpracę z miastem i puszczanie prac magisterskich za kasę. Smród mógł się za nim ciągnąć do końca kariery, więc bojąc się o swój tyłek, powiedział, że nie będzie zeznawać, i wyjechał za granicę.

Nie pozostawało nic z nowego Ryśka. W imię przyszłych zarobków, a także z powodu wszystkich tych utrudnień chłopak nie mógł powiedzieć przed sądem, kim jest i o co naprawdę poszło. Wyszło na to, że jest zwyczajnym dresiarzem, który obił gościa od kultury.

Reżyser wziął najlepszych adwokatów, którzy zgodzili się pracować dla niego za darmo, niby w imię obrony cywilizacji przed bandytami, a tak naprawdę dla reklamy, bo wiadomo było, że takiej historii media nie przepuszczą. Oni wymyślili, żeby wziąć do sądu kumpli Ryśka z osiedla. Ci niby świadczyli, że jest równy gość, ale w sumie to mu zaszkodzili, bo gdy sąd popatrzył, jak mówią i jak wyglądają, to i o Ryśku pomyślał nie najlepiej.

No i dostał chłopak rok bez zawiasów za ciężkie pobicie.

Z recenzji książek nic nie wyszło, bo się Ryśkowi odechciało za kratami czytać, a i pisać do tej gazety po wszystkim nie miał serca. Kto by mu się zresztą dziwił po

tym, jak się z nim obeszli. Ale widzę, że coś tam notuje w swoim kajecie, który mu załatwił wychowawca, jak mu Rysiek trochę opowiedział o sobie. I dobrze. Niech pisze. Może wyjdzie z tego powieść? Ja mu mówię:

– Pisz, Rysiu, pisz, w pisaniu jest siła. Ludzie lubią historie z życia. Jeszcze ci się opłaci ta edukacja.